K. WOJCIECHOWSKI

WIELCY PISARZE POLSCY

KSIĄŻNICA-ATLAS LWÓW WARSZAWA

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI

WIELCY PISARZE POLSCY

WYPISY NA KLASĘ VII
SZKÓŁ POWSZECHNYCH

(Z RYCINAMI)

WYDANIE CZWARTE

Rec. P. Topolski,
O. M. C.

KSIĄŻNICA-ATLAS
ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAF. I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ., S. A.
LWÓW—WARSZAWA
1929

327
Zakłady graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie
Copyright, 1930 By Książnica-Atlas, Lwów

Treść.

Str.

Początki piśmiennictwa w Polsce 1
W wieku XVI . . . . . 3—34
Mikołaj Rej 8
Z Żywota człowieka poczciwego 10
Jan Kochanowski 15
Na lipę 16
Na dom w Czarnolesie 16
Do Boga 17
Z pieśni świętojańskiej o sobótce 18
Powrót wiosny a czyste sumienie 21
Z Trenów 23
Ks. Piotr Skarga 28
Z kazania O miłości ku ojczyźnie 29
W wieku XVII . . . . . 34—41
Jan Pasek 35
Z Pamiętników Paska 36
Jak się powiodło Rakoczemu 36
Bitwa z Moskalami — pod Lachowiczami 37
Zajście w Wilnie 40
W wieku XVIII . . . . . 41—59
Czasy saskie 41
Czasy Stanisława Augusta 43
Ignacy Krasicki 48
Marnotrawstwo 49
Franciszek Karpiński 54
Pieśń poranna 55
Pieśń wieczorna 55
Tęskność na wiosnę 56
Żale Sarmaty nad grobem Z. Augusta 57
W wieku XIX . . . . . 59—212
W pierwszej połowie stulecia 59
Jeszcze Polska nie zginęła 59
Juljan Niemcewicz 62
Władysław Jagiełło 63
Pogrzeb Księcia Józefa Poniatowskiego 66
Kazimierz Brodziński 69
Wiesław 70
Adam Mickiewicz 90
Pytania do Grażyny 92
Pytania do Pana Tadeusza 96

Str.
Juljusz Słowacki 106
Ojciec zadżumionych 107
Zygmunt Krasiński 120
Wincenty Pol 122
Z Pieśni Janusza 123
Krakusy 123
Powrót konia 124
Z Pieśni o ziemi naszej 125
Józef I. Kraszewski 127
W drugiej połowie stulecia XIX 128
Marja Konopnicka 130
Poszłabym ja na kraj świata 130
Pieśń o domu 131
Obielił nam... 132
Lipy kwitną 133
A czy też urok jaki 133
Matka i syn (Dym) 134
Głupi Franek 140
Bolesław Prus 153
Potęga uczucia (Anielka) 154
Bohaterstwo (Michałko) 158
Portrety (Sieroca dola) 162
Adolf Dygasiński 167
Gniazdo bocianie 167
Gniazdo słowicze 171
Eliza Orzeszkowa 174
Babunia 175
Henryk Sienkiewicz 190
Latarnik 191
Pytania do Trylogji 210

Pożądanem jest, aby młodzież poznała z powieści Kraszewskiego „Starą baśń“ lub „Dziecię Starego Miasta“, tudzież jeden z utworów dramatycznych (Fredry „Zemstę“, Słowackiego „Lillę Wenedę“ lub Korzeniowskiego „Karpackich górali“).

Początki piśmiennictwa w Polsce.

Najstarsza pieśń polska. Z pieśni, które dzisiaj śpiewamy, niejedna pochodzi z czasów bardzo dawnych. Przepiękną kolendę *Anioł pasterzom mówił*, w kształcie nieco tylko odmiennym od dzisiejszego, nucili nasi przodkowie jeszcze w dobie jagiellońskiej w XV wieku, przetrwała więc kolenda owa pięć stuleci. Ale nie ona jest najdawniejszą pieśnią polską. Najstarsza z dochowanych, rozpoczynająca się od słów *Bogurodzica dziewica*, to pienie błagalne, zwrócone ku Pannie Najświętszej, o zjednanie nam łask Jej Syna. Nieznany nam twórca wyśpiewał tę modlitwę w dobie piastowskiej, w wieku XIII, a zatem jeszcze przed czasami Łokietkowemi. Naród polski pieśń oną ukochał, rycerstwo nasze śpiewało ją nieraz przed walką, brzmienie jej rozległo się z piersi rycerzy Jagiełłowych w pamiętnym dniu bitwy pod Grunwaldem, a do dziś śpiewa „Bogurodzicę“ każdej niedzieli duchowieństwo w katedrze gnieźnieńskiej.

Inne dawne zabytki. Pieśni polskich ku czci Panny Marji dochowało się z onych dawnych czasów więcej, dochowały się także inne pieśni i wiersze, nietylko nabożne, nadto zaś tłumaczenia psalmów, pisma świętego; wszelako naogół ilość tych zabytków prastarych, spisanych w języku polskim, nie jest zbyt znaczna.

Język najdawniejszych zabytków. Pisano bowiem w owych czasach, w dobie piastowskiej i jagielloń-

skiej, aż do wstąpienia na tron Zygmunta Augusta, więcej po łacinie niż po polsku. Co było tego powodem? Oto nie wszystkim, którzy brali pióro do ręki — jak duchownym, przybyłym do nas z Zachodu — znany był język polski; powtóre naśladowano u nas zwyczaj powszechny wówczas w Europie. To też w języku łacińskim spisano w Polsce najdawniejsze żywoty świętych, i po łacinie napisał historję Polski wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, Jan Długosz.

Autorami tych pism łacińskich w czasach najdawniejszych, byli prawie wyłącznie duchowni, a to z tego powodu, ponieważ poza duchowieństwem nie było w Polsce wówczas ludzi wykształconych. Kmieć pracował na roli, rycerstwo zaś oddawało się chętniej rzemiosłu wojennemu niż nauce.

Szkoły wyższe. Brakło zresztą w kraju szkół wyższych. Uniwersytet, który założył w Krakowie Kazimierz Wielki, wraz ze śmiercią tego króla przestał istnieć, i dopiero dzięki wskrzeszeniu najwyższej uczelni przez Jagiełłę (w roku 1400) poczęły się u nas garnąć do oświaty warstwy coraz szersze.

Potęga Państwa Polskiego. Dojście do morza. Czasy Jagiełły to dla Polski dni potęgi i chwały. Przeniewierczy Zakon krzyżacki legł u stóp zwycięzcy, ojczyzna nasza, nękana od lat wielu, odetchnęła pełną piersią. Utrwalił potęgę Państwa Polskiego Kazimierz Jagiellończyk, odebrawszy Krzyżakom ujście Wisły i brzegi morza Bałtyckiego. I wówczas to, dzięki dostępowi do morza, rozwinął się handel zbożem, nieuprawne przedtem pola pokryły się złotym kłosem pszenicy, zawitał dobrobyt nieznany rycerskiej Polsce dawnych wieków.

(Dlaczego w czasach najdawniejszych pisano w Polsce przeważnie po łacinie? Dlaczego autorami byli przeważnie duchowni? Jakie znaczenie miało dla Polski odzyskanie brzegów morskich?).

W wieku XVI.

Czasy synów Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta Augusta i królów obieralnych.

Zmiana sposobu życia szlachty. Życie rycerskie już za Kazimierza Jagiellończyka ulegało zmianie, przedzierzgając się w życie ziemiańskie; w stuleciu zaś XVI szlachta myśli coraz więcej o pługu niż o mieczu, uprawa pól bowiem i handel zbożem przysparza jej w dalszym ciągu niemałych korzyści, a wielu nawet bogaci.

Ugaszczanie sąsiadów, zabawy. Dzięki dostatkom wzmogła się w owych czasach wrodzona Polakom cnota gościnności. Nie było dla szlachcica polskiego większego wesela nad przyjazd dobrego sąsiada. Przyjmował go okrzykami radości, całemi dniami z domu nie puszczał, a przy wyjeździe sowicie obdarzał: szablą piękną, kubkiem cennym, nawet rzędem i koniem. Zdarzyło się gości więcej, rozpoczynały się ożywione rozmowy, gawędy, a młodzież brała się do tańca. Tem łatwiej zaś było o tany, że do rzadkości należał zamożny dom szlachecki, w którymby nie trzymano grajków. Zresztą i klawikordy znano w tych czasach, a w potrzebie zagrał szlachcic młodym na dudach. Tańczono to „gonionego“, to żwawego „hajduka“, przewijały się też poważne pary poloneza przy dźwiękach nuty „W żłobie leży“. Kto nie tańczył, grał w warcaby, w szachy, w młynka, zabawiano się również kartami.

Biesiady. W czasie chrzcin, imienin, godów weselnych dom szlachcica nie mógł pomieścić gości. Koroną przyjęcia bywała wówczas wspaniała biesiada. Ustawiano długie stoły w podkowę, pokrywano je obrusami z cienkiego, drogiego płótna. Nóż i widelec przynosił gość z sobą, na stole więc obok talerza kładziono tylko łyżkę. Przed biesiadą obchodziła gości służba gospodarska z konwią, pełną wody, z miednicą i z ręcznikami, aby każdy

biesiadnik mógł sobie umyć i obetrzeć ręce. Ale goście przywozili z sobą takze służbę własną, która umieszczała się za krzesłami przy stole biesiadnym. Ucztowano z głową nakrytą, a zdejmowano nakrycie tylko podczas wznoszenia zdrowia lub gdy w izbie stało się zbyt duszno. Bankiety przeciągały się długo, trwały nawet po sześć godzin. Kobiety niezawsze brały w nich udział, o ile jednak znajdowały się na uczcie, siedziały skupione obok siebie, bądź przy stole osobnym.

Łowy. Czasem nazajutrz po uczcie wyruszali goście wraz z gospodarzem na łowy bądź brykami, bądź konno. A koni wierzchowych nigdy nie brakło w dostatnim domu szlacheckim, odbywano bowiem ciągłe ćwiczenia konne, z koni rzucano kopjami, mierzono do pierścienia, a i kobiety brały udział w tych ćwiczeniach rycerskich. Łowy zaś różniły się znacznie od dzisiejszych. Lasy polskie pełne były jeszcze wówczas żubrów, łosi, niedźwiedzi, a do niedźwiedzia nie strzelał myśliwy zdaleka, lecz szedł na niego z oszczepem. Ale polowano także z chartami, a najchętniej z sokołami.

Ograniczanie przez szlachtę swobód innych warstw. Ażeby jednak to życie pełne powabów można było pędzić swobodnie, bez troski o jutro, na to potrzeba było pieniędzy. Pieniędzy dostarczała rola, wszelako do uprawy rozległych łanów konieczne były ręce robocze. Więc szlachta, chcąc zapewnić sobie robotnika, nie pozwala chłopu zmieniać miejsca pobytu i wprowadza — podobnie jak to uczyniono na Zachodzie — roboty przymusowe. A nie poprzestaje jedynie na ograniczeniu wolności ludu wiejskiego, uszczupla także prawa mieszczan, zabrania im nabywania majątków ziemskich.

Polska Rzecząpospolitą. Z roku na rok zdobywa sobie szlachta nowe przywileje, a doprowadza także do tego, że bez jej woli i zgody na sejmie nie może wejść w życie żadne nowe prawo. Chociaż więc na czele pań-

stwa stoi, jak dawniej, król, Polska przemienia się w rzeczpospolitą, ale w rzeczpospolitą szlachecką, bo o wszystkich sprawąch państwowych rozstrzyga jedynie stan szlachecki.

Cieszyła się szlachta swą „złotą wolnością“, nie myśląc o tem, że następstwa jej mogą być dla Polski zgubne, bo zawsze wychodzi to na szkodę państwu, gdy jedna warstwa narodu, choćby jak liczna, chce być w niem wszystkiem i mówi: państwo to ja.

Ujemne skutki upośledzenia innych warstw miały się jednak ujawnić dopiero później. Narazie zaś, dzięki temu, że szlachcic, chcąc zdobyć władzę, musiał myśleć nad tem, jak to osiągnąć, radzić o tem z drugimi, a także pióra próbować, żeby pismami zwolenników zjednywać, powstał w Polsce żywy ruch, ruch umysłowy.

Co zawdzięcza język polski „nowinkom religijnym“. I co innego jeszcze ten ruch wywoływało. Do Polski dotarła z Niemiec nauka Lutra, a szlachta zajęła się nią skwapliwie i w sprawach religji chciała zabierać głos tak samo, jak w sprawach rządów w państwie. Niemniej żywo interesowała się szlachta nauką Kalwina. Ogół szlachecki zbyt był jednak przywiązany do kościoła katolickiego, aby miał go się wyrzec; to też po latach sporów religijnych olbrzymia większość z pośród szlachty opowiedziała się przy dawnej wierze, w której wzrosła od dzieciństwa. Korzyść zaś z tego ruchu religijnego odniosło piśmiennictwo ojczyste. Różnowiercy bowiem, chcąc pozyskać sobie jak najwięcej zwolenników, nawet wśród prostaczków, przemawiali do nich w języku ich ojczystym, naodwrót zaś duchowieństwo katolickie, chcąc zwalczać różnowierców, musiało się posługiwać tą samą bronią. I tak. dzięki temu zmaganiu się krzewicieli i obrońców dwu wiar powstało mnóstwo pism treści religijnej w języku polskim.

Co zawdzięczano starożytnym. Nietylko jednak pisma treści religijnej mnożyły się w Polsce w XVI wieku,

pisano także i o innych sprawach. I tak sekretarz króla Zygmunta Augusta, Andrzej Frycz Modrzewski, domagał się, ażeby w Polsce wszyscy byli równi wobec prawa, i sprzeciwiał się przykuwaniu chłopa do roli; inny autor wykazywał konieczność ubezpieczenia granic; inny zastanawiał się nad tem, jakby należało obierać króla i t. d. Jak zaś pisać, tego uczyli się autorowie nasi od pisarzy rzymskich, z czasów jeszcze przed narodzeniem Chrystusa.

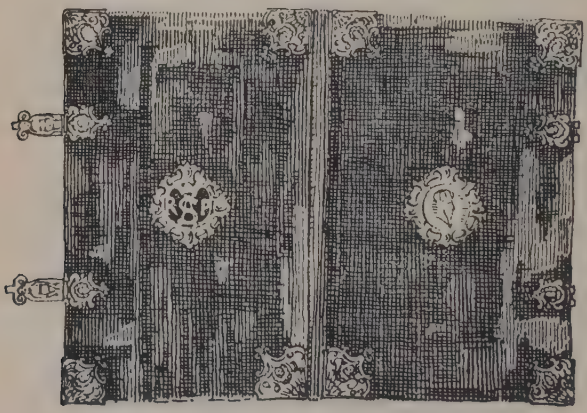

Ryc. 1. Oprawa książki z XVI wieku.

Pisarze ci bowiem pozostawili wiele ksiąg pełnych mądrości, a oprócz tego umieli w bardzo piękny sposób myśli swe wyrażać.

Ale nie same jeno pisma starożytnych Rzymian budziły zachwyt; podziwem przejmowały również pozostałe po nich budowle. Zaczęto też już w pierwszych dziesiątkach szesnastego wieku sprowadzać do Polski z Włoch budowniczych, i ci stawiali u nas świątynie i pałace, przypominające wspaniałe budowle starożytne i na wzór ich wznoszone kościoły i pałace włoskie.

Wogóle i królowie i magnaci i szlachta co zamożniejsza, a za przykładem tamtych i mieszczanie dokładali

starań, ażeby wszystko, co ich otaczało, z czem się stykali, było piękne. Nie żałowano np. pieniędzy na oprawę książek, byle oprawa była ozdobna i istotnie sprawiała oku przyjemność.

Następstwa wynalazku druku. Książki zaś rozpowszechniły się w Polsce w wieku szesnastym, dzięki wynalazkowi druku. Zastąpiły one niezmiernie rzadkie w dawniejszych wiekach i bardzo drogie rękopisy, wciskały się

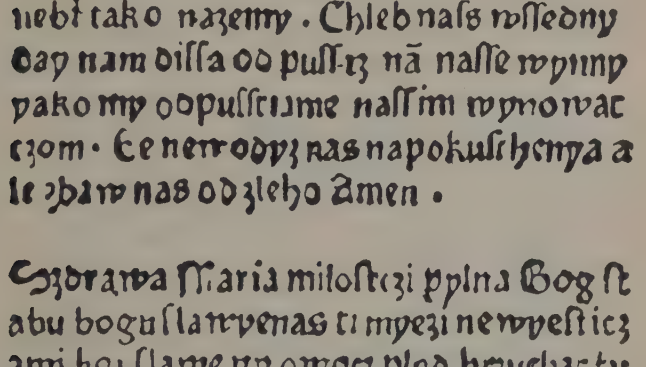

Ryc. 2. Druk polski „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marja“ z roku 1475.

powoli wszędzie, szerzyły światło. Drukowano u nas wprawdzie już w piętnastem stuleciu, ale dopiero w wieku szesnastym liczba drukarń się mnoży, i książka przestaje być osobliwością.

Zrazu jednak w szesnastem stuleciu, przed zawitaniem do nas „nowinek religijnych“, i pisze się i drukuje w Polsce przeważnie po łacinie, a zwrot wyraźny da się dostrzec dopiero od chwili, gdy do ręki bierze pióro Mikołaj Rej.

(Jak zabawiano się w XVI wieku po dworach szlacheckich? Dlaczego szlachta mogła żyć dostatnio, nie licząc się z wydatkami? W jaki sposób starała się zapewnić sobie także na przyszłość żywot bez troski? Co wywołało w Polsce w XVI wieku ruch umysłowy? Co zawdzięczano wynalazkowi druku? W jakim języku pisze się w Polsce przeważnie aż do wystąpienia Reja?)

Niedaleko od Halicza, nad Dniestrem, na szerokiej równinie leży małe miasteczko, Żurawno. Tam to przyszedł na świat

Mikołaj Rej

i tam mu upłynęły lata dziecięce. Jedynaka pieścili rodzice, to też Mikołajek, choć i do lwowskich szkół uczęszczał i chodził na uniwersytet w Krakowie, nie bardzo zrazu przykładał się do nauk, a powróciwszy do domu, strzelał z rusznicy, łowił ryby, przywiązywał wronom płatki czerwonego sukna do ogonów, ciesząc się, jak latają przerażone. Dopiero gdy go ojciec, zwyczajem ówczesnym, oddał na dwór pański, mianowicie wojewody sandomierskiego Tęczyńskiego, zawstydził się bardzo, ujrzawszy, jak mało umie. Wówczas to zabrał się pan Mikołaj do książek, do łaciny, słuchał chciwie mądrych rozmów,

Ryc. 3. Mikołaj Rej.

a że bystrości mu nie brakło, rychło uzupełnił braki wychowania. Co więcej, począł nawet zabawiać się pisaniem, układać wiersze.

Po śmierci ojca jął się gospodarstwa i gospodarzył pilnie i wzorowo. Ale to nie przeszkadzało mu w pędzeniu życia swobodnego, wesołego. Wesołym był bowiem Rej z usposobienia, a sąsiedztwo przepadało za jego humorem i dowcipami. Zapraszano go też na biesiady, łowy, a on rad jechał i równie rad podejmował u siebie miłą brać szlachtę. Nietylko jednak lubiano go powszechnie, ale i szanowano, a szanowano za jego rozum, za rady dobre, których udzielał, a i zato jeszcze, że w polskim języku pisał wiersze i nie jedynie wiersze, ale także mądre i pożyteczne książki prozą. Katolicy przecież brali mu za złe, że jak wielu wówczas z pośród szlachty, lgnął zrazu skwapliwie do „nowinek religijnych". Natomiast wszyscy musieli uznać, że dzięki niemu, dzięki danemu przezeń dobremu przykładowi, język polski począł wypierać z piśmiennictwa język łaciński. Pisano bowiem, jak wiemy, już i przed Rejem po polsku, ale tylko dla tych, którzy łaciny nie znali, Rej zaś pierwszy przeznaczał swe dzieła dla wszystkich, dla całego narodu. A pisał w języku ojczystym, i tylko w tym języku, z głębokiego przekonania, że tak się czynić powinno. W jednym z wierszy powiedział wyraźnie:

„A niechaj narodowie wżdy[1]) postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają".

Po polsku też, jak wszystko, napisał Rej jedno z najobszerniejszych dzieł swoich p. t. *Żywot człowieka poczciwego*. Wyszło ono na niewiele miesięcy przed jego śmiercią w r. 1568.

Chciał Rej w tej książce pouczyć współczesnych, jakie powinno być wychowanie szlachcica, któregobyśmy

---

[1]) Przecież.

mogli nazwać poczciwym, jak powinna wyglądać jego młodość a jak wiek sędziwy.

Z Żywota człowieka poczciwego.

Nie radzi Rej dziecka „nazbyt w głozie chować“, ale też odradza pozostawiać mu zbyt wielką swobodę, „aby nie rosło jako wierzba“. Koniecznie trzeba mu dobrać stosowne towarzystwo, „a strzec od głupich i plugawych chłopiąt..., bo co zmłodu widzi, słyszy, to mu sie snadnie wbije w ową młodą pamięć jego“. Źle także, gdy dziecko mówi niepotrzebnie za wiele — o wszystkiem. „Nie dajcie mu — przestrzega — leda [1]) czego szczebiotać, jako to inni bardzo radzi widzą, a zowią to szpaczkiem, bo jako mu to w obyczaj wnijdzie, tedy... go potem trudno oduczyć będzie“.

Gdy dziecko podrośnie, należy pomyśleć o jego nauce, o tem, żeby umiało czytać, pisać, ale „to jak najpilniejsza, aby... uczyło sie rozumieć, co jest Bóg, a co wola Jego“.

„A gdy już sobie pan młody podroście [2]) — prawi dalej — nie wadzi mu się też czasem i do cudzych krajów przejechać, a zwłaszcza tam, gdzie są ludzie obyczajni“.

Po powrocie do domu dobrze udać sie na dwór pański, dobrze także poświęcić się rzemiosłu rycerskiemu. W zawodzie żołnierskim wystrzegać się jednak pilnie należy, aby nigdy nie skrzywdzić niewinnego, nigdy nie sięgać po cudze dobro. „Abyś miał i jedną suknię przedać, a w drugiej sie do domu wrócić, tedy to lepiej będzie, niźli głos niewinny a przeklęctwo na sie puścić“.

Osiadłszy na roli, pędząc żywot ziemiański, będzie „człowiek poczciwy“ unikał wszelkiego zbytku:

„Patrzajże zasie na koszt a na dziwną utratę [3]) wymyślnych potraw naszych, jeśliże to nie jest wielka przyczyna niepobożnego żywota naszego. Przypatrz sie jedno owym dziwnym półmiskom a owym sprosnym wymysłom świata dzisiejszego. Patrz na owy [4]) rozmaite przysmaki, co je sapory [5]) zową, a prawie [6]) sapory, bo chłop po nich sapi, ożarłszy sie jako w barłogu kiernoz [7]). Patrzże na

[1]) Lada. [2]) Podrośnie. [3]) Rozrzutność. [4]) Owe. [5]) Sapor = sos, podlewka. [6]) Prawdziwie. [7]) Wieprz.

A tu sie iuż poczną Wtore Księgi żywotá poczciwego człowieká/ iáko od práwiwszy w poczćiwym wychowániu młode lá tá swoic/á przyszedszy ku lepszemu obaczeniu/iá ko w śrzedniem wieku ma poczciwie sthanu swego bzywáć/y czym gi ozdobić/y iáko ma bwazáć co iest przystoynego á co iest szkodliwego iemu. List 29.

Stet quilibet fortiter in vocatione sua

Brácie pátrz wszák nie orzeß co sie s toba dzieie/
Pátrz iáko sie w poczćiwym wßytko pieknie smieie.
Pátrzże też w niepoczćiwym iáko wßytko mdleie/
Stańże mocno przy cnocie niech kto chce ßáleie.

Hámuy z gory/
Szánuy skory/
Puść zá gory/
Szpetne chmury/
Bo swiát bury/
Szuka dury/
By cie snury/
Y zá mury/
Związał po swey woli/

Chytry był.

Ryc. 4. Podobizna strony z „Żywota człowieka poczciwego".

potrząski [1]) rozliczne, patrz na pozłotki, na farby, na malowania dziwne, a snaćby ich mógł nie zwać potrawami, ale obrazki [2]) jakiemi malowanemi. Ano na jednej misie

[1]) Potrząska = upstrzenie. [2]) Obrazkami.

baran pozłocisty, na drugiej lew, na drugiej kur, na trzeciej pani jaka ubrana. Więc dęby z żołądźmi, więc z różami pozłocistemi, więc z rozmaitemi kwiatki zewsząd osadzonemi. Więc pozłoty rozliczne, ony[1]) kury pozłociste, ony orły, ony zające, a potrawa w pośrodku za djabła stoi..., dalekoby lepsza i smaczniejsza była, kiedyby ją z polewanego garnka ciepło na półmisek wyłożył".

Czyż zresztą poza spożywaniem „wymyślnych" i Bóg wie po jakiemu przyozdobionych potraw nie znajdzie się na wsi innych przyjemności, godniejszych szlachcica ziemianina? Ileż ich nastręczają *cztery pory roku!*

„Gdy przypadnie wiosna, azaż owo nie rozkosz z żonką, z czeladką po sadkoch[2]), po ogródkoch sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać, krzaczki okopać?

Nuż też, jeśli masz pczółki, tedy je też wczas oczyścić, chorym miodu podstawić, także też chwastów i niepotrzebnego plugactwa między niemi nie dopuszczać... Nuż też owieczki! Azaż też ty[3]) mały pożytek uczynić mogą? Nuż też i gąska niezła, bo i piórka i miąsko wżdy też darmo nie wynidzie, a mały to koszt — trawki nasiekać, ukropkiem gorącym ją odmiękczyć, otrąbkami posypać to sie tak tem dobrze pan młody gęś uchowa, jako owsem.

Nuż też, gdy przyjdzie ono gorące lato, azaż nie rozkosz, gdy ono wszytko, coś na wiosnę robił, kopał, nadobnie-ć dożrzeje a poroście? ano-ć niosą jabłuszka, gruszeczki, wiśneczki, śliweczki z pirwszego szczepienia twego; więc z ogródków ogóreczki, maluneczki[4]), ogrodne ony ine rozkoszy! Ano młode masłka, syreczki nastaną, jajka świeże; ano kurki gmerzą, ano gąski gęgają, ano jagniątka wrzeszczą, ano prosiątka biegają, ano rybki skaczą: tylko sobie mówić: „Używaj miła

---

[1]) One. [2]) Sadkach. [3]) Te. [4]) Melony.

duszo, masz wszytkiego dobrego dosyć!“ — a wszakoż z bojaźnią bożą a z wiernem dziękowaniem Jemu. Pojedziesz zasie sobie z krogulaszkiem[1]) do żniwa; ono nadobnie żną, dzieweczki sobie śpiewają, drudzy pokrzykawają[2]), snopki w kopy znowu układają: ano im milej i sporzej robić, kiedy pana widzą — a wszakoż nie owego, co się z nimi po polu z maczugą goni albo biczem po grzbiecie kołace.

Przydzie jesień, azaż nie rozkosz do siana sie przejeździć? ano nadobnie uorano, nadobnie sieją, włóczą, śpiewają; ano serce roście, ano sie nadzieją cieszy, iż z tego, da-li Pan Bóg doczekać, na drugi rok pożytek uroście.

Przydzie zima, azaż mała rozkosz, któ ma lasy, albo łowiska, z rozmaitym sie źwirzem nagonić? Kto też ma jeziora, stawy wielkie, azaż nie rozkosz po głębokich wodach sie nachodzić albo najeździć, niewody zapuścić, ryb rozlicznych nałowić. Azaż nie rozkosz z charty sie przejeździć, na cietrzewka sieć zastawić, kuropatwiczkę rozsiadem[3]) przykryć? A przejeździwszy sie, a obłowiwszy sie, do domu przyjechać? Ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie, miasto karasków[4]), pływają. Po obiedzie sie do gumienka przechodzić, dopatrzyć sie, jeśli dobrze wymłacają, jeśli kłoć wytrząsają, jeśli słomę dobrze układają... Nuż nachodziwszy sie po swem pobożnem[5]) gosporstwie, już też sobie w ciepłej izbie usiędziesz albo sam, albo z przyjacielem. A jeśli-ć jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już jako błazenkowie kuglują[6]), żonka z panienkami szyje, też sie z tobą rozmawia albo też co powieda, pieczenia sie wieprzowa dopieka, cietrzew w rosołku, a kapłon tłusty z kluskami dowiera[7]), więc rzepka, więc ine po-

---

[1]) Z małym krogulcem (z rodziny sokołów myśliwskich). [2]) Pokrzykują. [3]) Siecią. [4]) Karasek = karaś. [5]) Po bożemu prowadzonem. [6]) Dokazują. [7]) Dopieka się.

trawki. A czegoż ci więcej trzeba? czegoż ci nie dostawa? Byś jedno[1]) tego użyć umiał, tedy-ć Pan Bóg wszytkiego dosyć dał".

(Czego, według Reja, należy dzieci uczyć, czego przy ich wychowaniu przestrzegać? Co powinien czynić młody szlachcic, gdy dojdzie już do lat młodzieńczych? Czego winien się wystrzegać, kiedy osiądzie na gospodarstwie? Jakich przyjemności dostarczą mu cztery pory roku?

Czy zajęcia gospodarza na wsi są dziś takie same jak za czasów Reja? Może ktoś z nas potrafiłby wskazać różnicę? Po czem poznać, że „Żywot człowieka poczciwego" pisał ziemianin? O czem pisałby mieszczanin, gdyby chciał także dać wzór żywota poczciwego? — Wyszukajcie w ustępie o zimie wyrazy, które zmieniły znaczenie, wyrazy dziś nieużywane, wyrazy zdrobniałe, [jak myślicie, dlaczego w ustępie tym użył Rej tylu wyrazów zdrobniałych?]).

Chciał być Rej nauczycielem swego narodu, chciał szczepić weń cnoty, napominał też, ażeby każdy pamiętał, co winien ojczyźnie swojej. Gromił tych, co praw nie szanują, przestrzegał przed następstwami niedostatecznego zabezpieczenia granic. Miał zaś sposobność do zabierania głosu w sprawach publicznych nietylko jako pisarz, był bowiem posłem sejmowym, a brał udział także w pamiętnych obradach sejmu lubelskiego w roku 1569. W tymże roku zakończył życie.

(Co poczytamy za główną zasługę Reja, jeśli zważymy, jakim językiem przed nim posługiwano się w piśmie prawie powszechnie?).

Wówczas gdy Rej, po opuszczeniu dworu wojewody Tęczyńskiego, rozgospodarowywał się w swoich dobrach, przyszedł na świat w radomskiem (w roku 1530) w domu szlacheckim państwa Kochanowskich chłopczyna, który po latach miał się stać wielką, prawdziwą chlubą narodu polskiego. Miał bowiem

---

[1]) Jeno.

Jan Kochanowski

zasłynąć zczasem jako znakomity poeta. Młodość jego różna była od młodości Mikołaja Reja. Kiedy tamten czas spędzał na łowieniu ryb i strzelaniu z rusznicy, Kochanowski kształcił się wytrwale, zrazu w domu, później w szkołach. Był uczniem Uniwersytetu Krakowskiego, a jako dwudziestoletni młodzieniec wyjechał na dalsze nauki do Włoch, poczem do Paryża. Zarówno we Włoszech, jak w Paryżu, ujrzał, że i Włosi i Francuzi, zerwawszy z dawnym zwyczajem pisania wyłącznie po łacinie, przemawiają do rodaków w swych utworach także w języku ojczystym. Ten przykład podziałał na niego. Obdarzony zdolnością poetycką, obok wierszy łacińskich począł tworzyć również wiersze polskie.

Ryc. 5. Jan Kochanowski.

W Paryżu otrzymał bolesną wiadomość o śmierci matki. Musiał powracać do kraju i tu przy podziale majątku między rodzeństwo otrzymał połowę wsi Czarnolasu. Ale nie zaraz osiadł na roli, przeciwnie, chciał poznać jeszcze życie na szerszym świecie i przebywał przez lat kilka zrazu na dworze marszałka wielkiego koronnego, poczem na pokojach królewskich Zygmunta Augusta. Dopiero kiedy życie dworskie przestało mu się podobać, przeniósł się do swego Czarnolasu.

Przed dworem, w którym zamieszkał, rosła wspaniała rozłożysta lipa. W jej to cieniu najchętniej spędzał poeta czas w dnie skwarne, tu przyjmował dobrych sąsiadów, tu powstawały często pomysły utworów, które później spisywał. W jednym z wierszy tak każe on przemawiać owej lipie:

„Gościu siądź pod tym cieniem, a odpocznij sobie.
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się najwyższej [1]) wzbije . . . . . .
. . . . . .
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają;
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły;
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno [2]) słodki sen przypadnie...“

(Na lipę).

Poeta ożenił się, wiódł żywot skromny, ale bez troski, cieszył się widokiem potomstwa. Był wdzięczny Bogu za szczęście, którego zaznawał, i prosił Go tylko o to, aby się nic w położeniu jego nie zmieniło. Wypowiedział tę prośbę w wierszu p. t. *Na dom w Czarnolesie:*

„Panie! To moja praca, a zdarzenie Twoje!
Raczyż [3]) błogosławieństwo dać do końca swoje!
Inszy niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają:
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gniaździe ojczystem,
A ty mię zdrowiem opatrz i sumnieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością!“

(Co poeta wyżej ceni nad pałace i złotogłów?)

W cieniu konarów lipy rozmyślał poeta nad tem:

---

[1]) Najwyżej. [2]) Łatwo. [3]) Raczże.

„Co miota łyszczącemi piorunami z góry?
Skąd obłoki i czemu gradem sieją chmury?...
Jaka moc ziemią trzęsie, morską ciszę zrywa,
Skąd krynicom i rzekom wiecznie woda spływa?“

A wówczas myśl poety zwracała się do Stwórcy wszech rzeczy, i wielbił majestat Boży. Z głębi piersi też wyśpiewał natchnioną pieśń, której dał napis

Do Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszytko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje[1]).
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo na Cię przystojniejszej[2]) ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej[3]) ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych[4]) granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.
Tobie gwoli[5]) rozliczne kwiatki Wiosna rodzi,
Tobie gwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi.
Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna Zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe[6]) zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrza[7]) swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie;
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi:
Jeno[8]) zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

---

[1]) Mieni swoje = nażywa swojem. [2]) Stosowniejszej. [3]) Której obejść nie można. [4]) Zakreślonych. [5]) Kwoli = ku woli; Tobie kwoli = stosownie do Twej woli. [6]) Spalone. [7]) Patrzy. [8]) Jeno.

(Co świadczy w tej pieśni o potędze Bożej, co o nieprzebranej dobroci Stwórcy? Co sprawia, że czytając pieśń, niemal widzimy, jak Pan nieba i ziemi tworzył ten świat i jak nim rządzi? Dzięki czemu wiosna, lato, jesień, zima przedstawiają się nam jak istoty żyjace? Czy pieśń „Do Boga“ nazwalibyśmy modlitwą pochwalną czy błagalną? Czy poeta chwali Boga za dobrodziejstwa, które Stwórca zlał tylko na niego samego? tylko na ludzi? — Których ze słów, użytych w pieśni, dziś już nie używamy?).

Nie wiemy, kiedy poeta powyższy utwór napisał, ale to wiemy, że w Czarnolesie, wiedziony również potrzebą serca, ażeby oddać cześć Stwórcy, tłumaczył wspaniałe psalmy Dawida, wśród których znajduje się znana nam wszystkim przepiękna pieśń „Kto się w opiekę podda Panu swemu“.

Przebywając na wsi, przypatrywał się Kochanowski, zapewne niejednokrotnie, obrzędowi ludowemu, święconemu w wigilję św. Jana, tak zwanej sobótce. Do dzisiaj są okolice, zwłaszcza w zachodniej Małopolsce, w których lud nie zaniechał tego zwyczaju. Młodzież rozpala w noc świętojańską ognie, skacze przez nie, przyczem śpiewa rozmaite pieśni. Na tle cieni nocnych wygląda to bardzo pięknie. Poeta, ujęty malowniczością obchodu, postanowił obrzędowi temu poświęcić osobny utwór i napisał „Pieśń świętojańską o sobótce“.

Z Pieśni świętojańskiej o sobótce.

Gdy słońce Raka zagrzewa[1])
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie[2]),
Zapalono w Czarnym lesie.

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi;
Bąki[3]) zaraz[4]) troje grały,
A sady się sprzeciwały[5]).

---

[1]) Gdy słońce wstępuje w znak Raka, t. j. w drugiej połowie czerwca. [2]) We właściwym czasie, według dorocznego zwyczaju. [3]) Dudy. [4]) Naraz, jednocześnie. [5]) Echo rozlegało się po sadach.

Siędli wszyscy na murawie,
Potem wstało sześć par prawie[1])
Dziewek, jednako ubranych
I belicą[2]) przepasanych.

Wszytki śpiewać nauczone,
W tańcu także niezganione,
Więc koleją zaczynały,
A pierwszej tak począć dały.

(Jakby wyglądał obraz namalowany na podstawie tej pieśni wstępnej?).

I teraz słuchamy pieśni pierwszej z dziewcząt (pannami nazywa je poeta). Zachęca ona do tanów i śpiewów, przypomina, że zwyczaj to prastary, a zwyczaje ojców należy zachowywać, jeśli się pragnie błogosławieństwa Bożego.

Druga „panna" jest weselsza, nie prawi nauk, ale zato zapewnia, że bardzo lubi tańczyć:

To moja nawiętsza[3]) wada,
Że tańcuję barzo rada!
Powiedzcież mi, me sąsiady:
Jest tu która bez tej wady?

Skokiem taniec naprzedniejszy,
A tem jeszcze pochodniejszy[4]),
Kiedy w bęben przybijają;
Samy nogi prawie drgają!

Wszytki mi sie uśmiechacie:
Podobno ze mną trzymacie...
Postępujmyż tedy krokiem,
Aleć niemasz, jako skokiem!

Teraz masz czas[5]), umiesz-li co,
Mój nadobny bębennico![6])
Wszytka tu wieś siedzi wkoło,
A w pośrzodku samo czoło[7])...

Ja sie nie umiem frasować,
Toż radzę drugim zachować:
Bo w trosce człowiek zgrzybieje
Pierwej, niż sie sam spodzieje.

Inna „panna" zapowiada rychłe żniwa i zachęca do pracy około zbiorów, inna trapi się, że jej narzeczony poszedł na bój krwawy i może polec, a ostatnia, dwunasta, wychwala powaby i korzyści życia wiejskiego. Nuci ona:

Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?[8])
Kto twe wczasy[9]), kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twej pieczy uczciwie
Bez wszelakiej lichwy żywie:
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie.

---

[1]) Nie mniej ani więcej. [2]) Belica = bylica, rodzaj ziela. [3]) Największa. [4]) pochodny = posuwisty, raźny. [5]) Masz sposobność do popisu. [6]) Bębennica, ten, który bije w bęben. [7]) Starszyzna. [8]) Kto zdoła wyśpiewać twą chwałę. [9]) Przyjemności.

Inszy sie ciągną przy dworze[1])
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżej, niż na piędzi.

Najdziesz, kto w płat język dawa,
A radę na funt przedawa[2]):
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła[3]) na to odważają.

Oracz pługiem żarżnie w ziemię,
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek[4]).

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają;
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna.

On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi.
Skoro też siew odprawiemy,
Komin wkoło obsiędziemy.

Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte[5]),
Tam trefne pięsy[6]) z ukłony,
Tam cenar, tam i goniony[7]).

A gospodarz, wziąwszy siatkę,
Idzie mrokiem na zasadkę[8]),
Albo sidła stawia w lesie:
Jednak zawżdy co przyniesie.

W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze,
A rozliczni ptacy wkoło
Ozywają się wesoło.

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie[9]) skaczą leśni.

Zatem sprzętna[10]) gospodyni
O wieczerzej pilność czyni[11]),
Mając doma ten dostatek,
Że się obejdzie bez jatek.

Ona sama bydło liczy,
Kiedy, z pola idąc, ryczy,
Ona i spuszczać[12]) pomoże:
Męża wzmaga, jako może.

A niedorośli wnukowie,
Chyląc się ku starszej głowie,
Wykną przestawać na male[13]),
Wstyd i cnotę chować wcale[14]).

W ten czas, gościu, bywaj u mnie,
Kiedy wszytko najdziesz w gumnie;
A jeśli ty rad odkładasz[15]),
Mnie do siebie drogę zadasz[16]).

(Jakie zawody nierolnicze wymienia panna dwunasta? Co im przygania? Jakiemi korzyściami darzy wieś, jakiemi przy-

---

[1]) Wysługują się po dworach pańskich. [2]) Znajdziesz i takiego, który wynajmuje swój język i każe sobie płacić za poradę; mowa tu o „prokuratorach“, t. j. obrońcach. [3]) Gardło = życie. [4]) Bydło. [5]) Gadki pokryte = zagadki. [6]) Wesołe pląsy. [7]) cenar, goniony — rodzaje tańców, bliżej nam nieznane. [8]) Na zasadzkę. [9]) Starożytni Rzymianie wierzyli w bożka Fauna, opiekuna lasów i pól. [10]) Skrzętna. [11]) Troszczy się o wieczerzę. [12]) Spuszczać, rozumie się: z łańcucha. [13]) Na małem. [14]) W całości, nienaruszenie, [15]) Rozumie się: odwiedziny. [16]) Zmusisz mię, bym się wybrał do ciebie.

jemnościami? Przypomnijmy sobie, czy są to te same korzyści i przyjemności, o których mówił Rej w Żywocie człowieka poczciwego? — Jakie żywe obrazy możnaby stworzyć na podstawie pieśni dwunastej?).

Powaby życia wiejskiego opiewał Kochanowski nietylko w Pieśni świętojańskiej o sobótce. Tak np. w pieśni p. t. *Powrót wiosny a czyste sumienie* czytamy:

Serce roście [1]), patrząc na te czasy!
Mało przedtem gołe były lasy,
Śnieg na ziemi wyższej [2]) łokcia leżał,
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.

Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,
Lody zeszły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie [3]) świat się wszytek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodny wieje,
Ptacy sobie gniazda omyślają,
A przede dniem śpiewać poczynają.

Ale to grunt wesela prawego [4]),
Kiedy człowiek sumnienia całego,
Ani czuje w sercu żadnej wady,
Przeczby [5]) się miał wstydać swojej rady [6]).

Temu wina nie trzeba przylewać,
Ani grać na lutni, ani śpiewać:
Będzie wesół, byś chciał, i o wodzie,
Bo się czuje prawie [7]) na swobodzie.

Ale kogo gryzie mól zakryty [8]),
Nie idzie mu w smak obiad obfity;
Żadna go pieśń, żadny głos nie ruszy [9]),
Wszytko idzie na wiatr, mimo uszy...

(Czego widok sprawia poecie radość? Co radość tę zwiększa? Czy jednak — według poety — każdego serce raduje się na wiosnę? Cóż więc jest podstawą szczęścia ludzkiego? A co

---

[1]) Rośnie. [2]) Wyżej. [3]) Prawdziwie. [4]) Prawdziwego. [5]) Dlaczegoby. [6]) Rada = myśli i postępki. [7]) Prawdziwie. [8]) Ukryty. [9]) Nie wzruszy.

robią niektórzy ludzie, ażeby doznać uczucia szczęścia? — Czy z myślami, wypowiedzianemi w tej pieśni, spotkaliśmy się już w tym roku?).

O zadowoleniu, jakiem darzy „czyste sumienie“, nie w tej pieśni po raz pierwszy pisał Kochanowski, ale nie wystarcza — według niego — nie mieć na sumieniu złych uczynków; do zupełnego szczęścia potrzeba jeszcze czegoś więcej. Czego mianowicie, to wyjaśniają nam słowa samego poety:

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda;
Nad wszystkiem inszem panuje przygoda“.

A w innej pieśni tak się Kochanowski odzywa:

„Cnocie niebo zapłata i wieczne wesele,
W rozkoszach świata tego źle pokładać wiele;
Wszytko to jako trawa czasu swego minie,
Ale sława poczciwa i po śmierci słynie“.

Od czegoż zaś głównie zawisła ta „sława poczciwa“, co „i po śmierci słynie“? Na to daje Kochanowski odpowiedź w przepięknych słowach:

„A jeśli komu droga otwarta do nieba —
Tym, co służą ojczyźnie!...“

On sam służył jej tem, co miał najszacowniejszego: swojemi zdolnościami poetyckiemi.

W wierszu „Na dom w Czarnolesie“ błagał Kochanowski Stwórcę o błogosławieństwo do końca żywota, o starość pogodną. Niestety nieszczęście czaiło się już w progach jego domu. Ukochana jego córeczka Orszulka pożegnała przedwcześnie ten świat, pozostawiając ojca i matkę w nieutulonym żalu i wówczas ból swój głęboki wyśpiewał poeta w pieśniach, którym nadał tytuł *Treny* (t. j. żale, lamenty).

Z Trenów.

Patrząc na szatki, pozostałe po umiłowanej dziecinie, biadał:

Nieszczęsne ochędóstwo [1]), żałosne ubióry,
Mojej najmilszej córy!
Poco me smutne oczy za sobą ciągniecie,
Żalu mi przydajecie?
Już ona członeczków swych wami nie odzieje,
Niemasz, niemasz nadzieje [2]).
Ujął ją sen żelazny, twardy nieprzespany,
Już letniczek pisany [3])
I uploteczki [4]) w niwecz [5]) i paski złocone,
Matczyne dary płone [6]).

Nie taką wyprawę obiecywała sobie matka dać córce, gdy kiedyś dorośnie...

Giezłeczko [7]) tylko dała, a lichą tkaneczkę [8]);
Ociec ziemie [9]) bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż, i posag i ona
W jednej skrzynce [10]) zamkniona!

(Tren VII).

(Co poeta widzi, a co sobie przypomina? Które słowa jego wzruszają nas najsilniej?).

Wiadomo, że po stracie ukochanej osoby odczuwa się wielką pustkę. Nic to, że sporo osób snuje się po komnatach, brak tej jednej, najdroższej. Takiego uczucia doznawał i poeta i skarżył się boleśnie:

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było,
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytki-ś w domu kąciki zawżdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,

---

[1]) Strój. [2]) Nadziei. [3]) Letniczek pisany = sukienka letnia wzorzysta. [4]) Wstążeczki do wplatania we włosy. [5]) Na nic. [6]) Nadaremne. [7]) Koszulkę. [8]) Sukienkę z tkaniny. [9]) Ziemi. [10]) Trumience.

Ryc. 6. Kochanowski nad zwłokami Orszulki (Obraz Jana Matejki).

To tego, to owego wdzięcznie obłapiając![1])
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje[2]),
A serce swej pociechy darmo upatruje. (Tren VIII).

(Czem ożywiała Orszulka dom poety? Które słowa trenu VIII wywarły na nas najsilniejsze wrażenie?).

Pod wpływem bolu zaczął poeta tracić wiarę w wartość nauki, mądrości, bo cóż mu ta mądrość w nieszczęściu pomogła? Co gorsza, zwątpił chwilowo, czy przyda się człowiekowi na cokolwiek cnota, skoro nieszczęścia godzą zarówno w złych jak w cnotliwych. Ale wówczas

---

[1]) Obejmując. [2]) Chwyta.

przyszło zastanowienie. Poeta spostrzegł, że są to myśli niegodne chrześcijanina, obrażające Stwórcę, o czem wymownie świadczą jego słowa:

Żałości, co mi czynisz, owa[1]) już oboje
Mam stracić: i pociechę i baczenie[2]) swoje?

Więc do Boga zwraca się teraz poeta, w pokorze błaga Go o litość, a jakby chcąc usprawiedliwić się przed drugimi i samym sobą z tych myśli, które mu poczęły mącić „baczenie“, wyznaje:

Żaden ociec podobno barziej[3]) nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował;
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było:
Ochędożne[4]), posłuszne, karne, niepieszczone[5]),
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę;
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewniwe[6]),
Dobrowolne[7]), układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona po ranu[8]) karmie[9]) nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko[10]) ojcu wszytkie przebyć progi;
Zawżdy się uradować i przywitać z drogi;
Każdej roboty pomóc, do każdej posługi
Uprzedzić było wszytki rodziców swych sługi[11]).
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść, upadła od swejże bujności,
Żniwa nie doczekawszy. — Kłosie mój jedyny,
Jeszcześ mi się był nie zstał[12]), a ja twej godziny[13])
Nie czekając, znowu się w smutną ziemię sieję,
Ale pospołu z tobą grzebę[14]) i nadzieję.

---

[1]) Oto. [2]) Zastanowienie, rozsądek. [3]) Czytaj: bar-ziej (bardziej). [4]) Czyste, lubiące porządek. [5]) Nie rozpieszczone, [6]) Nie zazdrosne. [7]) Ochotne. [8]) Rano. [9]) Pokarmu. [10]) Naprzeciw. [11]) Domyśleć się trzeba: było jej zwyczajem. [12]) Nie dojrzał. [13]) Godziny dojrzenia, pory dojrzenia. [14]) Grzebię.

Bo już nigdy nie wznidziesz[1]) ani przed mojema[2])
Wiekom wiecznie[3]) zakwitniesz smutnemi oczema[4])
(Tren XII).

(Ile lat liczyła Orszulka? Czem — w tak młodym wieku — mogła zadziwiać, czem przywiązać głęboko do siebie? Co uważa nieszczęsny ojciec za powód śmierci dziecięcia? Zastanówmy się, jak wytłumaczymy sobie porównanie dzieciny do kłosu?).

Pocieszenia doznał poeta dopiero we śnie. Zjawiła mu się w nim nieboszczka matka jego z Orszulką na ręku i przestrzegła go przed pogrążaniem się w nadmiernym, rujnującym zdrowie żalu. Żal to zaś nieuzasadniony, bo i czegoż po zmarłym rozpaczać:

Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tem ważniejszy[5]),
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.
Ziemia w ziemię się wraca, a duch, z nieba dany,
Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?
O to się ty nie frasuj a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza[6]) Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci się kształtem[7]) ukazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała[8]);
Ale między anioły i duchy wiecznemi
Jako wdzięczną jutrzenka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
(Tren XIX).

(W jaki sposób matka stara się pocieszyć poetę?).

(Jakie myśli i jakie uczucia budzi w nieszczęśliwym ojcu widok sukienek i stroików zmarłego dziecka? Jakie przymioty dziecka przywodzi mu na myśl pustka, którą odczuwa? W co poczyna wątpić pod wpływem bolu? Które słowa są świadectwem, że poeta sam przeląkł się swych myśli i potępił je? Do kogo się wówczas zwraca? W jaki sposób stara się usprawiedliwić? Czy Bóg wysłuchał próśb jego o zmiłowanie? Który

[1]) Nie zejdziesz. [2]) Mojemi. [3]) Na wieki wieków. [4]) Oczyma. [5]) Wiedziemy żywot tem cenniejszy. [6]) Najmilsza. [7]) W takiej postaci. [8]) Ażeby ją mogły poznać twe oczy śmiertelne (bo ducha nie dojrzałyby).

tren wzruszył nas najbardziej? — Pomyślmy, czy obraz Matejki moglibyśmy uważać za ilustrację do któregoś z pomieszczonych w tej książce trenów).

Śmierć Orszulki nie była ostatnim z ciosów, które miały ugodzić w poetę. Niebawem stracił drugą córkę, Hannę, a w jakiś czas potem Turcy zabili mu szwagra. Kochanowski, choć chory, podążył do króla, aby domagać się sprawiedliwości, ale tknięty apopleksją zakończył życie w Lublinie w roku 1584.

(W których utworach Kochanowskiego ton był radosny, pogodny, w których pełen smutku? Co budziło w poecie radość, co mu ją odebrało? O jakie łaski prosił poeta Boga dla siebie? Czego jednak, według poety, trzeba koniecznie człowiekowi, ażeby czuł się zupełnie szczęśliwym? Kto zaś ma otwartą drogę do nieba?)

Prócz pieśni religijnych i świeckich, prócz przekładu psalmów, prócz Trenów, napisał Kochanowski utworów więcej, a niektóre, według zwyczaju trwającego jeszcze wówczas, po łacinie.

Ale przeważnie pisał po polsku i on pierwszy dał narodowi swemu w jego własnym, ojczystym języku to, co nazywamy prawdziwą poezją. Albowiem w wierszach Kochanowskiego są nietylko rymy, lecz także bardzo piękny język, prześliczne obrazy (jak np. „Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi I okryłeś jej nagość zioły rozlicznemi“), a nadewszystko wielka szczerość uczuć. Poeta umie wyśpiewać i radość i ból, my zaś czujemy, że wszystko to pochodzi z głębi duszy.

(Co poczytaliśmy za główną zasługę Reja? A co uważać będziemy za główną zasługę Kochanowskiego?).

Za czasów Kochanowskiego wpadli do Polski Tatarzy i straszliwie spustoszyli Podole. Wołał wówczas poeta: „zetrzyj sen z oczu, cny Lachu“ (Polaku), bo oto dożyłeś takiej hańby, że napadają na ciebie zbójcy, a ty nie umiesz stawić im czoła. Ale my nie starliśmy niestety

snu z oczu. Męstwa, bohaterstwa nie brakło nam; umieliśmy natrzeć na przeważające siły nieprzyjacielskie i rozbić je w puch, ale nie pomyśleliśmy o zabezpieczeniu granic, a wielu zbyt zaczęło dbać o własne korzyści i własne znaczenie, mniej zważając na dobro ojczyzny. Ci, co mieli rozum bystry a serce gorące, czuli, że poczyna się dziać niedobrze, i przestrzegali przed bolesnemi następstwami tej beztroski i rodzącego się samolubstwa, ale nikt nie potrafił tak przemówić do sumienia narodu jak skromny zakonnik ze zgromadzenia oo. jezuitów

ks. Piotr Skarga.

Niezwykle piękna to postać. We Lwowie, w Wilnie, w Krakowie roztaczał najtroskliwszą opiekę nad chorymi, nad ubogimi, nad więźniami, zakładał bractwa miłosierdzia, czynny był całe życie. Ale nietylko temi dziełami zasłynął. Gdy król Batory przemienił szkołę jezuicką w Wilnie na uniwersytet, Skarga został pierwszym rektorem tej uczelni i okazał, że i na tem stanowisku potrafi odpowiedzieć obowiązkom wcale niełatwym.

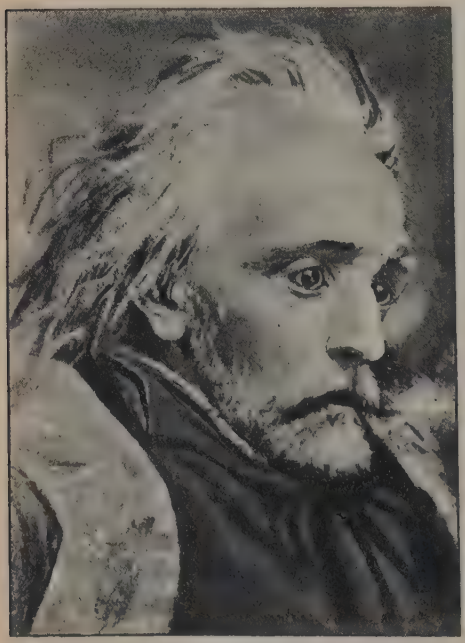

Ryc. 7. Piotr Skarga.

Największą jednak sławę zyskał sobie kazaniami. Był kaznodzieją złotoustym, wstrząsał słuchaczami, porywał ich. Gdy

przemawiał, wzrok jego poczynał pałać, głos, zrazu cichy, potężniał stopniowo coraz bardziej, a z ust padały słowa, groźne czasem jak grom, wywołujące bladość na licach i gwałtowne bicie serc. Dzięki owemu nadzwyczajnemu darowi wymowy zdołał nawrócić mnóstwo różnowierców na wiarę katolicką, sława zaś, jaką zdobył, spowodowała, że król Zygmunt III powołał go na stanowisko kaznodziei nadwornego. Odtąd przez dwadzieścia i trzy lata wygłaszał Skarga kazania na nabożeństwach w dzień otwarcia i zamknięcia sejmu, tudzież w dni świąteczne podczas trwania obrad sejmowych, w przytomności króla, posłów i senatorów. Drukiem ogłosił wśród wielu innych dzieł *Kazania sejmowe*. W tej postaci, w jakiej ukazały się drukiem, wygłoszone z kazalnicy nie zostały. Nie ulega jednak wątpliwości, że myśli, jakie zawierają *Kazania sejmowe*, były treścią wygłaszanych przez Skargę kazań. Wśród *Kazań sejmowych* znajduje się także kazanie *O miłości ku Ojczyźnie*.

Z kazania O miłości ku Ojczyźnie.

Sam Bóg — mówi w niem Skarga — rozkazał nam, abyśmy się miłowali. Dobrze jest miłować sąsiada, lepiej wszystkich, żyjących w tej samej miejscowości, w której my przebywamy, ale jeszcze lepiej wszystkich współobywateli, a więc całą ojczyznę swoją, całą Polskę.

„Jako najmilejszej[1]) matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała[2]), wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszytko, co macie, od niej jest? Która gniazdem jest matek wszytkich i powinowactw wszytkich i komorą dóbr waszych wszytkich?

Rozmyślcie, jakie od tej matki dobrodziejstwa i upominki macie. Ona wam wiary św. katolickiej, przez którą

---

[1]) Najmilszej. [2]) Obdarzyła.

do wiecznej ojczyzny przychodzicie, dochowała i Chrystusa, zbawienie wasze, i jego Ewangelijej dotrzymała.

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie. Samiście tylo[1]) sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością abo raczej swowolnością przeszkody sobie czynicie. Tureckiego i moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie jakie uciśnienie i tyraniją cierpią. Nie taka to ojczyzna wasza! Matką wam jest, a nie macochą! Na ręku was swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści.

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni wozów takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma. Pierwej rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wasze woniają. Pierwej samodziałki boki nasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie. Pierwej proste rydwany i rzadkie, częste siodła miasto poduszek, a teraz złote kolebki i karety. Pierwej proste potrawy, a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszytkim, a teraz półmisków kiladziesiąt. O namilsza matko! Już zbytkują dzieci twoje. Źle tych dostatków używają: na grzechy, na utraty, na próżności. „A ja co winna? mówi: mają rozum, mogą tych darów bożych używać na kościoły i chwałę bożą, na obrony i zamki; ja niewinna, iżem w dawaniu matką; oni winni, bo mię nie słuchają, a dobroci mojej i boskich darów źle używają“.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze.

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe

[1]) Tylko.

hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszytkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo, gdy okręt obrony niema, i on ze wszytkiem, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszytkiego zapomniawszy, dopiero swe wszytko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszytkich nas niesie, wszytko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności jego wszytkiem, co w domu jest, nie pogardzamy, zatonie i z nim my sami poginiemy.

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony i mienia, skarby i wszytko, w czem się kochacie; nie dajcie im tonać a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem i bracią swoją.

Są drudzy, co mówią: co mnie po Królestwie i Rzpltej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę? To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate! Pana Boga proś o potrzeby swe, a przestaj na swym stanie, ale nie bądź utratnikiem i próżnującym. Boże! aby się takich, jako monstrów jakich, mało najdowało, którzy sroższej niźli bestyje nieludzkości i krwie rozlania pełny są.

Takich podobno więcej, którzy służyć Rzpltej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, abo gdy im zato nie płacą. Ci są dziwnie głupi. Nikt zato zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszytko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: płać mi, iż zdrowia i domu swego, żony i dziatek moich bronię. Sama obrona zapłatą tobie jest; czegóż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpisz, zdrowie swoje upatrujesz, iżali zato zapłaty chcesz? Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna.

Boże! Spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej, ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowiem, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szczęśliwie mogli".

(Dlaczego według Skargi powinniśmy kochać ojczyznę? Czy także interes własny nie każe nam jej kochać i oddawać jej usług? Co grozi tym, którzy w czasie powszechnego niebezpieczeństwa o sobie tylko myślą? Dlaczego grzeszą ci, którzy przestają dbać o ojczyznę, gdy jeno pragnieniom swym nie mogą uczynić zadość? Dlaczego głupcami są tacy, którzy każą sobie płacić za usługi oddane ojczyźnie? — Który ustęp kazania najbardziej nas wzruszył? Kiedy podczas czytania „O miłości ku ojczyźnie" przypominały się wam pewne słowa Kochanowskiego? — Czy wy, oprócz dobrodziejstw, wymienionych przez Skargę, nie zawdzięczacie ojczyźnie jeszcze czegoś więcej?).

W innem kazaniu mówił Skarga o niezgodzie wśród synów tej samej ziemi i przepowiadał, że z tej niezgody mogą wyniknąć straszliwe nieszczęścia. W uniesieniu jakby proroczem widział one klęski, rozbiory kraju i lud swój wydany na łup obcym i wszystkie katusze, które na nas spaść miały. „Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę, i mówić będzie: Rozdzieliło się serce ich: teraz poginą. I czasu, tak dobrego do waszego złego, a na swoje tyraństwo pogodnego, nie omieszka. Czeka na to ten, co źle wam życzy, i będzie

mówił: Euge, euge! teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich, odjąć się nam nie mogą. I ta niezgoda przywiedzie na was niewolą, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą... Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą... Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. ...Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli, jako Pismo święte przegraża, w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszytkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto, iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszytkiego... Do takich utrat i przeklęctwa pewnie was ta wasza niezgoda i roztyrki domowe przyprawią. Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i najazdem postronnych nieprzyjaciół zginąć możecie, jako waszą niezgodą. Jabłko gdy z wierzchu się psować pocznie, wykroić się zgniłość może, iż potrwa; ale gdy wewnątrz gnić i psować się pocznie, wszytko zaraz porzucić musisz i o ziemię uderzyć". Więc zaklinał: poprawcie się, żyjcie w zgodzie, w jedności.

Do poprawy nawoływał Skarga także w kazaniach niesejmowych, wzór zaś do naśladowania tym, którzy pragnęliby być szczególnie świątobliwymi, dał w „Żywotach Świętych".

Pod koniec życia osiadł sędziwy kaznodzieja w Krakowie, w ubogiej celce. Modlił się całemi godzinami, czytał księgi święte, lał świece woskowe do kościołów. W roku 1612 zakończył świątobliwy żywot. Zwłoki wielkiego kaznodziei spoczęły w kościele św. Piotra w Krakowie.

Prócz Reja, Kochanowskiego i Skargi było w szesnastym wieku wielu innych pisarzy, i takich, którzy pisali

prozą i poetów, wszyscy zaś niemal, wykształceni na utworach piśmiennictwa starożytnego, pisali bardzo pięknie. I wszyscy niemal, jak Rej, jak Kochanowski, jak Skarga, chcieli być nauczycielami swego narodu, wzywali do ukochania Stwórcy i bliźnich, uczyli miłości ojczyzny. A miłość ta według nich nietylko na ustach ma być i nietylko w sercu, ale winna objawiać się także w uczynkach. Dopiero ten kocha naprawdę Polskę, kto dla jej dobra wyrzecze się „złotej wolności“, swawoli, kto potrafi być karnym, żyć cnotliwie bez krzywdy drugiego, a gdy trzeba, odda za ojczyznę życie.

W wieku XVII.

Czasy królów z dynastji Wazów, Wiśniowieckiego i Sobieskiego.

Oznaki powolnego upadku. Złotych nauk, których nam nie szczędzili mądrzy nauczyciele, jak Skarga i inni, nie usłuchaliśmy. W wieku siedmnastym strzeże się nadal pilnie złotej wolności, baczy się, aby nic z przywilejów szlacheckich nie utracić, a mało kto pomyśli, że w ten sposób wyrządza się szkodę całości. Nie brak też w tem stuleciu rokoszów przeciw władzy królewskiej. Co zaś najgorsze i najsmutniejsze: na sejmach nie można uchwalić pożytecznych ustaw, bo począwszy od połowy stulecia, jeden poseł może sejm zerwać, gdy wyrzeknie tylko dwa słowa: nie pozwalam.

Zapał dla wiedzy, dla oświaty powoli zanika. W szkołach uczy się niewiele, prawie wyłącznie łaciny, przyzwyczaja się zaś młodzież do wygłaszania mów bardzo szumnych, ale bez treści, upstrzonych łaciną.

Ogół tępieje i gnuśnieje, coraz więcej miłuje „pożytki swoje pojedynkowe“.

Przejawy dawnych cnót. Nie odrazu jednak zniknęły wszystkie dawne cnoty Polaków. Byli w siedmna-

stym wieku ospali, i samolubni i warcholi i niestety zdrajcy nawet, jak przeklętej pamięci Radziejowski, ale byli jeszcze i ludzie zacni, mężni, gotowi do poświęcenia życia za ojczyznę, jak Żółkiewski, jak później Czarniecki, jak król Sobieski, a nawet tak świętością budujący jak przeor paulinów, ksiądz Kordecki. Co więcej, gdy niebezpieczeństwo doszło do ostatecznych granic, wśród ogółu budził się dawny duch rycerzy grunwaldzkich, a pokazało się to szczególniej podczas oblężenia Zbaraża przez Kozaków i Tatarów, w czasie obrony Częstochowy i przy odsieczy Wiednia.

W wojnach, spowodowanych najściem szwedzkiem, brał udział wśród tysiąca innych, szlachcic z rawskiego, w mazowieckiem

Jan Pasek.

Wojaczkę lubił, więc z zaciągnięciem się do wojska nie zwlekał. Walczył pod dowództwem Czarnieckiego ze Szwedami, ze zdradzieckim Rakoczym[1]), z Moskwą, poczem osiadł na wsi w krakowskiem, ożenił się i gospodarzył, chodząc dzierżawami. Był to jednak duch niespokojny, jak wielu ze szlachty w tych czasach. Ciągle wadził się z sąsiadami, krewnymi nawet, ustawicznie się z kimś procesował. Przytem, znów jak wielu ze współczesnych mu, lubił pić i hulać, przebierając często miarę. Gdy go wesele opanowało, nie było towarzysza nad niego, gdy wpadł w gniew, niczem mu było ugodzić czekanem niewinnego człowieka. Słowem wad w nim było więcej niż zalet, ale też właśnie dlatego warto go poznać, bo takich, jak on, było wówczas niemało z pośród szlachty. Że byli i inni, lepsi, o tem pamiętamy.

---

[1]) Jerzy II Rakoczy, książę siedmiogrodzki, uderzył w czasie panowania Jana Kazimierza na Polskę wówczas, gdy Rzeczpospolita zmagała się ze Szwedami.

Osiadłszy na roli, zabrał się były wojak do spisywania pamiętników, i pokazało się, że umie pisać nadzwyczajnie. Ani myślał o tem, aby stworzyć coś bardzo ozdobnego, szumnego, jak go w szkołach jezuickich, do których uczęszczał, uczono, przeciwnie pisał poprostu, tak jak myślał, jakby komuś opowiadał to, co przeżył i na co patrzył.

Z Pamiętników Paska.

Jak się powiodło Rakoczemu (1657).

Mielismy wojnę węgierską... Złodziej Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra... Zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego, niż węgierski, smaku.

Aleć dano mu nietylko czosnku, ale i dzięgielu[1]) z kminem. Bo jak on tylko wyszedł zagranicę, zaraz Lubomirski Jerzy[2]) poszedł w jego ziemię, palił, ścinał, gdzie tylko zasiągł, wodę a ziemię zostawił. A potem, od matki Rakocego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby nie wszytkiego czosnku zjadał, przynajmniej na rozmnożenie zostawił. A my też już z Czarnieckim posługiwali, jakeśmy umieli: i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wojsko wszystko zgubił, sam się w nasze ręce dostał, potem, uczyniwszy targ o swoję skórę, pozwolił miljony i, uprosiwszy sobie zdrowie, do granicy umknął... Gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przeklęstwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiej pogubił; wpadł w desperacją i umarł. Otóż tobie czosnek!

Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia. W oczach jej padł koń pod nim. Przesiadł się tedy na inszego: załamał się pod nim dyl

---

[1]) Dzięgiel — roślina mocno woniejąca, ostrego smaku (dać dzięgielu z kminem = dojąć do żywego). [2]) Marszałek wielki koronny, hetman polny.

w moście, i znowu spadł z konia. I na to powiedział, że dyl był zły. Jakto przecie te praesagia[1]) zwyczajnie się weryfikują[2]).

Bitwa z Moskalami — pod Lachowiczami (1660)[3]).

Było tedy na 40.000 Moskwy, naszego i z Litwą tylko 15.000. Bardzo to mały kawałek[4]), ale przecie nadzieja nas cieszyła... Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk[5]) kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wziąwszy na pomoc, wcześnie tę zaczęli igraszkę. Idąc tedy, każdy swoje odprawował nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował[6]), żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszedłszy tedy o pół mile od Połonki[7]), stanęło wojsko do szyku. Szykował swoje Czarniecki, Sapieha[8]) też swoje. Prawe skrzydło dano Wojniłowiczowi z królewskim pułkiem, lewe skrzydło Połubińskiemu, armatę[9]) i piechotę.

Poczęto bić z armat z tamtej strony i rażono naszych. Gdzie tedy szło lewe skrzydło i korpus, to tam mieli ciężką przeprawę, gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota, że miejscem koń zapadał po tebinki[10]).

My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewem skrzydle. Kiedy poczną[11]) ognia dawać, kiedy poczną parzyć z dział: jako grad kule lecą: padło naszych dużo, drudzy postrzelani. Ale przecie wszystkim impetem poszliśmy na nich, bośmy wiedzieli, że trzeba było ledwie nie wszystkim ginąć, gdybyśmy mieli tył podać; ale jużeśmy tak oślep w ogień leźli, żeśmy się tak z nimi zmieszali, jako ziarno z sieczką, bo już trudno

---

[1]) Wróżby. [2]) Sprawdzają się. [3]) Lachowicze, miasteczko w nowogródzkiem nad rzeką Wiedźmą. [4]) Mała liczba. [5]) Otwór narzędzia dętego, który się do ust przykłada. [6]) Przygotowywał się do rozstania z tym światem. [7]) Połonka, miasteczko w nowogródzkiem nad rzeką Połonką. [8]) Hetman Paweł Sapieha. [9]) Artylerję. [10]) Sznury skórzane przy siodle, dla ozdoby. [11]) Rozumie się: Moskale.

było inaczej. Okrutna tedy stała się rzeźba[1]) w owej gęstwinie, a najgorsze były berdysze[2]). Kwadrans jednak nie wyszedł od owego zmieszania, wycięliśmy ich, że i jeden nie uszedł. Pode mną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolano... Przesiadłem się tedy natenczas na mego myszkę[3]), kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę.

Docinamy tedy owę piechotę, a Trubecki leci, ordynowany[4]) owym na sukurs[5]) z dziesięcią chorągwi bojarów dumnych i z trzema tysięcy rajtaryi. Stanęliśmy tedy frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby zjeść; wytrzymaliśmy, bośmy musieli. Kiedy widzimy, że nas gnietą w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie. Tak tylko tedy szablami ten tego, ten też tego w bożą godzinę. Leci trupów gęsto, aż kiedy ich chorągwi na ziemi leżało ze sześć, Trubeckiego towarzysz starosty dobrzyńskiego jak ciął w łeb, aż mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hosudarowie[6]) w nogi, my też po nich! Wparowaliśmy ich, siekąc, aż między samo wojsko. Padło ich tedy na placu z połowa.

A tu, jako w garcu, już się samo *corpus*[7]) potyka. Już Moskwa mieszają się, kręcą się, właśnie kiedy owo źle komu za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. A wtem natrze na nich *corpus* potężnie. Husarskie chorągwie skoczyły, my też tu złyłu uderzemy na nich. A wtem Moskwa w nogi!

Napadł na mnie jakiś patrjarcha z żółtą brodą, srogi chłop. Zajadę go: złoży do mnie pistolet, szabla złocista na tymblaku. Jam rozumiał, że wystrzelony miał, a straszy nim; przytnę śmiele, strzelił. A ja też tymże impe-

---

[1]) Rzeź. [2]) Berdysz: kij z siekierą. [3]) Myszka: koń myszaty. [4]) Wysłany. [5]) Pomoc. [6]) Hosudarami nazywano książąt i bojarów moskiewskich. [7]) Środek wojska.

tem ciąłem go w ramię; czuję się, że mi nic od owego strzelania. Po nim! Domogłem się[1]) go, znowu go w oko zajadę, bo jakoś ciężko uciekał, choć na dobrym koniu, czy też miał jaki szwank, czy też był ociężały jakiś. Tnę go przez czoło. Dopieroż zawoła: *Pożałuj!* Szablę mi podaje, a z konia leci.

Jeno co szablę odbiorę, aż ucieka na płowym bachmacie w rządziku złocistym jakiś młokos w atłasowym papużym żupanie; prochowniczka na nim na śrebrnym łańcuszku. Sunę do niego, przejadę mu. Młodziusieńki chłopiec, gładki, a *chrest*[2]) oprawny trzyma w ręku, a płacze: *Pożałuj dla Chrysta Spasa, dla Preczystoj Bohorodycy, dla Mikoły Cudotworca*[3]). Żal mi się go uczyniło, a widziałem, że wielkie kupy Moskwy i z tej strony i z tej bieżały prosto na mnie; obawiałem się, żeby mię nie ogarnęły. Nie chciałem się bawić koło niego, zabijać mi też żal go było, na owę jego gorącą rozpamiętywając modlitwę. Wziąłem mu tylko ów *chrest* z ręku, a wyciąłem go płazą przez plecy: *Utikaj, ditczy synu!*[4]). Kiedy to chłopię skoczy, podniósłszy ręce do góry, z oczu zginął wlot!... *Chrest* wziąłem mu piękny bardzo; było na oprawie ze dwadzieścia czerwonych złotych. Nie zabawiłem się koło owego smarkacza i pacierza jednego.

Skoczę do owego brodofiasza[5]), aż on już nago leży, a konia prowadzi towarzysz. Mówię do niego: „Jam nieprzyjaciela z konia zwalił, a ty go bierzesz? daj go sam, bo tego nabicia na ciebie odżałuję, com go na nieprzyjaciela nagotował“. Oddał mi tedy owego konia ślicznego, który był nie moskiewski, ale tych ruskich koni, czerwono-gniady, rosły; żal mi go było rzucać. Czeladnika żadnego niemasz, nie było go komu oddać; aż napadłem znajomego pachołka: „Weźmij ode mnie tego konia,

---

[1]) Dogoniłem. [2]) Krzyż. [3]) Zmiłuj się dla Chrystusa Zbawiciela, dla przeczystej Bogarodzicy, dla słynącego cudami Mikołaja. [4]) Uciekaj djabli synu. [5]) Brodacza.

a damci dziesięć talerów[1]), jak mi go wyprowadzisz; albo, jak się zjedziesz z którym z mojej czeladzi, oddaj go". Wziął tedy, a jam skoczył, gdzie się okrutnie zwarli Moskwa z naszymi...

Zajście w Wilnie (1662).

Po skończonym sejmie pojechałem do domu, gdzie mało co odpocząwszy, wyjechałem do Wilna. Wojskowych nazjeżdżało się siła. O gospody trudno było przy owem wielkiem ludzi zgromadzeniu, musiałem tedy stanąć w domu pustym, nowo zaczętym i jeszcze nieskończonym. Kazałem wartować, a sam wyszedłem na miasto.

Wracam, aż mi czeladź powiedają, że tu był towarzysz[2]), który sobie pretenduje[3]), że to jego kwatera i ma za urazę, że nie radząc się go, stanąłem tam. Konie chciał wyganiać, gdyby go był inszy, co z nim był, nie odwiódł, i deklarował znowu tu przyjść[4]). Jakoż niebawem idzie samosiedm[5]) i gospodarz, alias[6]) haeres[7]) tych pustków, w których ja stałem... Pyta mię: „A ty za czyjem tu pozwoleniem i ordynansem[8]) stoisz?" Odpowiem: „Kto mi pozwolił żyć i chodzić". Rzecze: „Ale to moja kwatera". Odpowiem: „Nie chwalebny z ciebie gospodarz, kiedy nie masz w domu pieca, okien i drzwi". Rzecze tych pustek pan: „Ej, mości panie, każ waść konie wygnać na ulicę". „Nie wyganiaj!"

Porwie się ów gospodarz odwięzować konie, a mój go czeladnik obuchem w piersi; padł. Do szabel! Jak się stał tumult[9]), uskoczył się z przycięcia jeden Litwin między konie. Jak go wytnie mój kasztanowaty nogami, padł i ten. To już dwaj leżą.

Wytoczyła się ta sprawa między pokrzywy już z izby; tamże dopiero po sobie. Mój wyrostek pilnował mi tyłu,

---

[1]) Talarów. [2]) Żołnierz jazdy polskiej, pochodzenia szlacheckiego. [3]) Rości. [4]) I oświadczył, że znowu tu przyjdzie. [5]) Sam z sześciu innymi. [6]) Inaczej. [7]) Dziedzic. [8]) Rozkazem. [9]) Zgiełk.

dwóch zaś czeladzi tuż podle mnie. Jakoś tam wyrostka ode mnie odsaczyli; urwał mię jeden ztyłu, ale przecie niebardzo, i zaraz na stronę odskoczył. Sunie na mnie inny prosto, tnie z mocy; wytrzymałem, a potem wytnę go przez puls. Nic to, dalej po sobie; mój też czeladnik jego pachołka w łeb ciął — padł. Ostatek też w dróżkę, a ja do izby, do swoich koni... A już też świtało.

(Spróbujmy nakreślić w niewielu słowach przebieg bitwy pod Lachowiczami. Spróbujmy narysować jej plan. Może potrafilibyśmy na podstawie opowiadania Paska o tej bitwie namalować jakiś obraz? Jakby on wyglądał? Kiedy czytamy Pamiętniki Paska, co podoba nam się u ich autora, a co się nam nie podoba? Z czego możemy wnosić, że pan Pasek był przesądny? Kiedy śmialiśmy się, czytając wyjątki z Pamiętników? Jeśli znana nam już jest Trylogja Sienkiewicza, zastanówmy się, czy pan Pasek nie przypomina nam której postaci z Trylogji).

Nie sądźmy, aby w wieku siedmnastym prócz pana Paska nikt więcej nie pisał; pisarzy, jak w poprzedniem stuleciu, było wielu, i prozaików i poetów, nawet więcej, niż w poprzedniem, ale z poetów żaden tak nie zasłynął, jak Kochanowski, a z kaznodziei żaden tak, jak Skarga.

W wieku XVIII.

Czasy saskie.

Upadek. Za panowania Wazów gnuśnieliśmy już, ale jeszcze zdobywaliśmy się na porywy bohaterskie, co było dowodem, że miłość ojczyzny niezupełnie wygasła w sercach ogółu; grzeszyliśmy, aleśmy się podnosili z upadku. Bardzo źle zaczęło się dziać dopiero za Sasów. W Polsce, na nasz wstyd, jęli gospodarować sąsiedzi, sejmy zrywano haniebnie, a mało kto już się tem gorszył. Zamarły dawne cnoty, szerzył się zbytek, rozpanoszyło się przekupstwo. Upadła oświata, pojawiały się książki niemądre, jedne wychwalające nad miarę możnych panów, drugie uczące

przesądów i zabobonów, a wszystkie niemal pisane cudackim językiem, często przeplatanym łaciną.

Przesilenie. Zasługi Konarskiego. Lecz w tych to właśnie czasach, w których — zdawało się — pogrążamy się w przepaść bez dna, znaleźli się ludzie zacni, kochający cały swój naród, mądrzy przytem a wytrwali, którzy wypowiedzieli walkę ciemnocie, bezrządowi i samolubstwu i zabrali się do gorliwej pracy nad odrodzeniem narodu.

Do takich jednostek, godnych wdzięcznej, wiecznie żywej pamięci, należał między innymi król Stanisław Leszczyński, największe jednak zasługi położył zakonnik pijar ks. Stanisław Konarski. Założył on w Warszawie szkołę wzorową, a we wszystkich szkołach pijarskich ulepszył sposoby nauczania. Młodzież miała nietylko wyuczać się lekcyj, ale także zrozumieć dobrze to, czego się uczy. Wprowadził Konarski do szkół naukę języka ojczystego i rozmaitych przedmiotów pożytecznych, polecił przestrzegać, aby uczniowie wyrażali się poprostu a jasno. To też kiedy ze szkół czy jezuickich czy pijarskich czy innych przed Konarskim wychodziła młodzież nie umiejąca naprawdę nic, prócz łaciny i popisywania się szumnemi mowami, szkoły, ulepszone przez Konarskiego, wypuszczały w świat młodzieńców z wiadomościami gruntownemi i pożytecznemi.

Ale nie wyłącznie o rozum młodzieży dbał Konarski. Chciał on wychować nietylko ludzi mądrych, ale także szlachetnych, nadto zaś dobrych Polaków: pragnął, żeby wychowankowie jego żyli po bożemu i umieli pracować dla ojczyzny. Więc już w szkołach dowiadywała się młodzież, że próżniak jest niegodziwcem, że jednym z najcięższych grzechów jest samolubstwo, że bezrząd jest nieszczęściem kraju, a silna władza koniecznością.

Idąc za przykładem Konarskiego, ulepszali księża jezuici swoje szkoły, i tak z biegiem czasu odrodziło się szkolnictwo w całej niemal Polsce.

(Kiedy pogrążyliśmy się w największym upadku? Kto i w jaki sposób zasłużył się głównie około odrodzenia narodu?)

Czasy Stanisława Augusta.

Moda francuszczyzny. Jeszcze przed wstąpieniem na tron Stanisława Augusta ten i ów z możnych panow, powróciwszy z podróży do Francji, wprowadzał u siebie zwyczaje francuskie, ale dopiero za Poniatowskiego moda francuszczyzny zapanowała w Polsce wszechwładnie. Uległ zmianie wygląd mieszkań, zmienił się strój, zmieniały się upodobania. Przykład szedł zgóry, od króla.

Pałace, dwory, ogrody. Już za Sasów niektórzy z magnatów poczęli wznosić pałace i zamki na sposób przyjęty wówczas we Francji, z obszerną jadalnią i z mnóstwem pokoi mniejszych, bardzo zdobnych, z pięknie malowanemi sufitami. Nie obaczyłeś już w nich podłóg z tarcic, lecz parkiety układane w tafle, a dzięki powleczeniu woskiem i wyfroterowaniu świecące się jak zwierciadło. Za Stanisława Augusta, za przykładem możnych, szła szlachta i bądźto przerabiała stare pradziadowskie dwory, bądź stawiała nowe. Naśladowała też możnych panów w urządzaniu izb dworu, wyzłacać kazała listwy, gzymsy i obwody spodnie, ściany obijała płótnem malowanem w kwiaty lub tapetami. Na ścianach pojawiły się zwierciadła w ramach wyzłacanych, a między zwierciadłami świeczniki kryształowe.

W ruinę szły dawne wspaniałe ogrody, pełne odwiecznych rozłożystych drzew, a na ich miejsce zakładano parki z grotami, posągami, wodotryskami, ze sztucznemi rozwaliskami wśród cyprysów, z głazami, na których ryto napisy, z rozmieszczonemi tu i ówdzie chatkami. Ale chatki te urządzone były wewnątrz równie po pańsku, jak pokoje pałacowe.

Strój, uczesanie. Jakiejże zaś zmianie uległy strój, fryzura! Szlachta, należąca do starszego pokolenia, nosiła

jeszcze kontusze, buty, czupryny podgalała, ale modny panicz, wzorujący się na strojach francuskich, wyglądał zupełnie inaczej. Kontusz zastąpił frakiem niebieskim, kanarkowym lub innej barwy, kamizelkę przywdziewał również kolorową, spodnie — obcisłe, zazwyczaj jedwabne, białe lub czarne, niżej pończochy, zgrabne meszty. U poły

Ryc. 8. Stroje francuskie.

fraka zwisała szpada, w ręku połyskiwała złota tabakierka. Twarz ogolona, na głowie peruka — pudrowana. A cóż mówić o stroju dam! O szerokiej spodnicy (krynolinie), o gorsie, ściskającym niemiłosiernie w pasie figurę, o fryzurze niezmiernie czasem wysokiej, wzniesionej na drutach, zdobnej koronkami, wstążkami, piórami!

Język towarzyski. Tak ustrojone towarzystwo toczyło w salonie albo całą rozmowę po francusku, albo przynajmniej wplatało do niej mnóstwo słów i zdań

francuskich. Należało to do dobrego tonu. Dobry ton nakazywał również czytać książki o ile możności tylko francuskie.

Ujemne następstwa naśladowania Francji. To wpatrywanie się we wzory obce miało następstwa dobre, miało i zgubne. Niedobre było lekceważenie obyczajów ojczystych, ślepe zaś naśladowanie cudzej mody, nie zastosowanej do naszego klimatu, trąciło nawet śmiesznością. Posługiwanie się w rozmowie obcym językiem potępiali już współcześni. Z książek francuskich można było wiele, bardzo wiele skorzystać, ale czytano je bez wyboru, zaznajamiano się więc także z pismami niedowiarków, szydzących z religji, z moralności. A wślad za tem namnożyło się w owe czasy i w Polsce wielu półmędrków, lekceważących wszystko, co czcili ich ojcowie.

Ryc. 9. Sylwetka głowy kobiecej z modną fryzurą.

Dodatnie następstwa wpływu Francji. Ale Francja miała wielu znakomitych myślicieli, uczonych, nie brakło w niej ludzi, którzy zastanawiali się nad tem, czy dobrze to, czy sprawiedliwie, gdy w tem samem państwie różne warstwy ludności mają różne prawa, gdy istnieją uprzywilejowani i pokrzywdzeni. Odpowiedź zaś na to pytanie brzmiała: dla wszystkich warstw istnieć winny prawa te same. Inni znów walczyli z przesądami, z zabobonami, zabobonników zaś wyśmiewali niemiłosiernie. Otóż w Polsce czytano dzieła także tych pisarzy i uczono się z nich

niemało. Dzięki wpływowi Francji i u nas zaczęły się odzywać głosy, że żadna warstwa społeczeństwa nie powinna się cieszyć większemi prawami, aniżeli warstwy inne, i u nas poczęły słabnąć uprzedzenia rodowe, i u nas wypowiedziano walkę ciemnocie, zabobonom i przesądom.

Zniknęła też przesada w wypowiadaniu myśli; każdy starał się mówić i pisać jasno.

Dodatni wpływ króla. Ruch umysłowy — podobnie jak w szesnastym wieku — ożywił się teraz ogromnie, a niemało przyczynił się do tego król, który skupiał około siebie uczonych, malarzy i poetów, otworzył w Warszawie pierwszy teatr publiczny, opiekował się szkołami.

Działanie Komisji Edukacyjnej. A szkoły były coraz lepsze, zwłaszcza od chwili, kiedy zajęło się niemi panstwo, poddając je pod opiekę t. zw. Komisji Edukacyjnej. Owa zaś Komisja Edukacyjna było to pierwsze w Polsce i wogóle pierwsze w Europie ministerstwo oświaty. Wstąpiła ona w ślady Konarskiego, tych samych zasad się trzymała, tak samo jak Konarski, pragnęła wychowywać ludzi oświeconych, zacnych i dobrych obywateli, słowem przez szkoły odrodzić naród. Zajęła się zaś szkołami wszystkiemi, a więc i powszechnemi i średniemi i wyższemi, i we wszystkich wprowadzała ulepszenia.

Żądania reform. Pracę rozpoczęła Komisja po pierwszym rozbiorze Polski, a więc wtedy, gdy pod wpływem strasznego ciosu otworzyły się oczy wielu z tych, którzy dotychczas przeciwni byli wszelkim zmianom. Utrata ogromnych obszarów ziemi i tysięcy ludności przekonała, że bez reform się nie obejdzie. Zrozumiano, że tych, którzy dotychczas dla Polski byli obojętni, trzeba oświecić i dla sprawy narodowej pozyskać, a pozyska się ich, gdy im się da równe z innymi prawa. Zrozumiano też, że trzeba postarać się o pełny skarb, zwiększyć liczbę wojska, obalić zwyczaj, dozwalający jednemu posłowi zerwać sejm, znieść szkodliwą obieralność króla.

Konstytucja 3 maja. Wykazywali to w dziełach swych znakomici ówcześni pisarze i zyskiwali wielu zwolenników. Im to zawdzięczamy uchwalenie przez sejm wiekopomnej konstytucji 3 maja (1791). Uchwała majowa to dowód wspaniały, że naród przejrzał, z dawnych wad się otrząsnął i wszedł na drogę poprawy. Niestety wrogie mocarstwa sąsiednie nie dozwoliły Polsce wprowadzić uchwał konstytucji w życie. W chwili, gdy dusza narodu się odradzała, dokonały na Państwie Polskiem najstraszliwszej w świecie zbrodni.

Kto zawinił. Hańba zbrodni rozbiorów spada na jej sprawców — czyn swój mieli odpokutować srogo — ciśnie się jednak pytanie, czy i my sami nie przyłożyliśmy ręki do tego, że przez lat sto zgórą całe pokolenia znosić miały srogie męki niewoli? Odpowiedź prosta: była wina i po naszej stronie. Wadziliśmy się między sobą nieustannie, dopuściliśmy do tego, że rozwielmożnił się u nas bezrząd, nie troszczyliśmy się o to, czy w skarbie państwa są pieniądze, baliśmy się wszelkiego wysiłku, a że to trwało przez długie dziesiątki lat, osłabliśmy tak, że w chwili stanowczej nie zdołaliśmy skutecznie stawić czoła obcej przemocy.

(Kiedy zaczęła się w Polsce szerzyć moda francuszczyzny? Jakim zmianom uległo urządzenie domów, ogrodów, jak zmienił się strój, jakim językiem poczęto się posługiwać w rozmowach? Jakie były ujemne następstwa wpatrywania się we wzory francuskie, jakie dodatnie? W jaki sposób przyczynił się król do ożywienia ruchu umysłowego w tej dobie? Dzięki czemu w szkolnictwie zaczynało dziać się coraz lepiej? Co głównie przekonało szlachtę o potrzebie reform? Jakich reform żądali ówcześni pisarze? Co było uwieńczeniem ich pracy? Dlaczego nie zdołaliśmy uratować państwa?)

Naród za Stanisława Augusta przejrzał. Nie należy jednak mniemać, że stało się to nagle, że odrazu poprawili się wszyscy. Nie brakło także w dobie stanisławowskiej i przedajnych i marnotrawców i panów nieludzkich

wobec włościan, a przybyli do tego grona półmędrkowie, zarażeni niedowiarstwem. Przed tymi wszystkimi postanowił postawić jakby zwierciadło, ażeby przyjrzeli się w niem i zobaczyli swe wady i grzechy, ksiądz

Ignacy Krasicki

z Dubiecka, nad Sanem, potomek rodu znakomitego, w młodych już latach biskup warmiński, pod koniec życia arcybiskup gnieźnieński, osobisty przyjaciel króla Stanisława Augusta. Ilekroć bawił ksiądz biskup w Warszawie, z pewnością w czwartek można go było zastać w pałacu łazienkowskim na obiedzie u króla. Wydawał bowiem król w czwartki obiady dla uczonych, poetów, malarzy, ale tylko dla najznakomitszych, a sercu królewskiemu miłych.

Ryc. 10. Ignacy Krasicki.

Zastawiano wówczas stoły w podkowę, na stołach umieszczano małe zwierciadła, na nich alabastrowe posążki. Między posążkami widniały marmurowe wazony z pięknemi kwiatami. Przewodniczył biesiadzie król. Brali w niej udział i wydawca Monitora, czasopisma, nawołującego do naprawy obyczajów, i autor historji Polski ks: biskup Naruszewicz i dyrektor teatru publicznego i członkowie Komisji Edukacyjnej i inni. Podczas obiadu toczyła się ożywiona rozmowa, a po obiedzie goście królewscy odczytywali, co kto przyniósł z sobą, więc wydawca Monitora

jakiś artykuł, przeznaczony do najbliższego numeru czasopisma, ks. Naruszewicz jakiś ustęp ze swych prac historycznych, a poeci wiersze. Największe jednak było święto, gdy wystąpił Krasicki, czyto z bajką, czy z jakimś innym utworem, bo głos powszechny jego właśnie uważał za największego z pośród poetów w tych czasach.

(Przypomnijmy sobie te bajki Krasickiego, które poznaliśmy w poprzednich latach nauki. Jaką myśl zawierała każda z nich? Czego chciał nas Krasicki swemi bajkami nauczyć, czego oduczyć?).

Prawie wszystkie bajki Krasickiego są krótkie, nieraz czterowierszowe, ale pisał on również utwory dłuższe, i one to właśnie były jakby zwierciadłem, w którem niejeden spostrzegał — siebie. Krasicki ośmieszał w nich rozmaite wady, ażeby w grzeszących obudzić głos sumienia; nazywamy zaś takie utwory, w których poeta, nie wymieniając nikogo, chłoszcze występki i błędy ludzkie w celu wywołania poprawy, satyrami.

Wiemy, że za czasów saskich rozwielmożnił się zbytek. W parze z nim szło często marnotrawstwo. Takich jednak, którzy w zbytku się pogrążali i mienie marnotrawili, nie brakło także za Stanisława Augusta. Wiemy, że za panowania tego króla przebudowywano dwory wiejskie, psując niemiłosiernie dawne, staroświeckie komnaty. Skłonni byli do tego zwłaszcza młodzi panicze, tacy, którzy pragnęli, aby u nich wszystko było modne, choćby to Bóg wie wiele kosztowało. Ich to obraz znajdziemy w satyrze p. t. „Marnotrawstwo“.

Marnotrawstwo.

Znałeś dawniej Wojciecha? — Któż nie znał! Co teraz
Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz,
Niegdyś w karecie, z której dął się i umizgał,
Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.
Ustępowali z drogi wielmożnemu panu 5
Lepsi i urodzeniem i powagą stanu.

Nieraz ten, który przedtem od filuta[1]) stronił,
Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się ukłonił.
Musiał czcić, czegóż złoto nie potrafi dzielne?
10 Niedługo przecież trwały te czasy weselne.
Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,
Junacy heroiczni,[2]) wzdychacze miluchni,
Filozofi[3]) nakoniec, jak pustki postrzegli,
Z maksymami[4]), z wdziękami, z junactwem[5]) odbiegli,
15 Został się niedostatek, z nim wstyd dawnej pychy!
A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy,
Co szampańskiem, węgierskim pyszne stoły krasił,
Wiadrem potym u studni pragnienie ugasił.
Jak to przyszło? nieznacznie. Łakome są żądze,
20 Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze:
Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem,
A niedługo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
Żeby zdrajcę, bankruta, ktokolwiek żałował.

25 To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiej włości
Zysk zasług przodków swoich, cnoty, poczciwości,
Niszczy podły odrodek. Znałeś Konstantyna?
— Alboż widzieć odrodków u nas jest nowina?
Znałem go, ale w nędzy. Jam znał w dobrym stanie;
30 Młodo zaczął wspaniałe swoje panowanie,
Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli,
Opiekunowie najprzód, jak zazwyczaj zdarli.
Dorwał się panicz rządów. Natychmiast odrazu
Jedni z sławy, ci z zysku, a tamci z rozkazu,
35 Dworzanie, pokojowi, krewni, asystenci[6]),
Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci[7]),
I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,
Co się zyskiem obłudy karmi i upaja,
Natarli wstępnym bojem. Rad pan wszystkim w domu,
40 Wrota jego nie były zamknięte nikomu.
Niech zna świat, jak pan możny, dzielny i bogaty.

---

[1]) Filut, tu w znaczeniu: szalbierz, oszust. [2]) Junacy heroiczni = śmiałkowie, pełni uczuć bohaterskich (za takich przynajmniej chcieli uchodzić). [3]) Nie prawdziwi myśliciele, lecz ci półmędrkowie, o których wyżej była mowa, udający filozofów. [4]) Maksyma = zasada postępowania. [5]) Junactwo = odwaga (tu oczywiście pozorna). [6]) Towarzysze. [7]) Pełnomocnicy.

Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach harmaty,
Żaki prawią perory[1]): ksiądz prefekt[2]) za niemi
Drukiem to wypróbował, że dzieły wielkiemi
Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzeseł, tronów, 45
Prawnuk Piastów po matce, z ojca Jagellonów[3]).
Wiwat pan! brzmią ogromnem hasłem okolice!
Dymy z kuchni, jak z Etny[4]): a sławne piwnice,
Co dziad, pradziad szacownym napełniał likworem[5]),
Pełne zgraji ochoczej stanęły otworem. 50
Wiwat pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy!
Objął sienie, przysionki zapach dryjakwowy[6]):
Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza.
Pan rad w domu, każdego do siebie przypuszcza,
Ten wziął konia z siedzeniem, tamten za przysługę 55
Nieboszczyka pradziada z lamusu[7]) czeczugę[8]);
Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,
Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,
Gdy w usłudze publicznej pracował lub sądził.
Śmieją się z starych gratów, a jakby pobłądził, 60
Wyszydzają wiek dawny, nowy rzesza chwali.
Liczne przodków portrety wyrzucono z sali.
Natychmiast, że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary,
Cztery z niej gabinety i dwa buduary[9]).
Że w nich były starego dzieje testamentu, 65
Nie cierpiano szpalerów[10]) jednego momentu;
Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi
Zyskał zbroję złocistą wzamian sąsiad drugi.
Pan kontent. Skoro w rannej porze słońce błyśnie,
Już się przez przedpokoje ledwo kto przeciśnie; 70
Ten ustawia pagody chińskie[11]) na kominie,
Ten perskie gerydony[12]), ów japońskie skrzynie.
Pełno muszli zamorskich, afrykańskich ptaków;

---

[1]) Mowy rozwlekłe. [2]) Pomocnik dyrektora szkoły. [3]) Za Sasów rozwielmożnił się niesmaczny, brzydki zwyczaj obsypywania przesadnemi pochwałami osób znakomitych, a często także wcale nawet nieznakomitych, celem pozyskania sobie ich względów. W układaniu i wygłaszaniu mów (peror, oracyj) ćwiczono już żaków w szkołach. [4]) Etna, wulkan na wyspie Sycylji. [5]) Likwor = płyn, napój. [6]) Korzenny (do potraw używano obficie korzeni). [7]) Lamus = magazyn. [8]) Czeczuga, rodzaj szabli. [9]) Buduar, ozdobny pokoik, szczególnie kobiecy. [10]) Szpalery tu: makaty, tkaniny jedwabne (wyobrażone były na nich sceny z Pisma świętego). [11]) Chińskie posążki z ruchomemi głowami. [12]) Gerydon, podnóże na świecznik, lichtarz.

Wrzeszczą w klatkach papugi, krzyk szczygłów, świst szpaków.
75 Bije zegar kuranty, a misterne flety
Co kwadrans, co godzina dudlą menuety [1]).
Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki;
Zewsząd gładkie podchlebstwa i ukłon głęboki,
Znają się na wielkości, i pan na niej zna się.
80 A chociaż do mówienia z gminem uniża się,
Zna, czym jest. Wszyscy: wiwat, skoro tylko kichnie;
Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiechnie,
Kontent z pańskich faworów [2]). Wtym nowe kredense,
Dwa mniemane Wandyki [3]) i cztery Rubense [4])
85 Niosą w pakach hajduki [5]): wyjmują, gmin cały
Złoto ważne uwielbia, czci oryginały.
A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze
Jeszcze lepiej rznął twarze; a w architekturze,
Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,
90 Nie było cenniejszego mistrza nad Wandyka [6]).
To, to pan krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!
Wtym, gdy wszyscy w aplauzach [7]), a żaden nie przeczy,
Wpośród ciżby wielbiącej — regestrzyk [8]) podaje
Snycerz [9]), malarz, tapicer, których cudze kraje
95 Nadto do nas zesłały, aby według stanu
Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.
Nie czytał pan regestrów. Kto regestra czyta?
Podpisał: niech zna Niemiec, jak Polska obfita [10]).
Lecą dni w towarzystwie dobranych współbraci;
100 A że wojaż [11]) nowemi talenty zbogaci,
Jadzie do cudzych krajów. Z projektu kontenci,
Wysłani na kontrakty [12]) już plenipotenci.
Ten [13]) przedaje wpół darmo, a wdzięczen ochocie,
Dał ułomek kradzieży kupiec w dożywocie [14]);
105 Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty;
Tak to robią szczęśliwych zyskowne kontrakty!

---

[1]) Menuet, rodzaj tańca i muzyka do tego tańca. [2]) Faworów = względów. [3]) Van Dyck sławny malarz flamandzki. [4]) Rubens, również znakomity malarz flamandzki. [5]) Pachołki. [6]) Konstantyn plótł brednie, bo Rubens nie był rzeźbiarzem ani Van Dyck architektem budowniczym. [7]) Aplauz = oklask, brawo. [8]) Spis (tu: spis wydatków). [9]) Rzeźbiarz. [10]) zamożna. [11]) Podróż. [12]) Umowy kupna i sprzedaży. [13]) T. j. jeden z pełnomocników. [14]) Kupiec, wdzięczen ochocie (t. j. wdzięczny za uprzejmość), dał część nabytej za półdarmo posiadłości plenipotentowi w dożywocie t. j. zostawił mu tę część na własność do końca życia).

Wraca się przecież cząstka, do tego, co zdarli.
Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnej wsparli,
Wyjeżdża: niesie haracz niszczącej nas modzie,
A weksel lichwą płatny mając na powodzie[1]), 110
Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem
I z tym swojej podróży powraca użytkiem,
Że co panem wyjechał przystojnym i godnym,
Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.
Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą; 115
Co po guście, dłużnicy gdy płaczą i piszczą?
Co po fantach, za które poszły wsie dziedziczne[2])?
Bogaciemy ubodzy kraje okoliczne,
A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
Okrasił nas powierzchnie[3]), a w istocie zgubił. 120

(Kto wiedzie rozmowę w powyższej satyrze? Ilu marnotrawców poznajemy z tej rozmowy? Czy Wojciech grzeszył tylko marnotrawstwem? Dlaczego do czasu nie brakło mu „przyjaciół"? Kiedy go owi „przyjaciele" opuścili? Dlaczego nikt go nie żałował? W jakim wieku „dorwał się rządów" Konstantyn? Kto postanowił korzystać z jego niedoświadczenia? Jaka wada Konstantyna sprowadziła do jego pokoi darmozjadów? W jaki sposób mu pochlebiano? Jak objawiał się zbytek Konstantyna? Dlaczego mamy mu to za złe, że towarzyszom biesiad składa podarki? Jakie zmiany poczyniono w urządzeniu domu Konstantyna? Dlaczego czyniono te zmiany? Kiedy Konstantyn jest szczególnie śmieszny, a otaczająca go zgraja szczególnie obrzydliwa? Co zapowiada zbliżającą się zmianę w położeniu Konstantyna? Czy nie jest on śmieszny i wtedy, gdy odbiera regestra"? Jeśli tak, dlaczego? Czy tylko śmieszy nas wówczas? Co ostatecznie go niszczy? Jak wyglądałby obraz, którybyś wymalował jako ilustrację do „Marnotrawstwa"? A może tych obrazów mogłoby być więcej? Coby przedstawiały? Którzy z poznanych w tym roku autorów ostrzegali przed zbytkiem? Czy czynili to w taki sam sposób, jak Krasicki?).

Krasicki, dzięki swym bajkom, satyrom i innym utworom, należy do grona tych mężów, którzy wytrwale,

---

[1]) Mając weksel płatny na powodzie, t. j. zagrożony wekslami lichwiarskiemi. [2]) Za fanty (zastawy) poszły wsie dziedziczne, bo Konstantyn, sprowadzając np. podrobione obrazy Rubensa, dawał w zastaw wioskę, a gdy za obraz nie zapłacił, tracił wieś. [3]) Powierzchownie.

przez całe życie pracowali nad poprawą obyczajów w Polsce, a przez to nad odrodzeniem duszy narodu. Wierzył bowiem ksiądz biskup warmiński, że „z nas się złe poczęło“, że nasze wady, nasz bezrząd zgubił nas i „cudzym w łup oddał“; ale żywił też przekonanie, że tylko nikczemny rozpacza, w kim jednak iskra miłości ojczyzny nie wygasła, ten potrafi z wadami swemi walczyć, uleczyć się z nich i stanąć do ratowania tonącego okrętu.

Umarł Krasicki w r. 1801.

W satyrach swych występował Krasicki niejednokrotnie także przeciw niedowiarkom i ośmieszał ich. Ale już za czasów Stanisława Augusta, zwłaszcza pod koniec jego rządów, pod wpływem nieszczęść, spadających na kraj, poczęła odżywać na nowo pobożność, a wśród poetów tej doby jest nawet jeden, którego pienia religijne stały się własnością powszechną i żyją do dziś dnia w ustach polskiego ludu. Ten poeta to

Franciszek Karpiński

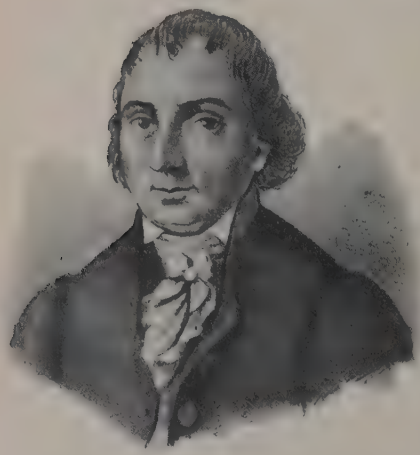

Ryc. 11. Franciszek Karpiński.

rodem ze stanisławowskiego, potomek biednej rodziny szlacheckiej. Już w szkołach rozczytywał się w żywotach świętych, a nawet zapragnął iść w ślad sług bożych. Raz — pisze sam w pamiętnikach — „wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszej gospodyni uciekłem w nocy do bliskiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na

pustyni i żyć żołędzią, pomału do niej przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano". To znów wybierał się między Turków, pragnąc zostać męczennikiem za wiarę. Dziecięcym chęciom nie stało się zadość; Karpiński ukończył szkoły, po latach guwernerki w rozmaitych domach pańskich wziął dobra ziemskie w dzierżawę, a zczasem kupił sobie nawet własny majątek. Ale choć żył przez czas dłuższy na wielkim świecie, człowiekiem głęboko religijnym pozostał do końca życia. Umarł w sędziwym wieku, pięć lat przed wybuchem powstania listopadowego.

Do powszechnie znanych pieśni religijnych Karpińskiego należą obok kolendy „Bóg się rodzi, moc truchleje", „Pieśń poranna" i „Pieśń wieczorna".

Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go koło siebie.

Wielu snem śmierci popadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże, chwalili.

Pieśń wieczorna.

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy!
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

Twoje oczy obrócone
Dzień i noc patrzą w tę stronę,
Gdzie niedołężność człowieka
Twojego ratunku czeka!

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelakiej broń nas szkody,
Miej nas wiecznie w Twojej pieczy,
Stróżu i sędzio człowieczy!

(Za co człowiek winien jest wdzięczność Stwórcy? Którą z tych pieśni nazwalibyśmy modlitwą pochwalną, którą błagalną?).

Karpiński należał do ludzi, którzy łatwo poddają się wzruszeniom, wzruszeniami zaś swemi umiał on dzielić się z czytelnikiem bardzo szczerze. Nikt z pewnością nie powie, aby szczerość nie biła z jego sielanki p. t. „Tęskność na wiosnę“.

Tęskność na wiosnę.

Już tyle razy słońce wracało, I blaskiem swoim dzień szczyci:
A memu światłu cóżto się stało, Że mi dotychczas nie świeci?
Już się i zboże do góry wzbiło I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło: Mojej pszenicy nie widać...
Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni, Gaj mu się cały odzywa,
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni: A mój mi ptaszek nie śpiewa...
Już tyle kwiatów ziemia wydała Po onegdajszej powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała: A mój mi kwiatek nie schodzi...
O wiosno! pókiż będę cię prosił, Gospodarz zewsząd stroskany?
Jużem dość ziemię łzami urosił; Wróć mi urodzaj kochany!

(Na jakie zjawiska w przyrodzie zwraca poeta kolejno uwagę? Czy dlatego o nich mówi, że go bardzo zajęły swą pięknością, czy czyni to z innego powodu i w innym celu? Jak należy rozumieć słowa: „A memu światłu cóżto się stało, Że mi dotychczas nie świeci?“, tudzież słowa: „Mojej pszenicy nie widać!“, „A mój mi ptaszek nie śpiewa!“ „A mój mi kwiatek nie schodzi!“? O jaki to urodzaj prosi poeta? Czy, czytając tę sielankę, doznajemy wrażenia radosnego czy smutnego? Czy bardzo smutnego?).

Nadszedł jednak czas, w którym ludzie musieli zapomnieć o własnych niepokojach, zawodach, tęsknotach. Zapomniał o nich także Karpiński. Należał on bowiem jak i Krasicki, do tych nieszczęśliwych, którzy przeżyli wszystkie trzy rozbiory i wszystkie katusze, spadające na naród. Serce poety krwawiło się. Na myśl przychodziły mu te szczęśliwe chwile, kiedy na tronie polskim zasiadała potężna dynastja Jagiellonów, porównywał tamte, pełne chwały czasy, z tem, co na własne oczy niestety oglądał, i cierpiał podwójnie. I wówczas to z piersi jego wypłynęła pieśń żałosna, której dał napis *Żale Sarmaty*

nad grobem Zygmunta Augusta. Dlaczego nad grobem Zygmunta Augusta? Bo król ten był ostatnim z Jagiellonów, ostatnim zatem z rodu, za którego panowania Polska urosła w moc największą. Poeta zwraca się do tego władcy, dziwi się, że śpi tak spokojnie w chwili, gdy w jego państwie zjawili się goście... Goścież to naprawdę? Ależ to ci, którzy przybyli, aby Polskę zamordować. A czeladź (potomkowie poddanych Zygmunta Augusta) biedzi się przyjęciem tych przybyszów, lęka się, żeby złych mocy jeszcze bardziej nie rozpętać! Tak należy rozumieć zwrotkę pierwszą „Żalów Sarmaty".

Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta.

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie!
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?

Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,
Któregoby wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
Po tobie poszła na handel korona[1])
Tron poniżony i rada stępiona!

Ojczyzno moja, nakońcuś upadła,
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!
W tem ciele była milijonów dusza...

Patrzcie! Matczyne jakieś leży dziecię,
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą ślachetne wychodziło życie!

---

[1]) Bo po Zygmuncie Auguście nastali królowie obieralni.

On nie uciekał, bo z przodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy,
Zdaje się gniewać: za co, nieszczęśliwy?

25 A tam poczciwość, kościół, wstyd zgwałcony,
Pożarem całe spłonęły osady,
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy,
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
30 Gdzie pojźrzysz, — rozpacz, trupy, zgorzeliska!...

Po tych rozbojach jedni zniechęceni,
Pod nieznajome rozbiegli się nieba;
Drudzy, ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba;
35 Insi, rozdani na Moskwę i Niemce,
Na roli ojców płaczą, cudzoziemce!...

Oto krwią piękna ziemia utłuszczona
Konia i jeźdźca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
40 Panującego języka naucza...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał[1]) a Polskę wymazał;

Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije!
Jego się nawet zacierają ślady,
45 On dziś przed swojem imieniem się kryje,
Które tak możne wsławiły pradziady...
Już białym Orłom i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!

Zygmuncie! Przy twoim grobie,
50 Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnię biednę...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały...

(Przypomnijmy sobie raz jeszcze, dlaczego poeta zwraca się na czele pieśni do Zygmunta Augusta? Dlaczego biada,

[1]) Jedne państwa powołał do życia.

że król ten nie pozostawił po sobie syna? W jakim stanie widzi poeta ojczyznę swoją? Jakie straszne obrazy roztacza? Co składa przy grobie Zygmunta Augusta? Dlaczego także lutnię? Co mu pozostaje? Czy możnaby z tej pieśni sądzić, że Karpiński wierzy w odzyskanie niepodległości?).

(W których utworach Karpińskiego, pomieszczonych w tej książce, ujawniło się żywe uczucie? Czy z podobnem żywem uczuciem spotkaliśmy się u Krasickiego?).

I Krasicki i Karpiński boleli nad tem, na co patrzeć im przyszło, ale kiedy Krasicki pragnął złemu przeciwdziałać, wpływać na poprawę obyczajów, a przez to odbudowywać to, co się chyliło ku upadkowi. Karpiński widział tylko nieszczęście, a nad środkami ratunku nie rozmyślał. I kiedy Krasicki walczył ze złem, piętnując wady, ośmieszając je, Karpiński żalił się, łzy ronił. Ale bo też należał on do pokolenia młodszego nieco niż Krasicki, do pokolenia, które łatwiej, niż starsze, wzruszało się, poddawało cierpieniu i skłonniejsze było do skarg.

W wieku XIX.

W pierwszej połowie stulecia.

Legjony. Jeszcze Polska nie zginęła. Podobnie, jak Karpiński, powiedziało sobie po strasznym r. 1795 wielu: wszystko stracone, „łzy... tylko jedne zostały“. Ale wtedy właśnie, gdy serca polskie oddawały się rozpaczy, zaczęły do dworów i miast docierać z dalekiej ziemi włoskiej wieści o tych polskich żołnierzach, którzy po trzecim rozbiorze broni nie złożyli, lecz opuścili ziemię rodzinną, aby wrócić do niej z mieczem w dłoni. Opowiadano sobie pocichu o nadzwyczajnem męstwie Legjonów, a ten i ów z młodych rzucał pod wpływem tego, co usłyszał, dom i rodzinę, przekradał się przez granicę i dążył do swoich pod komendę Dąbrowskiego i Napoleona. Tam to zdala od ojczyzny, wśród legjonistów, powstał — pod sam koniec stulecia XVIII — nasz hymn narodowy, pieśń

Jeszcze Polska nie zgineła. Twórcą jej był jeden z legjonistów, ongiś żołnierz w powstaniu kościuszkowskiem, Józef Wybicki.

Jeszcze Polska nie zginęła.

Jeszcze Polska nie zginęła
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.
5 Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
10 Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz i t. d.

Jak Czarniecki do Poznania
15 Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz i t. d.

Mówił ojciec do swej Basi
20 Całej zapłakanej:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz i t. d.

Z początkiem XIX wieku pieśń ta była już w Polsce znana powszechnie.

(Po czem poznać, że pieśń ta powstała po utracie niepodległości, na obcej ziemi; po czem, że zrodziła się wśród legjonistów? Na czem polega bijąca w oczy różnica między Karpińskiego „Żalami Sarmaty“, a tą pieśnią?).

Księstwo Warszawskie. Królestwo Kongresowe. Twórca pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“ dożył tej nie dającej się z niczem porównać radości, że w r. 1806

powrócił z orłami napoleońskiemi i wojskiem polskiem do ojczyzny. W rok potem z części ziem dawnej Polski utworzył Napoleon Księstwo Warszawskie, ale kiedy podczas wyprawy na Rosję poniósł klęskę, byt księstwa został odrazu zachwiany. Mocarstwa jednak musiały się z nami liczyć, przedewszystkiem dlatego, że istniała jeszcze pod rozkazami Napoleona znakomita armja polska. To też w roku 1815 stworzono t. zw. Królestwo Kongresowe z rzą-

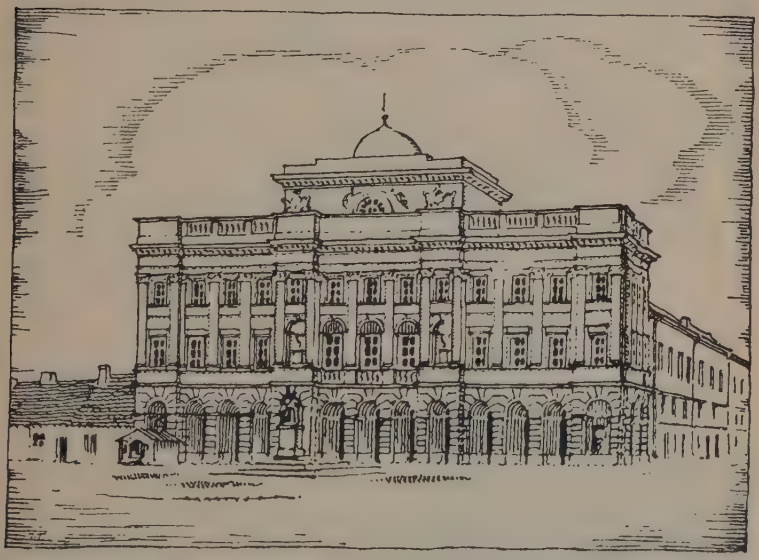

Ryc. 12. Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie.

dem polskim i polskiem wojskiem, ale niestety złączone z Rosją i pod władzą cesarza rosyjskiego. Królestwo było także cząstką tylko małą dawnej Polski, resztę zaś ziem naszych zatrzymały mocarstwa zaborcze.

Pielęgnowanie tradycji narodowej. Nim jeszcze na tym skrawku dawnych obszarów Rzeczypospolitej poczęliśmy swobodniej oddychać, już pomyśleliśmy o tem, ażeby młode pokolenia nie zapomniały o przeszłości swej

ojczyzny i nigdy nie zapragnęły pogodzić się z losem. Pomyślało o tem przedewszystkiem zawiązane z początkiem XIX wieku w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Roztoczyło ono pieczę nad mową ojczystą i nie dozwalało jej psuć się pod obcemi wpływami, zachęcało uzdolnionych mężów do pisania patrjotycznych książek, zaczęło nawet wydawać, ono pierwsze, książki dla ludu wiejskiego. Jednym z przewodniczących tego Towarzystwa był

Juljan Niemcewicz

rodem z Litwy (ur. 1757 r.), wielce zasłużony już w dobie niepodległości Polski jako poseł do tego sejmu, który uchwalił Konstytucję 3 maja. Kiedy Kościuszko przysiągł, że wypędzi z Polski zaborców, albo padnie, i podniósł powstanie, Niemcewicz stanął przy jego boku, został nawet adjutantem Naczelnika, brał udział w walce, a pod Maciejowicami ranny dostał się do niewoli rosyjskiej. Przebył w niej ciężkie dwa lata, a gdy odzyskał wolność, podążył z ukochanym swym Naczelnikiem do Ameryki. Ale nie pozostał tam. Na wieść o powstaniu Księstwa Warszawskiego wrócił do kraju i zaraz zabrał się do gorliwej, wytężającej pracy zarówno w senacie — został bowiem senatorem — jak i na polu oświaty, objeżdżając i wizytując zakłady naukowe. Z nie-

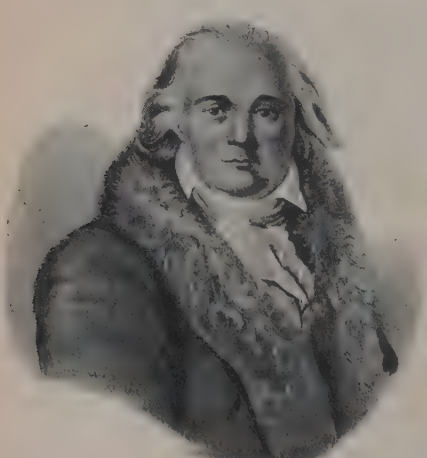

Ryc. 13. Juljan Niemcewicz.

mniejszym zapałem pracował w Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Towarzystwo to, chcąc przekazać potomnym pamięć sławnych chwil przeszłości narodowej, postanowiło wydać zbiór pieśni historycznych. Z nich to miała się uczyć młodzież dziejów swej ojczyzny i umacniać się w miłości dla Polski. Do Niemcewicza zwrócono się z prośbą, ażeby on właśnie takie pieśni napisał, a Niemcewicz zgodził się najchętniej, i tak powstały *Śpiewy historyczne*. Jest ich ponad trzydzieści, a między niemi „Władysław Jagiełło“ i „Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego“.

Władysław Jagiełło.

W bluźnierskich błędach Litwin zaślepiony
Fałszywym bogom oddawał ofiary,
Kiedy Jagiełło lud swój ulubiony
Prawej Chrystusa przyszedł uczyć wiary.
Kruszył bałwany: gdzie gmachy pogańskie, 5
Wznosił przybytki i ołtarze Pańskie.

A kędy Wilji płynęły strumienie,
Lud w śnieżnych szatach, zgromadzon w porządku,
Ze chrztem odbierał światło i zbawienie.
Gdy — wśród świętego kapłanów obrządku — 10
Donoszą gońce, że Krzyżak zdradliwy
Mieczem i ogniem niszczy polskie niwy.

Król, rozgniewany czynem tak zuchwałym,
Rozsyła wici [1]) w powiaty i ziemie!
Ciągnie ozdobne rynsztunkiem wspaniałym, 15
Na dzielnych koniach, mężne Lecha plemię,
Książę Mazowsza z swym ludem gotowym
I śmiały Witold w pancerzu stalowym.

Już do Grunwalda wojsko się zbliżało,
Kiedy przed królem mąż krzyżacki staje; 20
Trzymał dwa miecze z postacią zuchwałą;

---

[1]) Wici były to listy z pieczęcią królewską, obnoszone na wysokiej wiesze czyli wici: zwoływano niemi na wojnę.

„Mistrz mój, zawołał, teć oręże daje,
Dla lepszej w walce dzisiejszej usługi,
Ten miecz dla ciebie, dla Witolda drugi“. —

„Mam mieczów dosyć, lecz i te się zdadzą,
Na karki dumnych“ — Jagiełło odpowie.
Tu wzniósłszy oczy: „O najwyższa władzo,
Boże, co dzierżysz w ręku ludów zdrowie,
Błogosław w słusznym boju wojownikom.
Daj nam zwycięstwo, zgubę najezdnikom“.

A w tem na konia cisawego wsiada,
Dobywa miecza i zniża przyłbicę;
Wojsko, nim traba walkę zapowiada,
Zaczęło śpiewać pieśń Boga Rodzicę,
Huknęły kotły, dźwięk zaszczęknął broni,
I ziemia drżała pod tętentem koni.

Jak czarne chmury pędzone wiatrami,
Gdy z srogim grzmotem uderzą o siebie,
Tak hufce polskie z Krzyżaków rotami
Zwarły się z trzaskiem w tej ciężkiej potrzebie[1]),
Wre krwawa bitwa, a zawsze na przedzie
Kró' swych Polaków, Witold Litwę wiedzie.

Wtem zboku Dypolt, rycerz znamienity,
Leci i wszystko wywraca i łamie;
Miał zbroję czarną, krzyż na boku ryty,
Kaptur na głowie, pas złoty przez ramię,
Nikt go nie wstrzymał i nikt go nie strwożył,
Natarł na króla i drzewcem nań złożył.

Król odbił włócznię; drugi cios śmiertelny
Dypolt nań mieczem ogromnym wymierza;
Widzi to, bieży Oleśnicki[2]) dzielny
I jednym cięciem obala rycerza;
Ten, gdy powstając, sztyletu dobywa,
Król ostrym mieczem piersi mu przeszywa.

Złamani ze wszech stron nieprzyjaciele
Zwycięskiem wojskiem nie walczyli więcej;

---

[1]) Bitwie. [2]) Ten sam, który później został biskupem krakowskim i kardynałem.

Poległ Mistrz Wielki na rycerstwa czele,
Poległo Niemców sześćdziesiąt tysięcy,
Uszłe przed mieczem szczątki rozproszone
W lasach i bagnach znalazły ochronę. 60

Po bitwie pierwsi z wodzów znamienitych
Przyszli, rzucając pod królewskie nogi
Pięćdziesiąt jedną chorągwi zdobytych;
Za niemi widok przybliżył się srogi:
Na czarnym wozie, powoli wiedzione, 65
Wielkiego Mistrza zwłoki krwią zbroczone.

Król, patrząc na tak ciężką losów zmianę,
Zapłakał rzewnie: „Zgon — rzekł — tego męża
Zagładza pamięć na krzywdy zadane;
Winien czcić męstwo ten, który zwycięża; 70
Niech ten, co walczył i mężnie i długo,
Ostatnią będzie uczczony posługą;

Te zaś chorągwie, te zbroje zwleczone,
W triumfie nieście: niech w państwie stolicy
W świętym przybytku będą zawieszone. 75
Niech na ich widok zadrżą hołdownicy.
Sczernią je wieki, zaginą ich szczątki,
Lecz nic nie zgładzi dnia tego pamiątki“.

(Jakie zdarzenie dziejowe z czasów panowania Władysława Jagiełły najobszerniej przedstawił poeta w tym śpiewie? O jakiem przedtem ważnem zdarzeniu wspomina? Na jakie chwile bezpośrednio przed bitwą pod Grunwaldem zwraca uwagę? W których wierszach przedstawia początek bitwy? W których pasowanie się dwu stron? Z jakiego powodu uwaga nasza zwraca się na króla? W której zwrotce przedstawiony został koniec bitwy, a w których chwila po bitwie? Jakie zalety Władysława Jagiełły poznajemy z pieśni Niemcewicza? Z czego Polak może być dumnym, czytając ten „śpiew historyczny“? — Którą z osób wymienionych w „śpiewie“ najdokładniej widzimy? dzięki czemu? A wskutek czego zdaje się nam, jakobyśmy istotnie byli świadkami starcia się dwu wojsk? (zajrzyjcie do książki). Na czem polega podobieństwo chmur i wojsk polskich i krzyżackich?).

Pogrzeb księcia Józefa Poniatowskiego[1]).

(Pienie żałobne).

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

5 Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
„Nasi, wracają!“

Niedługa radość! Każdy pyta chciwie,
10 Kędy jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przywodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był kiedyś duszą i ozdobą:
15 Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać wpośród hufców dzielnych,
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych
20 Rycerza zwłoki.

---

[1]) Książę Józef Poniatowski, po pogromie wojsk napoleońskich i walczących przy ich boku wojsk polskich w czasie przejścia przez Berezynę, wytrwał przy Napoleonie. W roku 1813 brał udział w bitwie pod Lipskiem i osłaniał wraz z oddziałami Dąbrowskiego i pułkiem Krakusów cofającą się przed nieprzyjaciółmi armję francuską. Gdy na rzece Elsterze most, ku któremu kierowały się nasze oddziały, runął, książę Józef, nie chcąc się poddać, ranny po dwakroć, rzucił się w nurty rzeki i znalazł w niej śmierć bohaterską. Zwłoki jego, dobyte z Elstery, sprowadzono do kraju. We wrześniu 1814 odbył się w Warszawie krwawiący serca polskie obrzęd pogrzebowy. Wóz żałobny otaczała garstka nieodstępnych towarzyszów wodza, za wodzem wiedziono konia wierzchowego poległego bohatera. Drogie szczątki złożono w kościele św. Krzyża. Stąd przewieziono je do Krakowa, gdzie spoczęły w katedrze na Wawelu.

SPIEWY
HISTORYCZNE
z MUZYKA i RYCINAMI,
przez
JUL. URS. NIEMCEWICZA, S. S.
Członka T. K. W. P. N. Akad: Wilen. To: Nauk: w Krakowie. Tow. Filoz: w Filadelfii, i Tow: Woysk. w West Point w Ameryce.

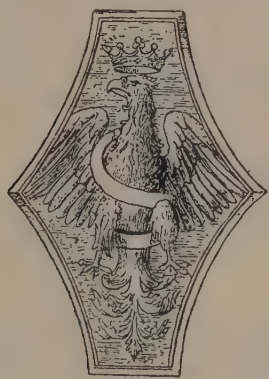

Orzeł z Kaplicy Jagiellońskiey
w Krakowie.

Wyciśnięto w WARSZAWIE.
w Drukarni Nro 646. przy Nowolipiu
1816

Ryc. 14. Karta tytułowa Śpiewów historycznych J. U. Niemcewicza.

Te mary, ten wóz — spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi;
Ciągną go wierni towarzysze boju
Piersi własnemi.

Idzie za truną koń jego waleczny 25
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję,
Idź, koniu, smutnie! już pan twój bezpieczny
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy, flety płaczliwe,
30 Wy, chwiejących się orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie! ranią piersi moje tkliwe
Te smętne jęki.

Patrz, przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi
35 I wnosi pośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania,
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,
40 Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie útrapienia!
Wielkie ofiary, prace bez nagrody
I, zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody.

45 Tulmy łzy nasze, już jesteś szczęśliwy!
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
50 Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów;
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
55 Runąłeś z koniem i orężem w dłoni
W nurty śpienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
Ten napis twarde zachowają głazy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
60 I żył bez skazy“.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź twej tarczy,
Pewien, że, przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

(Jakie obrazy zarysowują się kolejno przed naszemi oczyma, gdy czytamy „Pogrzeb ks. Poniatowskiego“? Od której zwrotki począwszy, poeta poczyna przemawiać jakby wprost do księcia? Za co go wielbi? Dlaczego każe tulić łzy? Jakiej nagrody poległy wódz może być pewny? Czem będzie jego życie bohaterskie dla potomnych? — Czy „śpiew“ ten mógł współczesnym dodawać otuchy?).

„Śpiewy historyczne“ wydano z rycinami i nutami; współcześnie rozchwytywano je po dworkach szlacheckich i domach mieszczańskich i umacniano się w przekonaniu, że nie zginęła i zginąć nie może ta, co wydała takich bohaterów, jak rycerze grunwaldzcy, jak książę Józef.

Wśród tych, którzy walczyli pod Napoleonem i ks. Józefem, biorąc udział w wyprawie na Rosję, był również młody porucznik artylerji

Kazimierz Brodziński.

Znalazł się on tam jako ochotnik — słabe zdrowie nie powstrzymało go od służenia ojczyźnie z bronią w ręku. Co więcej, i po klęsce nie opuścił Brodziński swego wodza, walczył pod Lipskiem i dostał się tam do niewoli pruskiej. Zdrowie zaś wątłe miał od dzieciństwa i tylko opiece kobiet wiejskich zawdzięczał, że jako dziecko został przy życiu. Matkę bowiem stracił tak wcześnie, że jedynie zwłoki jej, złożone na katafalku, pamiętał, macochę

Ryc. 15. Kazimierz Brodziński.

zaś dostał złą, niegodziwą. Chronić się musiał przed nią do chat wieśniaczych i wówczas to już jako mały chłopczyna poznał i ukochał lud wiejski, jego obyczaje i śpiewki.

Obraz życia tego ludu rozłoczył w poemacie p. t. „Wiesław“. Pisząc „Wiesława“, przebywał już od lat kilku, po powrocie z niewoli, w Warszawie.

Wiesław.

I.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniężne wory;
Czterysta złotych ułożył na ławie
I tak powiada: „Zgarnij to, Wiesławie!
Jedź do Krakowa, a za te talary
Kup mi dwa konie i wybierz do pary;
Syn mój jedyny na wojnie zabity,
Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty,
Nie mam z chudobą[1]) poufać[2]) się komu;
Ty prawą ręką jesteś w moim domu;
A skoro pomrę, tyś rodziny głowa.
Jeśli, daj Boże! córka się uchowa —
Ma lat dwanaście, nieskąpo urody:
Możesz jej czekać, sameś jeszcze młody“...
— „Tak jest! dla ciebie (Bronisława powie)
Strzegę tej córki, jakby oka w głowie:
A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to[3]) moje przed grobem dostatki“.
Bronika matkę objęła za szyję
I wstyd rumiany na jej piersi kryje,
Lecz pusty uśmiech zwraca na Wiesława.
A dalej smutna rzekła Bronisława:
„Miałam ja drugą; litościwy Boże!
Oko się za nią przepłakać nie może.
Zaledwie piąty kwitnął owoc sadu[4])
Gdy mi zniknęła jako cień bez śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata[5]),

---

[1]) Chudoba, tu: skromny dobytek. [2]) Powierzyć się (nie mam z chudobą poufać się komu) = nie mam komu powierzyć mego skromnego dobytku. [3]) Jedyne ci to. [4]) Zaledwie pięć wiosen (jej) minęło. [5]) Już dwunasta jesień upływa.

Jak myśli matki zatruwa jej strata.
Gdy wojna polskie dobijała plemię[1]),
W pustkach wsi stały, a odłogiem ziemie; 30
Okolnych lasów i wiosek pożary
Gniewu Bożego zwiastowały kary;
Z wiatrem, co strzechy i konary walił,
Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
Dzień to był sądu. Śród płaczu i gwaru, 35
Wśród ciemnej nocy, wichrów i pożaru
Razem[2]) rolnicy ku obronie bieżą,
Razem się wojsko ciśnie za grabieżą:
W tej walce z dymem poszła nasza strzecha.
Wtedy mi córka, jedyna pociecha, 40
Znikła bez śladu. Przez długie ja czasy
Chodziłam za nią na wioski i lasy;
Ale jak kamień do Wisły rzucony,
Zniknęła wiecznie[3]), głuche każde strony;
Codzień do kłosów przychodzą oracze, 45
A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę;
Na świat szeroki próżno rzucać oko,
Świat nie pocieszy, a niebo wysoko!
Niech wola Boska będzie, Boska chwała!
Ciebiem ja za nią, synu, wychowała! 50
Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę[4]).
Może też moje utracone dziecię
Podobnie kędyś na szerokim świecie
Litość znalazło; żyje gdzie u matki, 55
Pomiędzy własne policzone dziatki.
W takiej ja myśli po ojców twych stracie[5])
Ciebie małego wychowałam w chacie.
Litość za litość, niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka; 60
A jeśli ziemia strawiła jej kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości
Igra wesoło przy niebieskiej matce
I łaskę nieba zwabia[6]) naszej chatce".

Tu Bronisława zalała się łzami; 65
Rade łzy płyną za matki myślami.

---

[1]) Kiedyż to być mogło? [2]) Równocześnie. [3]) Nazawsze. [4]) Tam Bóg z całem niebem i pocieszenie od Niego bliższe. [5]) Skonie. [6]) Zjednywa.

Płakała zaraz i córka przy boku;
Lecz łzy, męskiemu nieprzystojne oku,
Kryjąc, Stanisław karci smutek żony:
„Jaki los w niebie komu naznaczony,
Próżno się troskać; Bóg, siedząc wysoko,
Nad całym światem opatrzne ma oko.
Wszakże on ojcem na wieki i wszędzie,
Co pod nim było, pod nim jest i będzie;
Lepsze nad smutek ufanie pobożne.
Idź! Wiesławowi przygotuj nadrożne[1]).
Ty wyjdź o świcie, a chroń się przygody,
Bo zawsze wiele ufa sobie młody:
Przynieś twej przyszłej podarunek z drogi“!
Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi
I wyszedł z chaty, przenikniony cały,
Że takich ojców niebiosa mu dały.

II.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie.
Parskając, konie biegną po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela!
Witajcież do nas, wy z proszowskiej[2]) ziemi!
Nie chciejcież gardzić dary ubogiemi,
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola[3]) i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Wymyślnym tańcom i przecudnym strojom,
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi.
Bo, choć strudzeni, widzę, żeście młodzi“.
Na to Halina przystępuje młoda,
W całem weselu najpierwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przy nim staje,

---

[1]) Żywność na drogę. [2]) Proszowice, wieś w ziemi krakowskiej.
[3]) Co tu rodzi rola, wdzięczna za prace około niej.

Ciastko z koszyka i owoc podaje:
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba“!
A przytem uśmiech jakowyś uroczy 25
Zwrócił na siebie wędrownika oczy
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.
Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany; 30
Potem starosta, zarządca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu.
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze: 35
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze“.
I wybrał[1]) druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje, 40
Za nim się wkoło młodzieńcy zebrali.
Nucą i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą:
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie[2]), 45
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą;
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi: 50

„Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!“

Bierze Halinę i tak wkoło,
Przodkując[3]) drużbom, tańczy wesoło; 60
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

---

[1]) Rozumie się Wiesław. [2]) Zapłacił hojnie grającym na skrzypcach i basie. [3]) Przodując.

„Czemuż ja w proszowskiej ziemi
Małe zaznał[1]) dziecię,
Byłbym między krakowskiemi
70 Najszczęśliwszy w świecie.

Krew, nie woda, ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi“.

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On, w ręce pleszcząc, goni zdaleka;
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

„Nie uciekaj, ptaszku luby;
80 Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszczę więcej.

Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia“.

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni;
85 I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach tak przed nią nuci:

„Gospodarzu, nie dasz wiary,
Jak konie opłacę[2])
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę.

Grajcie skrzypki, bo się smucę
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie“.

90 Dłoń mu podała, a on wokoło
Przodkując drużbom, tańczy wesoło.
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzemiący zakończył granie.

Na to Halina, zapłoniona cała,
95 Między teścine[3]) za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słychać wokoło pokątne szemrania[4]).
Długo się Wiesław gościnnie weselił,
Już się też dzionek nad górami bielił;
100 Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewy i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknej Halinie.

---

[1]) Poznał. [2]) Przepłacę. [3]) Teścine, tu w znaczeniu starszych kobiet.
[4]) Jak łatwo się domyślić: pochwalne.

III.

Pośpieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bolem;
Bo gdy chęć jedna raz serce osiędzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie:
Przeto, co myślał, co czynić przystało, 5
Stanowi[1]) wyznać otwarcie i śmiało.
Oczekiwany wjechał do podwórka:
Wybiegł Stanisław i matka i córka.
Głaszczą koniki i wiążą u płotu,
Cieszą się wszyscy z prędkiego powrotu, 10
Z taniości kupna i z koników radzi;
Sam je Stanisław do stajni prowadzi,
Rychłą wieczerzę rozkazuje matce.
Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce,
Matka go z córką o zdrowie pytały; 15
Milcząc, Bronice dał gościniec mały.
Przybył też razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy:
Jan, co za stołem nie jednym już siadał,
Jak mądrze myślał, tak i prawdę gadał. 20
Ale się wszystkim dziwno wydawało,
Że Wiesław smutny i mówi tak mało.
Wszedł i gospodarz, do stołu zasiedli;
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli;
Matka zaś oka nie spuści z Wiesława, 25
Dziwną w nim jakąś odmianę poznawa.
„Powiedz nam, mówi, co tobie się stało?
Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?
Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi:
Nigdy młodemu skrytość się nie godzi“. 30
On spuścił oczy, wstydem się zapłonił,
Stanisławowi do nóg się ukłonił
I zaczął mówić słowy takowemi:
„Prawda, że szczerze trzeba ze starszemi;
Oni porywczej młodości wybaczą 35
I mądrą radę zawsze podać raczą.
Czemużem w domu nie został na wieki,
Wdzięczen łask tylu i waszej opieki,
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,

---

[1]) Postanawia.

40 Anibym zaznał trudnej z sercem wojny;
Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi!
Inaczej myśli Bóg o swej czeladzi.
Prędki, bez wieści [1]) spada wyrok Boski.
Na mojej drodze pośród jednej wioski
45 Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy
Zabrał mi serce i zniewolił oczy
I tyle sprawił, że odtąd jedynie
Sercem i duszą jestem przy Halinie.
Ojcowie moi już królują w niebie;
50 Wyście sierotę przyjęli do siebie,
Nie żałowali ni troski ni chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba;
Dziś jedynaczkę córkę w swojej chacie
Dla mnie w zamęście i z wianem chowacie.
55 Jeszcze, mówicie, byłem dzieckiem małem,
Gdy ją w tych kątach sobie kołysałem;
Ni mię niewdzięczność, ani harda dusza
Odkryć przed wami tę boleść przymusza,
Ani mi rada niedościgła [2]) w niebie
60 Was każe smucić, a zawstydzić siebie.
Puśćcież mię, puśćcie z rękomi gołemi.
Pracować będę pomiędzy obcemi:
Bo bez Haliny nic już nie zarobię.
Niezdatny ludziom i niemiły sobie,
65 Prędkobym znalazł koniec życiu memu:
Pobłogosławić chciejcież ubogiemu;
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Kogo przekleństwo dobroczyńców goni.
Sprawcie! [3]) Bóg zato niech będzie nad wami!
70 Tu Bronisława zalała się łzami;
Bronika patrzy dużemi oczyma,
Ciekawość tylko na jej ustach trzyma
Uśmiech pustoty; ale gdy ujrzała,
Że tu i Wiesław i matka płakała,
75 Wnet Bronisławę objęła za szyję
I łzy niewinne na jej łonie kryje.
Stanisław, milcząc, podparł siwą głowę

---

[1]) Bez zapowiedzi, niespodziany. [2]) Niedościgła = niedocieczona, niezbadana (rada niedościgła w niebie = niezbadane zrządzenie Opatrzności. [3]) Sprawcie to, uczyńcie to.

I po ojcowsku rzekł słowa takowe:
„Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,
Ciebie mi oddał, jak za moje dziecię: 80
Tak cię też kocham; i widzi Bóg w niebie,
Że nic milszego nie miałem nad ciebie;
A ty, niepomny, że mnie starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczać się po świecie?
Chcesz mię opuścić zato, żem cię chował? 85
Żem tobie córkę i dom mój hodował?
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mię zostawisz wśród żalu i sromu;
Młody, niebaczną wziąłeś przed się drogę:
Ja cię pożegnać, ja puścić nie mogę". 90
Tu żona płacząc, wyszła na próg chatki,
Bo czuła razem srom i miłość matki:
Za nią Bronika z trwogą i łzą w oku.
Wiesław, twarz kryjąc, stał kornie na boku.
Jan z Stanisławem sam milczący siedział; 95
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
„Stary młodemu wyrozumieć nie chce,
Młodego nowość i swoboda łechce;
Zwiąż go miłością i osyp go zbiorem[1]),
On dalej patrzy, bo mu świat otworem; 100
Nieszczęściem jemu najmilsza niewola.
Tak i na wiosnę ptak okrąża pola;
Płochy i dumny, ufny w siłę młodą,
Rzeki i skały przebywa z swobodą,
Aż miłym głosem zwabiony, zostaje — 105
I odtąd jedne zamieszkuje gaje,
Gdzie swoje szczęście i pokój znachodzi.
Te prawa mają, tę naturę młodzi;
Za nic już wszystko, gdy na całe życie
Wolną mu teraz drogę zagrodzicie. 110
Nie w nim też może dla Broniki szczęście:
Z woli ma płynąć niewolne zamęście[2])
Jako kwiat córka obcej ręki czeka,
I traf młodzieńca przyniesie zdaleka;
Dlatego dajcie wolność Wiesławowi: 115

---

[1]) Bogactwami (zbiór to bogactwo rolnika) [2]) Małżeństwo choć „niewolne" (choć pozbawia wolności), powinno być zawarte „z woli", bez przymusu obcego.

O swojem szczęściu sam niechaj stanowi".
Na to Stanisław: „Mądrze wy mówicie,
Ale nie znacie, co to stracić dziecię.
Dlaczego ojciec w troskach życie trawi,
120 Czem się lat wiele utroska, ubawi,
Z czem żyć nawyknie i pracować w domu,
To weźmie przybysz, nieznany nikomu;
Weźmie dobytek krwawo dochowany,
Gołe i głuche zostawi im ściany,
125 Gdzie zapomniani samotne łzy sączą,
Gdy córkę z obcym obowiązki łączą.
Przeto już dawne były myśli moje,
Bym ich przy sobie połączył oboje,
Ażeby matka kiedyś po mej stracie
130 Teścinej w obcej nie służyłà chacie.
Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli!
Przeto, Wiesławie, oddaję twej woli:
Uprośże Jana, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady,
135 Może się wszystko inaczej wyświeci;
Co z wiatrem przyszło, to z wiatrem przeleci.
Lecz, jeśli przyszła serce tobie święci[1]),
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci,
Uproś sąsiada, niechaj zacznie swaty:
140 Jak syn synowę przywiedź mi do chaty".

IV.

Idzie Jan z tęsknym Wiesławem na zwiady
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady,
Bo go i miłość i młodzieńcza siła
Przez góry, doły, prędzej prowadziła.
5 A gdy przybyli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nucą za płotem podwórka:

„Kwiatami grzęda osnuta
Kwitnie rozmaryn i ruta;
Na okienku wianek leży:
Jest tu córka dla młodzieży.

Przyjdzie młodzian z obcej błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie panna swoje kwiaty[2])
Do teściowej pójdzie chaty.

---

[1]) Sprzyja ci, okazuje skłonność ku tobie. [2]) Bo od dnia ślubu nie będzie już mogła stroić się w rozmaryn i rutę.

Raz ostatni, rozmaryny,
Uwieńczycie skroń dziewczyny;
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie.

Schludna chata, choć uboga,
Za rządnością pomoc Boga,
Skrzeczy sroka na jaworze,
Panna stroi się w komorze,

Otwierajcież! przyszli goście;
I życzliwie w dom zaproście;
Chociaż obcym, bądźcie radzi!
Dobra nas tu chęć prowadzi".

Wyjrzała oknem od kądzieli matka,
Skrzypła zapora, otwarła się chatka,
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały,
Głową wyniosłą dosięgnął powały. 30
Jadwiga rzekła: „Witajcie nam, goście,
Siądźcie i z Bogiem dobrą wieść przynoście!"
Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
Skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem,
A Jan powiedział: „Oj widzę, że godne 35
I starca drogi lica tak urodne".
Kiedy Halina słyszy taką mowę,
Rumianych wdzięków przybyło połowę;
Koszyk podróżny zdejmuje z młodziana,
Bierze i laskę sędziwego Jana; 40
Wnet czystą ławkę do stołu przynosi,
A matka gości do spoczynku prosi;
Mówi do ucha wstydliwej Halinie;
„Niech się rozniecie ogień na kominie,
Niech będzie rychło wieczerza gotowa". 45

Jan, gdy odpoczął, w te przemówił słowa:
„Niech gospodyni przez to nie obrażę,
Czyniąc co dawny obyczaj nam każe;
Ojców zwyczaje toć krewieństwo [1]) nasze. 50
Przeto, Wiesławie, daj z koszyka flaszę,
A gospodyni kubka nam udzieli,
Miernie użyty trunek rozweseli,
Śmielszemi czyni ukrywane chęci
I tajność serca przed oczy wyświęci [2])!...

---

[1]) Pokrewieństwo (zachowując zwyczaje ojcowskie, stajemy się wszyscy jakby krewnymi). [2]) Wyjawi to, co w sercu.

55 Podała matka kubek na te słowa:
Poszła do serca wszystkim Jana mowa.
Bóg też go wielkim rozumem obdarzył;
Już on niejedno krewieństwo skojarzył;
Starostą bywał na każdem weselu,
60 I chrzestnym ojcem zwą go w domach wielu:
Przeto, gdziekolwiek przyjdzie w odwiedziny,
Jest jakby w domu u swojej rodziny.
W podany kubek nalał Wiesław miodu;
„Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
65 Piękna Halino! jak tobie[1]) słodyczy
Na całe życie serce moje życzy“.
Na to Halina pytającem okiem
Patrzy na matkę, odwrócona bokiem.
Białe odzienie zarzuca na głowę;
70 Tak zasłoniona wypełnia połowę.
Połowę Wiesław wypełnił aż do dna;
A jako zorza za gajem pogodna,
Kryjąc się, błyszczy rumieńcem Halina.
Jan dziewosłęby w te słowa zaczyna:
75 „Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli[2]),
Już do was matko, mówić mię ośmieli.
Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą[3]),
Niech ją z namysłem starsi doprowadzą.
Młodość nie widzi, przyszłości nie bada;
80 Jako w kochaniu ufność w losie składa[4]).
A to[5]) odmienne[6]), nieprzyjazne rzeczy.
Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy,
Wszystko przewidzieć, w szczerości pogadać,
A zresztą ufność na Bogu zakładać.
85 Poczciwych ojców widzicie tu syna.
Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina,
Ma przecież ojców, co litością zdjęci,
Mając kumostwa powinność w pamięci,
Nie żałowali dla sieroty chleba,
90 Uczyli pracy i bojaźni nieba!
Sprawił się godnie, że go synem zowią
I część chudoby dla niego stanowią.

---

[1]) Jak tobie t. j. jako znak, jako dowód, jak tobie, [2]) Okazuje życzliwość, odpowiada wzajemnością. [3]) Za władzą serca. [4]) Jak miłości swej jest pewna, tak też ufa, że los będzie jej przychylny. [5]) To, co los niesie. [6]) Zmienne, niepewne.

Nie jestci u nich gospodarstwo liche,
Praca sierpowa nie idzie pod wichę![1])
Co tydzień wniesie, nie traci niedziela: 95
Bóg też rządności pomocy udziela.
Czystą pszenicę niesie czarna rola,
Wełniste owce zabielają pola,
W schludnych stajenkach bydełko się chowa,
A cztery konie jeżdżą do Krakowa. 100
Z ich to poręki[2]) ja do was przychodzę.
Poznał się Wiesław z Haliną na drodze,
Jak pewnie wiecie i ojcom wyjawił,
Że swoje serce w jej sercu zostawił.
Na to Stanisław rzekł mu słowem takiem: 105
„Jesteś mi, prawda, w domu jedynakiem;
Lecz jeśli miła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci:
Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty“. 110
Te słowa, matko, wiernie wam odnoszę
I w imię ojców o córkę was proszę...
Niechaj Bóg dobre rodziny jednoczy.
Nie chcę młodego wychwalać wam w oczy!
Często pochwała, choć i słuszna, szkodzi; 115
Bo lepiej, kiedy nie znają się młodzi.
Zawcześnie już się u celu być mienią;
Raz pochwaleni, przestrogi nie cenią.
Choć pracowity, choć posłuszny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem[3]) pokryjomu; 120
Zajechać drogę choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie —
Z karczmy rozpędzać cesarskie wojaki,
Wyśmiać wędrownym góralom chodaki,
Toć były dotąd jego obyczaje. 125
Młodemu wszystko zarówno się zdaje[4]),
Bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu,
Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
Aż dalej cicho płynie w swem korycie:
Tak młodzian, siłą udarzon obficie, 130
Musi wyszumieć, aż w troskach stateczny,

[1]) Wicha, wiecha, pęk sośniny, zawieszany nad wejściem do karczmy: pod wiechę = do karczmy. [2]) Z ich to ramienia, z ich woli. [3]) Frantem, filutem. [4]) Młody na nic nie zważa.

Jak jabłoń zczasem traci kwiat zbyteczny.
Zawsze też dobra i stateczna żona
Reszty wychowu[1]) w młodzieńcu dokona:
135 Nauczy myśleć, jak dobytek zbierać,
Jak się na przyszłość niepewną ozierać.
To wam powiadam o naszym Wiesławie,
Bom mu był świadkiem od dzieciństwa prawie".
Bacznie Halina, stojąca na boku,
140 Śledziła prawdy w Wiesławowem oku.
Jan, mówiąc prawdę, wiedział, że nie ranił:
Dziewczęta lubią błędy, które ganił.
Ale łza błysła w źrenicy młodziana,
Potem się nisko skłonił do nóg Jana,
145 Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu:
I było długie pomilczenie w domu.
Wtenczas Halinie także łzy wytrysły.
Jako na wiosnę nad brzegami Wisły,
Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
150 Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją,
A razem słońce za górami świeci:
Tak, gdy z otuchą łzę zroniły dzieci,
Jan z matką na nie poglądali zboku;
Miła pogoda jaśniała im w oku.
155 Rzewniło matkę to dziewicy szczęście,
Lecz nie Halinie bogate zamęście;
Która, sierota bez ojca, bez matki,
Nie miała wiana, ni rodzinnej chatki.
W szczerości zatem, jak każe sumienie,
160 Takie Janowi czyni oświadczenie:
„Jest Bóg widzący na niebieskim dworze!
Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze:
Czy kogo zniży, czy wgórę osadzi,
Patrzy, jak wszędzie człowiek sobie radzi.
165 Halina moja, co w ubogim bycie
Przepracowała dotąd ze mną życie,
Nie wierzy słońcu, które niespodzianie
Przed nasze teraz zabłysło mieszkanie;
Na stan jej niski wysoka jagoda[2]):

---

[1]) Wychowania (jak to wychowanie Jan pojmuje, o tem mówi w wierszach następnych. [2]) Co przez tę „wysoką jagodę" matka Haliny rozumie, o tem mówi nam wiersz następny.

Nie dla niej kmiecia ręka i zagroda, 170
Bo nie ma ojców ani przyjacieli,
Coby o wianie dla niej pomyśleli.
Przeto, młodzieńcze, niech cię Bóg poświęci
Za dobre serce i życzliwe chęci.
Teraz słuchajcie o losie Haliny 175
I to do waszej odnieście rodziny:
Gdy się los zawziął na Polską Koronę,
Szedł i mąż z kosą[1]) na wspólną obronę;
I już nie wrócił. Obcy bez litości
Grabili dwory, zapalali włości. 180
Doznał, co trwoga, kto pomni te czasy;
Starcy i matki pokryli się w lasy,
Ale i w lesie zajęły się sosny.
Byłci to widok straszny i żałosny,
Gdy ta ostatnia gorzała ochrona; 185
Na milę wielka rozciągła się łona[2]).
Dzieci i matki błądziły tłumami.
Przy drodze na to patrzyłam ze łzami,
A że mi dziecię zastąpiło drogę,
Do serca, płacząc, utulam, jak mogę, 190
Pytam o imię, rodzinę, mieszkanie:
Ale daremna prośba i pytanie.
Dziecię zaledwo znało swoje imię.
Mówiło tylko, że w okropnym dymie
Nieznani ludzie wiedli je do lasu — 195
Więcej nic nie wiem. Aż do tego czasu
Ja, matka niegdyś, pamiętna na Boga,
Wzięłam sierotę, choć sama uboga;
Użyłam trosków, lecz była ich godna.
Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna. 200
Obiedwie teraz pracujem na siebie,
W jednych żyjemy troskach i potrzebie;
Bez skiby ziemi, jałówka, dwie krówek,
Kilka owieczek — cały nasz dochówek.
Brzmią tu wesela na każde zapusty, 205
Lecz to nie dla niej; nie dla niej odpusty,
Na którym pannom kupują pierścienie;
Tam, gdzie stodoły i bogate mienie,

---

[1]) Szczegół ważny do oznaczenia czasu, w którym rozgrywały się wypadki. [2]) Łuna.

Tam zalotnicy. Nie zwabi młodziana
Przybysza córka bez ojców i wiana;
Jak była dotąd niebieska opieka,
Tak przeznaczenia u Boga niech czeka;
Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
Już mnie Halina samej nie zostawi".
Na to Halinie łza z oczu wytryska,
Klękła przed matką i kolana ściska:
„O moja matko! tyś jest moje wiano!
Choćby mi góry ze złota dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
Jedwabne szaty chowała w komorze:
Tobym bez ciebie przepłakała życie".
Tak się ścisnęły, lejąc łzy obficie,
A Jan milczący bacznie radość chowa;
Wykraść się chciały niecierpliwe słowa,
Bo dusza pełną była ważnych myśli;
Na twarzy tylko wesele się krysli.
Chciał mówić Wiesław, ale go Jan bacznie
Ostrzegł pocichu i tak mówić zacznie:
„Ważne mi, ważne zwiastują się rzeczy!
Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy;
Chwała mu wieczna! — Miła gospodyni
Niechaj z ufnością, co powiem, uczyni:
Bo z serca idzie szczera moja rada!
Uprośćcie konie z wozem u sąsiada,
A tę życzliwość hojnie mu wrócimy.
Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy,
Szczęścia wspólnego wybiła godzina:
Pozna Halinę Wiesława rodzina".

V.

Wartko wóz toczą parskające konie,
Mijają mostki i wzgórki i błonie.
Cała rodzina siedzi zadumana;
Wesołość tylko nie opuszcza Jana.
Bo radość w sercu utajoną żywi,
Że dwie rodziny wrychle uszczęśliwi.
Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
I rzeźwą wonią tchnie wieczór pogodny.

Jest blisko drogi gościniec wygodny; 10
Tam każą stanąć, bo choć wioska bliska,
Jednak ją dzielą zarosłe stawiska.
Przeto, nim wokół jadący okrąży,
Pieszy ścieżkami trzykroć pierwej zdąży.
Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło, 15
A wóz pył wznosi, okrążając koło.
Dziwnie Haliny twarz się uwesela,
Swawolna więcej mówić się ośmiela.
Przebyli kładki i zaczepne[1]) krzewy;
Z błoni pastusze ozwały się śpiewy, 20
Które jej bardzo do serca trafiły:
Tak na weselu nucił Wiesław miły.
A Jan uważnie pogląda jej w lica,
Czy jej nie będzie znaną okolica.
Wtem uroczyście od kościelnej wieży 25
Dzwon na modlitwę głos po rosie szerzy:
Pobożnie wszyscy padli na kolana,
A twarz Haliny, od zorzy oblana,
Podobną była do twarzy anioła.
Ale tęsknocie wytrzymać[2]) nie zdoła: 30
Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił
I niezważaną łzę z oka jej zronił.
A idąc dalej, na wzgórku stanęli:
Już tylko wioskę jedno błonie dzieli,
Z którego krzycząc swawolne pachołki 35
Spędzają na most i krówki i wołki.
Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska, jako ogród długi,
W kwitnących sadach niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije. 40
A stary kościół z blaszanemi szczyty
Ponad wsią błyszczy, lipami zakryty.
Wieża, z której dzwon o milę donosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.
Gdy tak na wszystkie poglądają strony, 45
Jan się zapytał, na laskę schylony:
„Jak ci się zdaje to nasze siedlisko?
Chata Wiesława już tu bardzo blisko“.
Ale Halina w jedną patrzy stronę;

---

[1]) Te, o które nie trudno się zaczepić (np. tarnina). [2]) Oprzeć się.

50 Bijące łono, usta otworzone
Poznać dawały wielkie zadumienie[1]);
Błogie się w serce cisnęło wspomnienie.
Nie mogła mówić, bo w takowym stanie
Każdy jej oddech zajmowało łkanie.
55 Dalej przy miedzy, naprzeciwko chaty,
Stoi krzyż Pański, pochylony laty;
Wokoło wierzby i zielona trawka:
Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka.
Tu już Halina pada na kolana,
60 W dłonie uderza i mówi do Jana:
„Mocny mój Boże! toć moja rodzina!
Gdzie moja matka? gdzie moja jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób jej pójść muszę;
Tu utęsknioną niech wyzionę duszę.
65 Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiatki,
Ale nie widzę rodzicielskiej chatki:
Bo tu inaczej dawniej wszystko stało;
Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało".
Tu Jan o ziemię kij i czapkę rzucił;
70 Klęknął i pod krzyż łzawe oko zwrócił;
„Tu naprzód, rzecze, na kolana padaj,
Tu już nie pytaj, ale dzięki składaj!
Widzisz tę ziemię jak jest wydeptana?
Twoja to matka, matka żałowana,
75 W modłach za tobą tak ją wyklęczała;
Bóg nas doświadcza, Bogu zawsze chwała!
Bóg litościwy i ciebie ratował
I ojców twoich przy zdrowiu zachował;
Wzmogli się znowu po niszczącym boju,
80 Z sierotą dzieląc owoce pokoju;
Chatkę i córkę stracili w potrzebie[2]),
Dziś w nowej chacie uściskają ciebie"
Klękła Halina, Wiesław za Haliną,
A zamiast modłów łzy z oczu im płyną
85 Łzy, które czystsze od rosy widzieli,
Które jak perły liczyli anieli.
A kiedy wstała, już uczuć nie kryje,
Ściska Wiesława i Jana za szyję.
Spieszą w podwórko, lecz ojców nie było.

---

[1]) Zdumienie. [2]) Potrzeba, tu w znaczeniu: wojna.

Patrzy Halina, co się odmieniło. 90
Tak spodziewanych od pola czekali,
Aby Halinie wypoczynek dali.
Już też Stanisław od łąk wraca z kosą,
Idzie i żona, konicz krówkom niosą;
Naprzód z bławatem szła Bronika mała, 95
Gości w podwórku ojców wskazywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pośpieszył,
Ażeby matkę szczęśliwą ucieszył.

Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona; 100
Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi;
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi:
Jako Bronika starszą siostrę ściska;
Nie znając straty[1]), a czując, co zyska;
Tego wam, moi mili towarzysze, 105
Jakobym pragnął, nigdy nie opiszę!

Odpowiedzmy na następujące pytania:

Po odczytaniu części I: Gdzie dzieje się to, o czem przeczytaliśmy? Z czego wnosimy, że Bronisława sprzyja planom męża, dotyczącym przyszłego małżeństwa Wiesława i Broniki? Jak dawno zaginęła druga córka Bronisławy? Co wówczas działo się w Polsce? Jak Bronisława ten cios przyjmuje? Dlaczego wzięła na wychowanie Wiesława?

Jakie zalety poznaliśmy w Stanisławie, jakie w jego żonie? jakie w ich przybranym synu?

Ile obrazów musielibyśmy namalować, gdybyśmy przy ich pomocy chcieli przedstawić to, co się dzieje w pierwszej części „Wiesława"? Jakby te obrazy wyglądały?

Po odczytaniu części II: Jaki widok roztacza się przed powracającym Wiesławem? Kto go wita, kto zaprasza? Jakie wrażenie wywarła na Wiesławie Halina? Co nam mówią o uczuciach Wiesława jego piosnki? Jak zachował się Wiesław po tańcu? Kiedy i w jakim stanie, o kim myśląc, opuścił wesele?

Ile razy wśród tańca i śpiewów zmienia się obraz?

Co nas zaciekawia po przeczytaniu tej części poematu?

Po odczytaniu części III: Ile razy zmienia się miejsce w tej części? Czem Wiesław po powrocie zwraca uwagę wszyst-

---

[1]) Nie zdając sobie sprawy z tego, co traci.

kich w izbie? czyją najwięcej? Jakich uczuć doświadcza, wyznając, że umiłował Halinę? Czy uważa się jednak za niewdzięcznego, (co ma na swe usprawiedliwienie)? O co prosi przybranych rodziców? Z jakiego powodu Stanisław nie chce przychylić się do prośby Wiesława? Jak uzasadnia Jan swą radę, ażeby „dać wolność“ Wiesławowi? W jaki sposób tłumaczy się Stanisław: dlaczego w pierwszej chwili dał Wiesławowi odpowiedź odmowną? Do czegoż ostatecznie sam zachęca młodzieńca?

Które z osób podobały się nam w III części „Wiesława“? Co się nam u nich podobało?

Na czem w porównaniu użytem przez Jana (w 102—107) polega podobieństwo młodzieńca do ptaka na wiosnę?

Czy trzecią część „Wiesława“ czytaliśmy z takiem samem uczuciem pogodnem, z jakiem odczytywaliśmy część I i II? Jeśli nie, czemu to przypiszemy?

Po odczytaniu części IV: Ile razy zmienia się miejsce w tej części? Czy treść piosnki obu wędrowców mogła mieszkańkom chatki powiedzieć, poco przybywają? Zatrzymajmy się przy „dziewosłębach“ i zastanówmy się: po czem poznaje Jan, że Halina „chęć życzliwą dzieli“; co w słowach Jana przemawia na korzyść Wiesława; dlaczego wspomina o jego „wadach“? (jakie to wady?) Dlaczego przybrana matka Haliny sądzi, że w tej właśnie chwili Bóg doświadcza dziewicę? Jakich szczegółów z dzieciństwa Haliny dowiadujemy się z opowieści jej przybranej matki? Jaka opowieść Bronisławy przypomina się nam natychmiast? (dlaczego się nam przypomina?). Jak myślicie: dlaczego Jana rozradowała opowieść przybranej matki Haliny; dlaczego postanowił wybrać się w drogę z obiema kobietami?

Jak sądzicie: co to się działo w Polsce, gdy przybrana matka Haliny znalazła ją błąkającą się? (weźcie pod uwagę wiersze 177—180); który to był rok? Więc w którym w przybliżeniu roku dzieje się to, o czem czytamy w „Wiesławie“?

Z czego nam się w tej części podoba Halina? a jej przybrana matka? Z czego okazuje się rozum Jana?

Na czem polega podobieństwo między chwilą wiosenną, „gdy wonny deszczek niebiosa wyleją“, a tą chwilą, w której Jan i stara kobieta spoglądali na Wiesława i Halinę? (w. 148—154).

Czego pragniemy się dowiedzieć po przeczytaniu części IV „Wiesława“

Po odczytaniu części V: Jakich szczegółów dowiadujemy się o okolicy, którą przebywali nasi znajomi? Jaka to była pora dnia, jaka pora roku? Dlaczego Jan bacznie przyglądał się Halinie? Jak przypuszczamy: dlaczego „zadumienie“ odbiło się w obliczu Haliny i co to za „błogie wspomnienie“ cisnęło się w jej serce? Kiedy jesteśmy pewni, że poznała ona swe miejsce rodzinne? Z czego możemy wnosić, że jest głęboko wzruszona? Komu Jan przypisuje szczęśliwe rozwiązanie bolesnych wydarzeń? Czy Wiesław i Halina podzielają zapatrywania Jana? Jak się objawia radość Haliny? Dlaczego poeta nie opisuje powitań złączonej rodziny?

Czy zaciekawia nas co jeszcze po przeczytaniu V części „Wiesława“?

Ile razy w całym poemacie zmieniło się miejsce? Która część poematu najwięcej budzi w nas wesela, która pogrąża nas w niepokoju? Która chwila najsilniej nas wzruszyła? Która z osób najdzielniej przyczyniła się do tego, że pod koniec wszyscy się czują szczęśliwymi? Czy możnaby poematowi dać tytuł:

„Litość za litość. Niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka“?

Spróbujmy zwięźle opowiedzieć losy Wiesława.

Do jakiej warstwy społecznej należą wszystkie osoby występujące w poemacie? Jakiemi zaletami się odznaczają? Jakie obyczaje ludowe poznaliśmy z „Wiesława“?

Wskażmy obrazy przyrody we „Wiesławie“. Jakich barw użylibyśmy, gdybyśmy chcieli odtworzyć je pędzlem?

Którzy z autorów, poznanych w tym roku, przedstawiali lud, życie na wsi?

Niebawem po napisaniu „Wiesława“, który wyszedł w roku 1820, został Brodziński profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, a w kilka lat potem generalnym wizytatorem szkół. Po upadku powstania listopadowego, trawiony smutkiem, żył już niedługo.

Nietylko Brodziński, także i inni poeci w Polsce zajęli się w tych czasach żywiej ludem wiejskim, jego życiem, zwyczajami, pieśniami. Poczęli też sięgać myślą w odległe wieki średnie, w czasy rycerstwa, odwagi, a równo-

Rys. 16. Adam Mickiewicz.

cześnie głębokiej religijności. Wierzyli, że wpatrując się w oblicza przodków, zakutych w stal, i przedstawiając ich czyny, stworzą poezję prawdziwie narodową. Widzieliśmy, że już Niemcewicz w swych „Śpiewach historycznych“ wskrzeszał przeszłość, ale prawdziwe arcydzieło stworzył, przeniósłszy się wyobraźnią w dobę rycerstwa, dopiero największy poeta polski i jeden z największych w świecie, Adam Mickiewicz.

(Przypomnijmy sobie, które z utworów Mickiewicza poznaliśmy w poprzednich latach nauki?).

Adam Mickiewicz.

Na Litwie, gdzie się urodził w r. 1798, w wiosce Zaosiu pod Nowogródkiem, spłynęło jego dzieciństwo „sielskie, anielskie“, poczem znalazł się Adam w szkole powiatowej w Nowogródku. Tam to ujrzał jako czternastoletni student przemarsz armji napoleońskiej w roku 1812; „urodzony w niewoli, okuty w powiciu“, oglądał wojsko polskie, orły białe; zobaczył, jak

„...stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie:
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rzęd bagnetów błyska,

Roją się niezliczone piechoty mrowiska.
— — — — — — — — — — —
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami".

Niestety, rozwiały się nadzieje... Wyprawa napoleońska zakończyła się straszliwą klęską.

Mickiewicz, po ukończeniu szkoły powiatowej, udał się na Uniwersytet do Wilna, na ten sam Uniwersytet, którego pierwszym rektorem był ks. Piotr Skarga, a który teraz szczycił się znakomitymi profesorami. Ale nietylko profesorowie byli chlubą tej Wszechnicy, była nią również młodzież, najbliżsi koledzy Mickiewicza, młodzieńcy szlachetni, pełni zapału, rozmiłowani w pracy. Grono onej młodzieży związało się w towarzystwo, a stowarzyszeni obrali jako hasło trzy pełne treści słowa: ojczyzna, nauka, cnota. Postanowili bowiem pracować dla ojczyzny z wszystkich sił, więc przedewszystkiem przez kształcenie się należyte, przez życie cnotliwe, a następnie przez szerzenie wśród ogółu młodzieży patrjotyzmu. Patrjotą zaś według nich był ten, kto umiał przekładać dobro powszechne nad własne.

Wśród owego grona Mickiewicz należał do najczynniejszych. Układał ustawę dla towarzystwa, występował na posiedzeniach z odczytami i wierszami, w których głosił hasła stowarzyszonych; piosnki jego śpiewano z zapałem na majówkach, urządzanych na koszt wspólny za miastem. Zaproszona młodzież wracała z owych wycieczek owiana duchem braterskim, lepsza i skorsza do podejmowania codziennych trudów.

Po skończeniu Uniwersytetu, żegnany z najszczerszym żalem przez serdecznych współtowarzyszy pracy, podążył Mickiewicz do Kowna, ażeby objąć tam posadę nauczycielską. Kiedy w lat kilka potem zawitał do ukochanego Wilna, aresztowano go i osadzono w więzieniu. To zawzięty wróg Polaków, senator rosyjski Nowosilcow,

wpadłszy na trop związków młodzieży, kazał członków stowarzyszenia pojmać i po długiem śledztwie i znęcaniu się nad nieletnimi, stawić przed sąd. „Zbrodniarzy“ ukarano srodze, jednych wysłano na Sybir, drugich w odległe gubernje państwa rosyjskiego, a Mickiewicza wywieziono do Petersburga, poczem do Odessy.

Był już wówczas Mickiewicz autorem prześlicznych *ballad*, czytanych z zachwytem *„Dziadów“* (części II i IV) i powieści litewskiej, *„Grażyny“*. W „Grażynie“ to właśnie przeniósł się poeta wyobraźnią w wieki średnie, w czasy pogańskiej Litwy, w tę dobę, kiedy to książęta litewscy (u schyłku XIV stulecia) wadzili się krwawo między sobą, a szarpani niezgodą nie wahali się przyzywać na pomoc najzawziętszych swych wrogów.

Grażynę przeczyta młodzież w całości.

Odpowiedzmy na następujące pytania:

Po w. 57 („... i co nas przywiodło“). W jakiej porze oglądamy zamek? Gdzie on się znajduje? Co to za jeźdźcy przybyli? Do kogo, poco? Czy w sprawie ważnej? Jakie uczucia żywią Litwini wobec przybyszy? — Spróbujmy dać nagłówek tej części poematu.

Po w. 487 („... przed księżnej podwoje“). Dlaczego dworzanie każą budzić Rymwida? Czy nie zastanawia nas zachowanie się księcia? (w. 78—87). Co jest w tem zachowaniu się osobliwego?

Dokąd, kiedy i poco zamierza on wyruszyć z rycerstwem? Co w zarządzeniach księcia nie podoba się Rymwidowi, jakie obawy budzą w nim one, jakie zmiany zalecałby w nich poczynić? (dlaczego?). Jakie są istotne zamiary Litawora? Z kim związał się przymierzem? Jak Rymwid przyjmuje zwierzenie księcia? Jak uzasadnia swój sąd, że snadniej można zaufać wężowi niż krzyżakowi? Jak załatwiłby zwadę z Witoldem? Dlaczego Litawor odrzuca plan Rymwida? Dlaczego czuje się tak bardzo upośledzonym? Czy jednak, według tego, co mówi, zawiść nim powoduje, czy wzgląd inny? (w. 432 i nast.). Jak Rymwid zachowuje się wobec zleceń otrzymanych od księcia? Co potem czyni? Czy wiemy, poco podąża do księżny? —

Jaki nagłówek moglibyśmy dać części poematu zawartej w wierszach 103—473 („Wszak mi sam z Wilna...“ — „... popioły i dymy“)? Kto się nam w tej części więcej podoba: Litawor czy Rymwid? Co się nam nie podoba u Litawora, a co podoba u Rymwida? — Co nas po przeczytaniu poematu do w. 487 („... przed księżnej podwoje“) zaciekawia?

Po w. 539 („... narodowi skaza“). Czy potrafimy opisać dokładnie wygląd Grażyny? (na co w wyglądzie księżny zwracamy uwagę?) Jakie były jej upodobania? Za kogo ją często brano? Jaki był jej stosunek do męża? Czy wiemy już teraz, poco Rymwid podążył do księżny?

Po w. 610 („... wprędce ukołysze“). Czy po usłyszeniu od Rymwida nowiny Grażyna „sercem nie wydaje męża“? t. j. czy nie zachowuje się jak mężczyzna? Czy pozory spokoju zachowuje do końca rozmowy? Co postanawia uczynić? Dlaczego zdobywa się na postanowienie, które powzięła? Czy wiemy, o czem księżna z mężem mówiła? a czy możemy się domyślać, jaką otrzymała odpowiedź?

Po w. 782 („... na ganku“). Co Rymwid ujrzał, odszedłszy od podwojów księcia? Z czego wnosimy, jak wielce odprawa ubodła pychę krzyżaka? Co komtur zapowiada? Jak tłumaczy sobie Rymwid odprawienie posłów krzyżackich? Co go zadziwia? Kogo podejrzewa o wydanie tego rozkazu?

Jak rozumieć słowa księżny: „niedobrze się dzieje“? Jak uzasadnia Grażyna konieczność zwłoki w działaniach wojennych? Dlaczego Rymwid twierdzi, że za późno na myśli o zwłoce? Czego pragnąłby się dowiedzieć?

Jakie „zdarzenie nowe“ nie dozwoliło Grażynie odpowiedzieć na pytanie Rymwida? Czego czaty litewskie dowiedziały się od jeńców krzyżackich? Kogo „nowina“ zadziwia? Czy i czytelnika? A co w czytelniku budzi zadziwienie? Jakie postanowienie powzięła księżna?

Kim głównie zajmowaliśmy się do w. 487 („... przed księżnej podwoje“)? A kim, począwszy od tego wiersza aż do w. 782 („... na ganku“)? Do czego dąży dotychczas Litawor? A do czego Rymwid i Grażyna? Co grozi planom Litawora? Czegośmy teraz szczególnie ciekawi?

Po w. 826 („... rozsuwając boki“). Kogo Rymwid ujrzał, gdy skierował kroki ku komnatom księcia? Jaki był strój ujrzanej przez Rymwida postaci? Co zastanawiało przytomnych w zachowaniu się Litawora? Czy wiemy, dokąd i w jakim celu poprowadził książę swe roty?

Po w. 962 („... tratuje po nim“). Na kogo, patrząc na natarcie Litwinów, zwracamy szczególną uwagę? Wskutek czego? Spróbujmy? znów — przy pomocy stosownych znaków — naszkicować, jak Rymwid ustawił zastępy litewskie? Skreślmy jak najzwięźlej przebieg bitwy.

Czy w porę przybywa czarny rycerz? Jakiej klęsce nie zdołał zapobiec? Czy wiemy, kim on jest?

Jaki napis dalibyśmy tej części poematu, która jest zawarta w w. 827—962 („Jest od przykopów...“ — „... tratuje po nim“)?

Po w. 1001 („... jak głęboka rana“?). Jak omdlały zachowuje się po odzyskaniu przytomności? Czy wiemy, jaką tajemnicę każe Rymwidowi szanować? A czy wiemy, dlaczego Rymwid „ledwie śmie wierzyć“ i czyj głos poznaje? Co jednak wiemy napewno o ranionym?

Czego po przeczytaniu tej części poematu przedewszystkiem pragnęlibyśmy się dowiedzieć?

Po w. 1089 („... i dymu obłokach“). Co wznieca powszechny żal i postrach? Jakiego to końca zebrani dokoła stosu nie śmieją zgadywać? Kto pojawia się w chwili, gdy błyska nóż ofiarny? Jak wobec okrzyków radości zachowuje się książę? Jaki rozkaz wydaje i jaką tajemnicę odsłania? Jak sądzicie, dlaczego rzuca się na stos?

Zastanówmy się, czy potrafimy w przybliżeniu oznaczyć wiek, w którym dzieje się to, o czem czytamy w „Grażynie“? Dlaczego Litwini nienawidzą krzyżaków? Czy jednak książęta litewscy nie idą krzyżakom na rękę? W czem zawinił Litawor? Czem góruje nad nim Grażyna? Czy słusznie nazywa ją Litawor „bohaterem z ducha“? Za co szanujemy Rymwida? Kiedy podczas czytania poematu doznaliśmy najsilniejszego wzruszenia?

Jak ujawniają się uczucia u Litawora? (porówn. w. 96—102, 453—461). Jak uzewnętrznia się w postaci Grażyny rozterka wewnętrzna? (porów. w. 760—772).

Czy potrafimy nakreślić, przy pomocy stosownych znaków, szkic terenu, o którym czytamy w w. 827—834 (Jest od przykopów...“ — „... usiadła“?). Gdzie umieścimy na naszym szkicu zastępy krzyżackie? Gdybyśmy chcieli przedstawić w obrazach cały przebieg bitwy, ile obrazów musielibyśmy stworzyć? W ilu zaś obrazach zdołalibyśmy odtworzyć obrzęd pogrzebu? — Jakich barw użylibyśmy, gdybyśmy spróbowali nakreślić obraz zawarty w w. 1—13? A gdybyśmy chcieli ilustrować wiersze 836—847 („Ujrzą śród góry...“ — „... liścia“), czy potrzebaby nam było koniecznie farb, czy może potrafilibyśmy bez użycia

ich oddać to, co w obrazie nakreślonym przez poetę zwraca szczególną uwagę?

Które z przenośni w przemówieniu Litawora (w. 362 - 400) szczególnie się wam podobały? Zastanówmy się; co upodabnia konnicę krzyżacką do borów w czas mroźny (w. 835—847); na czem polega podobieństwo między walczącymi Litwinami i krzyżakami a rzeką i skałą w jej nurtach (w. 898—910)? Czem czarny rycerz przypomina jodłę wybujałą, czem sprawia wrażenie gromu, czem jest podobny do chmury gradowej (w. 919—926, 957—962)? — Których ze słów, jakie znajdujemy w w. 1—98, i których form tam użytych, dziś już nie używamy?

Blisko pięć lat upłynęło Mickiewiczowi na wygnaniu to w Odessie, to w Moskwie, to w Petersburgu. Tęsknił poeta niezmiernie do ojczyzny do swoich, ale opuścić zdołał Rosję dopiero w rok przed wybuchem powstania listopadowego. W Petersburgu ogłosił wspaniały poemat p. t. *Konrad Wallenrod.* Jak w „Grażynie“ dla miłości ojczyzny ponosi śmierć Litwinka, tak w tym nowym poemacie poświęca się, żeby ratować kraj od zagłady krzyżackiej, Litwin, równie namiętnie kochający swą ziemię, jak Grażyna. Ale nim odda życie, wprzód cios śmiertelny zada potędze wrogów.

Po wydostaniu się z Rosji nie mógł Mickiewicz powrócić do ojczyzny, podążył tedy na południe, do Rzymu, i tu doszła go wieść o wybuchu w Polsce walki o wolność. Wyruszył do kraju, do Poznańskiego, ale przez granicę przedostać się nie zdołał i tu w Poznańskiem doczekał upadku powstania. Jak bolał srodze, jakie męki znosił, widząc, że w gruz rozsypują się nadzieje narodu, o tem mówi nam najlepiej napisana po klęsce III część *Dziadów.* Utwór ten przedstawia cierpienia młodzieży polskiej w Wilnie, więzionej, wywożonej na Sybir po osławionem śledztwie Nowosilcowa, a bohater tego utworu, wyobrażający samego poetę, tak woła:

„Nazywam się Miljon — bo za miljony
Kocham i cierpię katusze.

Patrzę na ojczyznę biedną,
Jak syn na ojca wplecionego w koło;
Czuję całego cierpienia narodu".

Ale i o ratunku dla ujarzmionych myśli poeta, pragnie naród swój „dźwignąć, uszczęśliwić", chce nim „cały świat zadziwić". Istotnie też pracy dla narodu poświęcił Mickiewicz całe życie.

Zadziwił zaś świat poematem, który ukazał się wnet po III części „Dziadów". Poemat ten, to „Pan Tadeusz".

Pana Tadeusza przeczyta młodzież w całości.

Odpowiedzmy na następujące pytania:

Po przeczytaniu księgi I: Do kogo zwraca się poeta w początkowych wierszach 1—4 i 5—22? Jakich uczuć doznaje? Jaką nadzieję wyraża, jaką wypowiada prośbę? Co widzi oczyma swej „duszy utęsknionej" (w. 12—22)? Czem zwraca uwagę naszą dwór, przed który zajechał „młody panek"? Co zajęło szczególnie przybysza, co go zmieszało? Czego dowiedział się on z rozmowy z Wojskim? Z kim spotkał się, idąc pod las drogą? O co poróżnili się Wojski z woźnym Protazym? Czego dowiadujemy się o zamku Horeszków (w. 171 i nast.)? Co było powodem roztargnienia Tadeusza podczas wieczerzy? Jakie spowodowało ono następstwa? Jak uzasadnia Sędzia swe twierdzenie, że „grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą"? (odpowiedzmy na to zwięźle). A jak uzasadnia Podkomorzy, że „dawniej było jeszcze gorzej"? (odpowiedź niech będzie również zwięzła). W czem widzi postęp? Dlaczego ksiądz Robak słuchał rozmowy niechętnie i „spojrzał zezem"? Jakiej ważnej nowiny dowiadujemy się z ust Rykowa? Co odwraca uwagę biesiadników od jego słów? Co zkolei odwraca uwagę gości od świeżo przybyłej osoby? Czy uwagę wszystkich gości? Dlaczego Tadeuszowi „serce biło nadzwyczajnie"? Jakich bliższych szczegółów dowiadujemy się o nim? O co obraził się Asesor na Tadeusza? Dzięki czemu nie doszło do wybuchu? Jak postanowił Podkomorzy rozstrzygnąć spór myśliwych? Dlaczego Wojski nie chciał się zastosować do rozkazów Podkomorzego? Co było powodem, że Tadeusz po wieczerzy „czuł się pomieszany, zły i niewesoły"? Czem uzasadniał Woźny wobec Sędziego swój pomysł

przeniesienia stołów do zamczyska? Jakie miał widzenie przedsenne? — O kim mówi poeta w w. 892—905? o jakich czynach „boga wojny“ wspomina? — W jaki sposób nowiny z dalekich stron dostawały się na Litwę, jakie uczucia budziły, jakie wywierały skutki? Co nasuwa poecie myśl, że „kwestarzem tajnym był Robak podobno“? Czy wiemy, z jakiemi nowinami podążył ks. Robak do Sędziego?

Czy do treści całej księgi da się odnieść tytuł „Gospodarstwo“? Ile razy zmieniło się w niej miejsce? Z jakiemi osobami zaznajomiliśmy się, czytając tę księgę? Które z osób podobały nam się? z czego? Czego dowiedzieliśmy się o przeszłości Sędziego, o jego zwyczajach? co świadczy, że szanuje on dawne obyczaje? W jaki sposób poeta dał nam poznać, w jakich czasach dzieje się to, o czem opowiada?

Jakie zjawisko ujrzeli Tadeusz i Wojski, idąc pod las drogą (w. 186 i nast.)? Czy moglibyśmy odtworzyć na obrazie to zjawisko? Jak wyglądałaby ilustracja do w. 892—905? — Czy łatwo poznać, że Rykow to nie Polak? Jeśli tak, po czem?

Jakie cztery sprawy zajmowały nas podczas czytania I księgi? (przypomnijmy sobie, dlaczego Woźny kazał przenieść stoły do zamczyska? dlaczego Tadeuszowi podczas wieczerzy „serce biło nadzwyczajnie“, o czem Sędzia z Podkomorzym rozmawiali pocichu i poco przybywali na Litwę tajni kwestarze; w jakim celu Podkomorzy zarządził wielkie polowanie?) Co wzbudza w nas szczególną ciekawość po przeczytaniu księgi I-szej?

Po przeczytaniu księgi II: Z któremi ze znanych nam osób spotykamy się najpierw w tej księdze i w jakiej sytuacji? Co nas zastanawia w zachowaniu się ks. Robaka (w. 69—77)? Jaką nową osobę poznajemy i czego się od niej dowiadujemy (w w. 101—143)? Czego dowiadujemy się o wyglądzie, przeszłości i sposobie życia Gerwazego? Dlaczego Gerwazy ze zgrozą myśli o planie Hrabiego oddania zamku Soplicom? A dlaczego Hrabia wyrzeka się tego planu? Co za widok zachwycił Hrabiego i kto i w jaki sposób zachwyt mu przerwał? Które osoby (i grupy) i czem zwracają uwagę naszą podczas śniadania u Sędziego? Dzięki czemu spór między myśliwymi ustaje?

W której porze dnia dzieje się to, co poeta przedstawił w ks. I, w której to, co mieści księga II? Ile razy w księdze II zmienia się miejsce? Które z poznanych dotychczas osób możemy uważać za przeciwników wzajemnych? Czy do całej księgi II da się odnieść tytuł „Zamek“? A jak sądzicie, dlaczego poeta tytuł taki umieścił? Kiedy podczas czytania księgi II

przejmowały nas smutek, groza? Dlaczego opowiadanie Gerwazego jest szczególnie ważne? Jakie zwyczaje panowały na dworze magnackim za czasów niepodległej Polski? Kiedy częściej uśmiechaliśmy się, czy czytając księgę I czy II? A która silniej nami wstrząsnęła?

Czem (w w. 403—412) jarzyny w sadzie przypominają istoty ludzkie? Co z obrazu zawartego w w. 11—20 byłoby nam szczególnie trudno namalować, a co z obrazu zawartego w w. 413—426?

Przypomnijmy sobie, jakie cztery sprawy zajęły nas w księdze I? Czy te same zajmują nas w księdze II? Czy księga II zaspakaja ciekawość, obudzoną zakończeniem księgi I? Co po przeczytaniu księgi II zaciekawia nas najwięcej?

Po przeczytaniu księgi III: Z czego śmiejemy się, słuchając rozmowy Hrabiego z dziewczęciem z szarą kitką? Czy nie jest Hrabia śmieszny i potem (w. 203—219)? Co nas zaciekawia w następnym obrazie (w. 220—242)? Kiedy ciekawość nasza doznaje zaspokojenia? Czyim rozmowom przysłuchujemy się kolejno w dalszej części tej księgi (w. 354 i nast.)? Czego dowiadujemy się o ojcu Tadeusza z rozmowy Sędziego z Telimeną, czego o planach Jacka Soplicy? Dlaczego Telimena planom Jacka jest przeciwna? Czem bawi nas Hrabia w rozmowie z Telimeną, a czem pociąga ku sobie Tadeusz? Cóż przerywa rozmowę? Dlaczego obiadowano ciszej niż zwykle? Co wniosło w biesiadę ożywienie, a nawet podniecenie?

Jakie piękne obrazy przyrody zwróciły naszą uwagę podczas czytania tej księgi? Jakich barw musielibyśmy użyć, chcąc stworzyć ilustrację do w. 49—64? A jak wyglądałaby ilustracja do w. 65—78?

Ile razy zmienia się miejsce w tej księdze? Czego po przeczytaniu jej pragnęlibyśmy się dowiedzieć?

Po przeczytaniu księgi IV: Czem poeta jest wzruszony, gdy mówi o drzewach i kniejach litewskich (w. 1—41)? Dokąd przenosimy się z kniej (w. 93)? Dlaczego Tadeusz, ujrzawszy „cudne zjawienie“, krzyknął „dobrze, dobrze mi tak“? Jakie nowe osoby poznajemy w karczmie, z jakiej sfery? Kto wśród zebranych zwraca szczególnie naszą uwagę? W jakim celu ksiądz Robak pokazuje, „co się wewnątrz tabakierki dzieje“? Do czego podczas całej pogawędki zmierza? Co znaczą jego słowa „przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci“? Co za widok zmieszał księdza bernardyna i do czego go ten widok

skłonił? Dokąd przenosimy się wraz z wierszem 478 („Któż zbadał...“)? Którą chwilę w czasie polowania nazwalibyśmy najgroźniejszą? O co i między kim rozpoczął się spór po koncercie Wojskiego? Kto i w jaki sposób spór ten zgodził? Jaki nagłówek dalibyśmy tej części księgi IV, która zawarta jest w w. 810—845? W jaki sposób poróżnionych myśliwych chciał „do zgody dowieść“ pan Wojski? Co mu chwilowo przeszkodziło? Czem kończy się księga IV?

Ile razy zmieniło się miejsce w tej księdze? Co nas najwięcej podczas czytania jej zajęło?

Jakie zapory musiałby zmóc ten, kto chciałby się dostać do stolicy zwierząt i roślin w puszczy litewskiej? Jakieby tam dziwy ujrzał? — Co Wojski chciał w swojej grze zobrazować? W której części koncertu przedstawił stronę atakującą, w której atakowaną, w której obie strony? Jakich barw trzebaby użyć, ilustrując w. 47—52? Czy następne wiersze (53—56) możnaby również ilustrować? A następne (w. 57—93)? — Czem karczma (w. 177 i nast.) przypominała żyda modlącego się? — Którą chwilę z opowiadania o łowach na szaraka ilustrowałbyś najchętniej?

Czy w księdze tej dowiadujemy się czegoś nowego o każdej z czterech spraw, poruszonych w księdze I-szej?

Po przeczytaniu księgi V: Jakie to polowanie zaczyna Telimena? Dlaczego postanawia Zosię na świat wyprowadzić? Czy nie poznaliśmy Zosi już dawniej? Dlaczego Tadeusz „uczuł się nieszczęśliwym bardzo“, a Telimena była „pomieszana“? Gdzie pogodzili się oboje? Jakie były „powody milczenia“ podczas wieczerzy w zamczysku? Kto i w jaki sposób usiłował rozpogodzić myśliwych? Jakie były następstwa propozycji Sędziego (w. 527—528) i rozsądzenia sprawy przez Podkomorzego? Co pogorszyło położenie? Jakie były następstwa kłótni? Jakie Gerwazy miał widzenie przedsenne? Co nam ono przypomina? (czyje widzenie z księgi I)?

Ilu obrazami potrafilibyśmy zilustrować „kłótnię“? Dlaczego tych obrazów musiałoby być sporo? Ale czy wszystko, co się działo w czasie kłótni, dałoby się z obrazów naszych wyczytać? Co nas śmieszy w rozmowie Hrabiego z Gerwazym po kłótni?

W której z zajmujących nas czterech spraw zaszło w ks. V pogorszenie? Czy o każdej z nich dowiedzieliśmy się czegoś nowego? Czegośmy obecnie najbardziej ciekawi? Czego się lękamy?

Po przeczytaniu księgi VI: Jakie to „rzeczy nadzwyczajne“ działy się na gościńcu? Do czego „kłótnia“ wczorajsza skłoniła Sędziego? Komu i czem sprawił Sędzia szczególną radość? Dlaczego ks. Robak chciał skłonić Sędziego do zgody z Hrabią? Czego dowiadujemy się z rozmowy ks. Robaka z Sędzią o Jacku Soplicy po dokonanem przez tegoż zabójstwie? Czego o położeniu politycznem (o zamysłach Napoleona)? W jaki sposób ks. Robak zamyśla oczyścić imię Sopliców z niesławy? Jak Sędzia przyjmuje ważne nowiny, co sam zamyśla czynić na wieść o możliwości wybuchu wojny? O czem dowiedzieli się Protazy i ks. Robak, przybywszy do pałacu Hrabiego? Z czego słynął dobrzyński zaścianek? Jaka była przeszłość Dobrzyńskich, jakie ich szczególne zwyczaje? Co sprowadziło do Macieja szlachtę dobrzyńską?

Co się nam u Sędziego w rozmowie z ks. Robakiem podoba, a co nie podoba? Czem bawi nas Protazy podczas swej wyprawy? Dlaczego nazwano Macieja „kurkiem na kościele“? Dlaczego czczono go w zaścianku?

Gdybyśmy chcieli do w. 1—33 zrobić ilustrację, co możnaby na obrazie odtworzyć, a czego odtworzyćby nie można? Spróbujmy nakreślić plan domostwa Macieja Dobrzyńskiego. Jakich barw użylibyśmy, malując dom Macieja? — Czem wiatr, a czem słońce przypominają „parę mistrzów w Słucku“ w obrazie od w. 571—580 („Wiatr rozwarł dłonie...“ — „...a słońce dzierżgało“)?

Do której części księgi VI odnosi się napis „Zaścianek“? Któremi z czterech spraw, zajmujemy się, czytając tę księgę? O której chwilowo zapomnieliśmy? Dlaczego? Co nas po przeczytaniu tej księgi szczególnie zaciekawia?

Po przeczytaniu księgi VII: Nad czem radzą zebrani u Macieja? Kto przemawia za podniesieniem powstania, kto i dlaczego nie oświadcza się za tem, kto jest przeciwny wszelkiemu zwlekaniu? Czy Gerwazy do tego samego zmierza co Prusak? A do czegoż? Jakiego chwyta się sposobu, żeby pozyskać szlachtę dla własnych celów? Co szlachta ma do zarzucenia Sędziemu? Kto broni Sędziego i co na jego obronę przytacza? W jaki sposób Jankiel chce odwieść szlachtę od gwałtu? Dlaczego mu się to nie udaje? Jak Gerwazy stara się przekonać szlachtę, że „przy prawie stoi“? Czem ostatecznie szlachtę wzrusza? Dlaczego Maciek odzywa się do zebranych „A głupi! a głupi, a głupi wy“? O czem radzono u Macieja na początku zebrania, a na czem się skończyło?

Które z osób z pośród obradującej szlachty zaściankowej utkwiły nam szczególnie w pamięci? Wskutek czego? Które nas bawiły? Czem? Które z osób odegrały na radzie ważniejszą rolę? Która najważniejszą? Które zaliczymy do rozważnych, którym miana tego odmówimy?

Które z czterech spraw zajmują nas w księdze VII? Czego szczególnie chcielibyśmy się dowiedzieć po przeczytaniu tej księgi?

Po przeczytaniu księgi VIII: Jakie znaczenie przypisywał lud litewski, domowi i goście soplicowscy pojawieniu się komety? Co za „dziwną rzecz“ ujrzał Tadeusz w izbie stryja? Czego dowiadujemy się o księdzu Robaku z jego słów, wyrzeczonych do Sędziego? Czy domyślamy się, kim jest Robak? Jeśli tak, to na podstawie których słów jego? Dlaczego Sędzia tak bardzo surowo obszedł się z Tadeuszem? Z jakiego powodu Tadeusz po rozmowie z Telimeną „wpadł w rozpacz“? Co przeszkodziło jego zamiarom samobójczym? Gdybyśmy koniec tej księgi od w. 629 („Hrabia widząc...“) chcieli ilustrować żywemi obrazami, ilebyśmy tych obrazów utworzyli i jakby one wyglądały?

Które obrazy przyrody szczególnie nam się podobały w tej księdze? Czem kometa (w. 109 i nast.) przypomina istotę ludzką? Jakie głosy dadzą się wyróżnić w „koncercie wieczornym“? Czem dwa stawy (w. 587 i nast.) przypominają parę zakochanych? Dlaczego można było mniemać, że nad jednym ze stawów siedzi świtezianka?

Któremi z czterech spraw zajmowaliśmy się podczas czytania tej księgi? Do której jej części odnosi się tytuł „Zajazd“? A temu, co zajazd poprzedza, jaki dalibyśmy nagłówek? Co nas głównie zaciekawia po przeczytaniu tej księgi?

Po przeczytaniu księgi IX: Kiedy dowiadujemy się, kto uwięził śpiącą szlachtę? Kto przybył uwięzionym z niespodzianą pomocą? Czy wesołość księdza Robaka wydaje nam się naturalną? Jak doszło do walki szlachty z Moskalami? Które chwile z bitwy utkwiły nam szczególnie żywo w pamięci? Które pojedynki? Ile razy podczas bitwy groziło szlachcie niebezpieczeństwo? Co ją ocaliło?

Czy Gerwazy mógł być zadowolony z wyniku zajazdu? A ksiądz Robak? — Które z osób w tej księdze budzą w nas wesołość? (Czem?); która z osób wzbudza i odrazę i śmiech? (czem odrazę, czem śmiech?).

Które chwile obralibyśmy, gdybyśmy mieli na podstawie

„bitwy“ ułożyć obrazy z żywych osób? Co nas niepokoi po przeczytaniu tej księgi?

Po przeczytaniu księgi X: W jaki sposób ubezpieczono się przed następstwami wybicia całej roty Moskali? Co nas wzrusza w scenie pożegnania Tadeusza z Zosią, a co nas bawi w pożegnaniu Hrabiego z Telimeną? Dlaczego ksiądz Robak zapłakał, żegnając się z Tadeuszem? Czem różni się opowieść Jacka Soplicy o onych czasach, gdy bywał w domu Stolnika, i o powodach zabójstwa Horeszki od opowieści Gerwazego w księdze II-giej? Co z dalszych dziejów Jacka (po zabójstwie Stolnika) poznajemy dzięki jego spowiedzi? Od której chwili poczynamy Jacka cenić, nawet czcić? Czem Klucznik ułagodził zgryzoty sumienia umierającego? Jakiej wielkiej pociechy zaznał konający przed samą śmiercią?

W którym wierszu rozpoczyna się opis burzy? Co wprzód zapowiada ją na niebie, co na ziemi? Zwróćmy uwagę na oświetlenie ziemi tuż przed zerwaniem się wichrów; pomyślmy, czem chmura przypomina istotę ludzką. Dzięki czemu niemal słyszymy dziką muzykę wichrów? (zwróćmy uwagę na zbieg spółgłosek w w. 55, 56 i dalszych). — Odczytajmy raz jeszcze wiersze 459—472 i pomyślmy, z czego podobny był Klucznik do głazu, lecącego z góry i zatrzymanego w drodze, a z czego do rannego rysia?

Które z czterech spraw zbliżają się w tej księdze do szczęśliwego rozwiązania? Czy potrafimy powiedzieć, w jakiej chwili, czytając tę księgę, byliśmy najsilniej wzruszeni?

Po przeczytaniu księgi XI: Jakie to były wróżby wojenne na wiosnę roku 1812? Które wiersze mówią nam o spełnieniu się onych wróżb? Jacy goście przybyli do Soplicowa? O jakich czynach Jacka Soplicy dowiadujemy się z przemówienia Podkomorzego? Ilu obrazami ilustrowalibyśmy to, o czem czytamy od w. 396 do końca księgi i coby te obrazy przedstawiały? Co nas podczas czytania tej księgi zaskoczyło jako niespodzianka?

Jakich uczuć doznawali mieszkańcy Litwy na widok tego, co się działo na wiosnę roku 1812? Które wiersze świadczą o wielkiem wzruszeniu poety na wspomnienie owych chwil?

Przeczytajmy raz jeszcze opis wschodu słońca (w. 153—181) i pomyślmy, dlaczego, choć wschód ten oglądamy, nie potrafilibyśmy go namalować.

Które ze spraw, zajmujących nas od rozpoczęcia lektury

„Pana Tadeusza“, dobiegły w księdze tej do końca? Czy zakończyła się która z nich nieszczęśliwie?

Po przeczytaniu księgi XII: O jakich to „ostatnich egzemplarzach starodawnej Litwy“ czytamy w tej księdze? Dlaczego jenerał Dąbrowski wpół śmiał się a wpół był wzruszony? Dlaczego Podkomorzemu nie w smak poszła mowa Macieja Dobrzyńskiego? Co zaciera niemiłe wrażenie tej mowy? Czem śmieszy nas Rejent, czem Hrabia, czem Telimena? Co świadczy, że Tadeusz był nietylko żołnierzem, ale i Polakiem obywatelem? Kto i dlaczego nie mógł się pogodzić z zamiarami Tadeusza? Co skłoniło Jankiela do gry? Jak na obrazie wyglądałby koncert Jankiela (kogo umieścilibyśmy na przodzie, jakie osoby w głębi, jaka byłaby postawa grającego, jaki wyraz twarzy)? A jak wyglądałby na obrazie polonez (którą chwilę obralibyśmy, aby odtworzyć ów taniec)?

Jaki przedmiot zwraca szczególną uwagę na uczcie? Wyobraźmy sobie, że chcielibyśmy podobny opisanemu w tej księdze serwis sporządzić: jakich musielibyśmy w tym celu użyć materjałów, jak ułożyć poszczególne warstwy, jak ustawilibyśmy figurki w poszczególnych grupach? (Czy dziś wybory odbywają się w sposób podobny? Czy odbywały się w roku 1812 na Litwie?). — Co wyszczególniałoby się na obrazie zachodu słońca (w. 842 i nast.)? Czegoby obraz oddać nie zdołał?

Odczytajmy jeszcze raz koncert Jankiela (wiersz 669—761). W wierszach 669—679 Jankiel nie gra jeszcze żadnej melodji, stara się jedynie przygotować (nastroić odpowiednio) słuchaczy. W utworach muzycznych wstęp taki nazywa się preludjum. Właściwy koncert zaczyna się dopiero od słów „Razem ze strun wiela...“ (w. 679). Zastanówmy się nad częścią koncertu od w. 679—690 i pomyślmy, w których wierszach mówi poeta o muzyce, w których o tem, co Jankiel gra, a w których o tem, jak na obecnych muzyka Jankiela oddziaływa? Zatrzymajmy się kolejno przy częściach koncertu od w. 691—703, od 704—713, od 714—735, wreszcie od 736—745 i rozważmy, czy w każdej z tych części dadzą się odróżnić takie same trzy cząstki, jak w części pierwszej (679—690)? Jakie chwile z przeszłości dziejowej odtworzył mistrz w każdej z pięciu części swego koncertu? Czy w w. 746—761 koncert trwa jeszcze? Przedtem poznawaliśmy uczucia słuchaczy, jakich doznawali, wspominając ubiegłe chwile dziejowe; teraz zaś (w. 746 i nast.) czyje uczucia poznajemy? Czy uczucia te

budzą się także dzięki wspomnieniom tego, co było? — Która część koncertu wzruszyła nas najsilniej?

Która ze spraw zajmuje nas w tej księdze prawie wyłącznie? Dlaczego księga ta ma napis „Kochajmy się“?

W których latach wieku XIX dzieje się to, co nam przedstawia poeta w „Panu Tadeuszu“? Czy nie dowiedzieliśmy się, jak żyła, jak zabawiała się szlachta w czasach niepodległości Polski (z czyjego opowiadania?), jak w tych czasach zachowywała się, biorąc udział w życiu publicznem, w wyborach (dzięki jakiemu opisowi?) A dzięki czemu dowiadujemy się o losach, smutkach i radościach Polaków po utracie niepodległości, a przed rokiem 1812? Jakie zajęcia, zabawy i przyjemności życia wiejskiego poznaliśmy, czytając „Pana Tadeusza“? Czy zajmowały nas tylko one? Ilu sprawom poświęcaliśmy uwagę i którą z nich uznalibyśmy za najważniejszą? Kiedy o przebieg każdej z nich byliśmy najbardziej zaniepokojeni? Jak się każda z nich zakończyła? Która ze spraw tych trwożyła, która bawiła nas najwięcej? Ile razy, czytając „Pana Tadeusza“, słyszeliśmy o ludzie wiejskim lub oglądaliśmy go? Czy wśród szlachty w „Panu Tadeuszu“ nie rozróżnimy jakichś warstw? (pamiętajmy, że szlachcicem jest i Stolnik i Asesor i Gerwazy). Jakie zalety, jakie wady spostrzegliśmy u szlachty polskiej? Bez względu jednak na cnoty i przywary, spotykane u poszczególnych osób, co wszystkich Polaków w „Panu Tadeuszu“ jednoczy, jakie pragnienie, jakie umiłowanie? Którą z osób moglibyśmy sobie obrać za wzór do naśladowania? (dlaczego?). Spróbujmy opowiedzieć zwięźle dzieje Jacka Soplicy. Dla których osób, oprócz Jacka, czujemy szacunek (z jakiego powodu?); które lubimy, jakkolwiek aż szacunku w nas one nie budzą; które wydają się nam śmiesznemi? Które obrazy przyrody utkwiły nam szczególnie w pamięci? Czy potrafimy powiedzieć, dlaczego pokochaliśmy „Pana Tadeusza“?

W których poematach Mickiewicza jedna z głównych osób, nie bacząc na własne szczęście, poświęca się dla ojczyzny?

Po napisaniu „Pana Tadeusza“ przeżył Mickiewicz niejedną ciężką chwilę: żona jego — ożenił się bowiem poeta w Paryżu — zapadła poważnie na zdrowiu, w ślad

zaczem do domu wkradł się niedostatek; a jednak mimo to wszystkie swe siły wiernie i niestrudzenie poświęcał poeta pracy dla Polski. W wykładach publicznych w jednej ze szkół wyższych w stolicy Francji obznajamiał cudzoziemców z piśmiennictwem słowiańskiem i polskiem i ściągał tłumy słuchaczy. Kiedy w roku 1848 rozpoczęły się we Włoszech ruchy narodowe, mające na celu zjednoczenie ziem włoskich w jedno państwo, pośpieszył do Rzymu i począł krzątać się około stworzenia legjonu polskiego, z tą myślą, że legjon ów wkroczy do Austrji i rozpocznie wojnę o Polskę. Gdy między Rosją i Turcją wybuchła t. zw. wojna krymska (w r. 1855), wypracował pomysł uformówania legjonu polskiego na Wschodzie i podążył dla przeprowadzenia swego planu do Konstantynopola.

Niestety tu zaskoczyła go niespodzianie choroba. Przebieg jej był szybki i groźny, wszelki ratunek okazał się daremnym. Dnia 26 listopada 1855 r. zakończył Mickiewicz życie, przytomnie, przyjąwszy wprzód sakramenta święte. Ciało zabalsamowano i przewieziono do Paryża, ale pod koniec XIX wieku sprowadzono drogie zwłoki do Polski i pochowano w katedrze na Wawelu. Twórca „Pana Tadeusza“ spoczął wśród królów. Jak zasłużenie! W dobie utraty niepodległości, klęsk i prześladowań, ku Niemu zwracały się wszystkich oczy i serca, od Niego naród oczekiwał słowa otuchy i wskazań, co mu poczynać należy. Za wodza go swego uważał, za władcę. Poeta słów otuchy i pokrzepienia nie szczędził, wskazanie zaś jedno miał: wszystko dla ojczyzny! A wzór dawał ze siebie. Dla Polski znosił więzienie, tułaczkę, Polsce ofiarował całe swe życie i dla niej poniósł śmierć na dalekim Wschodzie. Dla Polski też, dla rodaków swych wyśpiewał przecudne swe poematy, a pomnijmy, że w latach niewoli, w dobie, w której wrogie rządy zaborcze kusiły niejednego przynętami łask, byle tylko zapart się swej polskości.

utwory Mickiewicza wskazywały każdemu jedyną drogę godną Polaka. One to sprawiły, że zdołaliśmy przetrwać chwile najcięższe, że czuliśmy się zawsze jednością, że granice, wytyczone przez zaborców, dzieliły tylko ziemie polskie, nie dusze.

Współcześnie z Mickiewiczem żył inny wielki poeta polski, młodszy od Adama,

Juljusz Słowacki

rodem z Krzemieńca, wychowanek — jak Mickiewicz — Uniwersytetu Wileńskiego, ale z tej doby, w której nad uczelnią wileńską zawisła już ciężka ręka Nowosilcowa. I on po upadku powstania osiadł w Paryżu, ale odbywał także dalekie podróże, do Włoch, Egiptu, do Ziemi świętej.

Ryc. 17. Juljusz Słowacki.

Na granicy Palestyny leży małe miasteczko, ongiś twierdza, El-Arish. Tam to, na piaszczystej dolinie, w pobliżu miasteczka, musiał poeta odbyć dłuższy postój, nakazany przez władze miejscowe z obawy przed zawleczeniem przez podróżnych zarazy. Lekarz, odwiedzający poetę, opowiedział mu dzieje pewnego nieszczęśliwego Araba, który również, na tych samych piaskach, odbywał kwarantannę i pogrzebał tam wszystkie swe dzieci i żonę. Straszne chwile, przeżywane przez owego Araba, przedstawił Słowacki w poemacie p. t. „Ojciec zadżumionych“. Opowieść włożył w usta nieszczęsnego ojca.

Ojciec zadżumionych.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty [1]),
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona, 5
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów [2])
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów [3]):
A w wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali. 10
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha — 15
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha [4]).
A ja samotny wracam! — O! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści!
Odkąd do mego płóciennego dworu [5])
W tej kwarantannie [6]) wszedł anioł pomoru. 20
O niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban [7]) do mojego domu. —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki? 25
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: Starcze, gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione 30
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha! —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać mię będą. — Cóż ja im odpowiem?
Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku. 35

---

[1]) To znaczy: upłynęły trzy miesiące. [2]) Dromader lub dromedar (wielbłąd jednogarbny). [3]) Ajer, roślina wodna. [4]) Szech (Szeych) kaznodzieja, kapłan, święty mahometański; kopułka-grobowiec. [5]) Namiotu. [6]) Kwarantanna, przetrzymanie przez 40 dni w odosobnieniu podróżnych, przybywających z miejsc, w których panuje zaraza. [7]) Pasmo gór w Syrji.

Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
40 Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła do braci.
45 Najstarszy z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
50 Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować!
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: Niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
55 Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Tej samej nocy Hafne i Amina
60 Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! tak cicho umierały obie,
Że, choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły!
65 I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie, sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
70 I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.
Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
75 Zawsze zachodzi za tą piasku górą,
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,

Że słońce słońcu nierówne złotemu
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora. 80
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci 85
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.
I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze 90
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!
O! Była to więc piekielna godzina, 95
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach! ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny.
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem!
On do tamtego stawał się podobny; 100
Stawał się jak mój trup pierworodzony:
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie.
Więc zawołałem głośno: Śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy, 105
Wyniosłem na step pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka
I żeby na to nie patrzyła — matka.
Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy. 110
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł lub się był nie rodził!
A tam nad palmy, z twarzą nielitosną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał. Tego z pamięci nie zatrzeć! 115
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,

120 Wyrwałem trupa i rzuciłem straży.
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy...
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
125 Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie —
130 Że się ten bałwan zarazy przewali...
Powrócił. — Anioł powrócił morderca!
Ale mię znalazł bez łez i bez serca.
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: Niech Bóg wszystko bierze!
135 Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia;
Boleść już była jako chleb powszedni,
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie,
140 I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził zato,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień:
Skonał i skostniał i stał się jak kamień.
145 A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
150 Z twarzą, co woła: Jesteście przeklęci!
Skonał. Myślałem wtenczas — o, rozpaczy!
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
155 Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę! —
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie zgryzła mnie żadna.
Ach! Ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
160 Do lilijowych brała chłodzić rączek;
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,

Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła; i te smutne oczy 165
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na róże, przeze łzy i słońce.
Ach! ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce, 170
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich 175
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić;
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści. 180
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie; 185
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna: schylały się nisko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską, 190
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąć, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu, 195
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć.
Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerzyć? 200
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila;

Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: Ratuj mię, ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci;
A piękna była, jak anioł, po śmierci.
  Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożnie zaczepili hakiem; —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bodajby jak ja nie umarli! —
Tu ją pod memi oczyma rozdarli! —
Ty im to, Boże niebieski spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.
  Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać;
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie!
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy,
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina;
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co groby wywraca,
Zarazą, która dzieci me wytraca

I bierze syny z łona rodzicielki. 245
O! Allach![1]) Akbar[2]) Allach! jesteś wielki!
Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły 250
I podarły się i, lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie. —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku, 255
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? 260
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna;
I spostrzegłem to — i było mi smutno.
Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury, 265
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę jak namiot gęste sieką deszcze, 270
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem, 275
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie? 280
I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle

---

[1]) Allach, nazwa Boga u muzułmanów. [2]) Akbar: wielki (wyraz arabski).

W kołysce zcicha zapłakało dziecko!
285 A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy;
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
290 I tak rozdarty i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli, gromem tknięci,
I bez nadziei już i bez pamięci!
295 I nie zawiodło przeczucie żałoby:
Umarło — z takiej, jak tamte, choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
300 I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy!
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!
Noc przyszła długa, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie; przed nami
305 Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
310 Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A to już — ani zarazy strażnicy
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama —
Ale je matka tam zaniosła sama.
315 W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? Zamiast nas połączyć,
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć;
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
320 Smutek podobny był do nienawiści
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
325 W pustym namiocie między mną i żoną,

Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa[1]) pożaru pochodnia.
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia. 330
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego lęku ni szelestu...
Doczekaliśmy tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze, 335
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski; 340
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy[2]) uderzyć, 345
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem — Ludzie! czy będziecie wierzyć!
Ja, co me wszystkie całowałem trupy —
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy, 350
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła
I zachwiała się z jękiem — i upadła
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i, rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię; 355
I obudziłem się — na dni czterdzieści.
Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach; 360
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy, 365

---

[1]) Jaskrawa, błyszcząca się. [2]) Stawy, złączenia kości.

Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek —
370 Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.
I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
375 Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali — starzy;
380 W pamięci mojej żadnej żywej twarzy.
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
385 Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
390 Po nocy hyjen przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami; i słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
395 Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach! Boska nademną opieka! —
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda!
I ach! nie była to już twarz człowieka,
400 Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.
I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście.
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
405 O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy

Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o Boże wiekuisty, świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi. 410
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy? 415
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu moim synem!
Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać. 420
Śmierć od zarazy — ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali — piersi gorą —
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające, 425
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych!
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga. 430

Odpowiedzmy na następujące pytania:

Po przeczytaniu w. 1—34. Jak wyglądałby żywy obraz, którym chcielibyśmy ilustrować wiersze 1—13? Jaką straszliwą myśl nasuwa nieszczęsnemu Arabowi wspomnienie minionych chwil szczęśliwych? Przed czem drży, myśląc o powrocie na Liban?

Po w. 58. Jakie obrazy zarysowują się przed nami kolejno, gdy czytamy wiersze 35—50? Czy Arab mówi o swym bolu, jakiego doznał po śmierci najstarszego syna? Pomyślmy, czy nie potrafimy wytłumaczyć sobie jego milczenia?

Po w. 94. W których słowach Arab wypowiada swój ból po śmierci Hafne i Aminy? Jaka myśl jest dla niego najstraszniejsza? Jak w oczach jego zmieniło się słońce, jak niebo? W czem w tych strasznych chwilach znalazł pokrzepienie?

Po w. 124. Jak ujawnił się ból Araba, gdy patrzył na konanie najmłodszego syna? Co z owych chwil utkwiło mu szczególnie w pamięci?

Po w. 150. Jakiem wydaje się Arabowi słońce po śmierci czwartego zkolei dziecka (najmłodszego syna)? Co świadczy, że cierpienia, których doznał, były ponad jego siły? Co go szczególnie dręczy, gdy przypomina sobie śmierć średniego syna?

Po w. 218. Dlaczego Arab nie śmiał nawet myśleć o córce? Za co tak bardzo ją kochał? W czem w dniach trwogi znajdował otuchę? Jaka straszliwa wróżba zapowiedziała mu śmierć tego najukochańszego dziecka? Czy przed ciosem nie błysnęła jeszcze nieszczęsnemu ojcu chwila wielkiego szczęścia? Jak sądzicie, dlaczego, mówiąc o śmierci Hatfe, zrazu jeden tylko okrzyk wydaje: Córka!! Jakiej okropnej męczarni doznał podczas konania Hatfe, jakiej po jej śmierci?

Czyja śmierć wzruszyła was dotychczas najsilniej? (czy potraficie powiedzieć, dlaczego?).

Po w. 262. Jak po śmierci Hatfe nazywa Arab równinę, na której przebywa? (dlaczego ją tak nazywa?). Jakie odgłosy wydaje dla niego morze? (czy inni słyszą takie same odgłosy?). Czy tylko poszumy fal morskich wydają mu się zmienione? Za co chwali Allacha? Czy w ten sposób chwali się Boga? (Jak nazywamy człowieka, który z takiemi słowami odważa się zwracać do Stwórcy?). Czy ta „modlitwa“ Araba nie jest dla nas wskazówką, czyją śmierć dotychczas odczuł najgłębiej? Po czem poznał swe straszliwe opuszczenie?

Po w. 314. Co jest zapowiedzią jakby nowego nieszczęścia? Które słowa świadczą o niesłychanem przerażeniu ojca? które o bolu po śmierci niemowlęcia? Czy ból ten był równie silny, jak po śmierci Hatfe? Z czego moglibyśmy wnosić, że Arab, choć woła „o! rozpaczy!“, nie cierpi już tak straszliwie, jak po skonie córki?

Po w. 372. W czem smutek obojga rodziców „podobny był do nienawiści“? Na jakie szczegóły, choć pogrążony w ogromnym bolu, zwrócił Arab uwagę? Jak cierpienie odbiło się na wyglądzie Araba i jego żony? Jak ujawnił się ból nieszczęśliwego po śmierci małżonki? Co wzrusza nas niezmiernie w przedśmiertnem „wyznaniu“ matki?

Po w. 402. Jak kolejno objawiał się ból Araba po stracie żony? Co wybawiło go ze stanu martwoty?

Po w. 430. Dlaczego uzyskaną wolność nazywa Arab „gorzką“, dlaczego ze zgrozą myśli o przygotowaniach do podróży powrotnej? Kiedy raz jeszcze ogromnie nas wzrusza? Jaka mu została pociecha?

Przypomnijmy sobie, jak ujawnił się ból Araba po śmierci

każdej z drogich osób? Kiedy cierpienie jego było największe? W czem ostatecznie znalazł pokrzepienie?

Poznaliśmy kilka trenów Kochanowskiego. Pomyślmy, na czem polega podobieństwo między „Trenami“ a „Ojcem zadżumionych“, przyczem weźmy pod uwagę: co obaj poeci opiewają, co czynią, gdy ból ich dosięga szczytu, w czem znachodzą ukojenie? Może potraficie odpowiedzieć, który poemat silniej was wzruszył (czy zdołacie także powiedzieć, dlaczego?).

Prócz „Ojca zadżumionych“ napisał Słowacki wiele innych przepięknych poematów, a wśród nich także niemało utworów dramatycznych t. j. przeznaczonych dla teatru. Ilekroć zaś tworzył jakiś poemat, zawsze donosił o tem matce, kochał ją bowiem niezmiernie i radował się myślą, że i ją także okryje własną sławą.

Ale nietylko dla zdobycia sławy pisał Słowacki. Poezją swą chciał on służyć swemu narodowi, chciał siły jego krzepić; zaklinał:

„... niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A kiedy trzeba, na śmierć idą pokolei...“

Gdy nadszedł rok 1848, Słowacki, jak Mickiewicz, uwierzył, że i dla Polski wybiła godzina odzyskania wolności. Przemawiał na zgromadzeniach, nawoływał do tworzenia legjonów, podążył nawet w Poznańskie, aby tam działać. Rozwiały się jednak wówczas nadzieje. Gorzki ten zawód przygnębił poetę, zdrowie jego, zawsze wątłe, poczęło się psuć nagle. W kwietniu roku 1849 omdlał. Wiedział, że ledwo chwile życia mu pozostały, ale z budującym spokojem wybierał się w drogę niepowrotną. Na łożu śmiertelnem otrzymał serdeczny list matczyny. „Jaki Bóg dobry — wyszeptał — że mi przed zgonem daje tu jeszcze tę wielką pociechę: pożegnanie i błogosławieństwo matki“.

Zwłoki poety spoczęły na cmentarzu w Paryżu i spoczywają tam do dzisiaj. Przed grobowcem można widzieć

codzień świeże, wonne kwiaty. To Polacy, zamieszkali w stolicy Francji, czy przejezdni, zdobią mogiłę ukochanego przez naród poety.

O lat dziesięć przeżył Słowackiego przyjaciel jego serdeczny

Zygmunt Krasiński,

również znakomity poeta i również jeden z tych, dla których największą miłością na ziemi była Polska. Ale rozmyślał Krasiński nietylko nad przyszłością własnej ojczyzny, starał się on przeniknąć także przyszłe losy społeczeństw europejskich, całej ludzkości. I istotnie zdołał przewidzieć przyszłość, to, co dzieje się za naszych czasów na Wschodzie, przepowiedział rewolucję ze wszystkiemi jej okrucieństwami i triumf rewolucjonistów. Obrazy tego zamętu srogiego, rozpasania się wszystkich instynktów złych roztoczył w poemacie p. t. „Nieboska komedja“.

Ryc. 18. Zygmunt Krasiński.

A jakiż koniec poematu? Oto wódz rewolucjonistów, Pankracy, zdobywa ostatnie okopy, a nad wziętymi w niewolę ma się wnet odbyć krwawy sąd... Ale w tej chwili właśnie zwycięzca doznaje jakby trwogi. Spogląda na spustoszone obszary, na straszliwe żniwo śmierci i budzi się w nim lęk. Czy potrafi on dokazać, „by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży“? Wszak ślisko wszędzie od krwi ludz-

kiej... I gdy tak zagłębia się w myślach, blednieje... Ujrzał wysoko na niebie jakieś straszliwe widzenie, a wpatrując się w nie, szepce struchlały: „Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień... Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami — oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel. Ze splecistych piorunów korona cierniowa... Od błyskawicy tego wzroku chyba umrze, kto żyw". A gdy towarzysz Pankracego, Leonard, przerażony woła: „Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?", Pankracy odpowiada błaganiem: Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch" i pada martwy z okrzykiem „Galilee vicisti!" (Chrystusie zwyciężyłeś!).

Jak to, więc to Chrystus zwyciężył? nie Pankracy, nie wódz rewolucji, nie zdobywca okopów? Tak, Pankracy nie zwyciężył. Nie zwyciężył, bo umiał on tylko nienawidzieć i niszczyć, a gdy pomyślał o tem, że po przejściu burzy rewolucyjnej trzeba rozpocząć pracę twórczą, uczuł, że brak mu sił. Czyż potrafi on kierować tym tłumem, gdy przyjdzie mu prowadzić go już nie na rzeź, lecz na posterunki pracy? Czy dusza tego tłumu, znieprawiona rozlewem krwi, rabunkiem, rozpustą, znajdzie w sobie dość mocy, aby zerwać z rozpasaniem, a jąć się pracy twórczej? Czy może wydać owoc błogosławiony dzieło poczęte z nienawiści i zemsty; dzieło, które jest zaprzeczeniem idei Chrystusowej, religji miłości? Odpowiedź jasna: nienawiść i zemsta nie tworzą nic dodatniego, nie przebudują społeczeństwa, bo budować może tylko miłość. Rewolucja może zburzyć istniejący porządek, ale nie potrafi odrodzić społeczeństwa. Na drogę odrodzenia powiedzie je ten, kto rozpocznie pracę zgodną z myślą Bożą, z przykazaniem Chrystusowem o miłości.

W czasach, w których żyli i tworzyli Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, więc w pierwszej połowie XIX wieku, nie brakło w Polsce i innych poetów, a wśród nich także niepospolitych. Wszyscy gorąco kochali swą ojczyznę, a wielu z nich brało czynny udział w walce o wolność w roku 1830 i 1831. Do grona tego należał także

Wincenty Pol,

wychowanek Uniwersytetu Lwowskiego. Wybuch powstania zaskoczył go w Wilnie, dokąd Pol podążył celem objęcia zajęć nauczycielskich na tamtejszej wszechnicy. Miłość ojczyzny wskazała mu wówczas, co ma czynić: wraz z uczniami swymi znalazł się Pol z bronią u boku w lasach wileńskich w oddziałach powstańców. Walczył do lipca 1831 r. t. j. aż do chwili, w której resztki sił powstańczych przekroczyły granicę. Za dzielność otrzymał krzyż „Virtuti militari".

Ryc. 19. Wincenty Pol.

Po upadku walki o niepodległość krążyły z ust do ust opowieści to o poszczególnych bitwach, to o męstwie naszych oddziałów, to o porażkach i klęskach. Jedne z onych opowieści budziły, mimo przegraną, otuchę, inne wyciskały łzy z oczu. Pol słuchał tych opowiadań, ale odbywszy kampanję powstańczą, niejedno do nich sam także potrafił przydać z przeżyć własnych. Tak zarówno na podstawie tego, co zasłyszał, jak i z osobistych wspomnień, stworzył szereg pieśni. Wydał je w roku 1835 p. t. „Pieśni Janusza".

Z Pieśni Janusza.

Krakusy.

Grzmią pod Stoczkiem [1]) armaty,
Błyszczą białe rabaty [2])
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala sam jedzie.

„Hej za lance chłopacy!
Czego będziem tu stali?
Tam się biją rodacy,
A myż będziem słuchali?

Chodźwa trzepać Moskala,
Bo dziś Polska powstała!
Niech nam Polski nie kala —
Hej zabierzwa mu działa!“

I zerwali się razem,
Posterunek rzucili,
Nie wołani rozkazem
Na batalję przybyli.

„Cóż tu słychać, ułanie?“ —
Pyta jeden z nich żwawo.
„Kropią naszych, Mospanie.
Słońce zeszło dziś krwawo!“

„Ejże? kropią, mówicie?!
Jakże kropić nie mają,
Kiedy wy tu stoicie,
A wej [3]) oni strzelają?!

Wszak to działa nie dziwo?
Wszak to blisko, wiarusy?
Hej na działa — a żywo!
Dalej naprzód, Krakusy!“ —

I krzyknęli wraz „hurra!!“
Właśnie gdy wróg nacierał;
„Co tam leci za chmura?
Pyta sztabu jenerał.

„Jenerale! Krakusy
Znać swą pocztę [4]) rzucili“. —
„Oszaleli wiarusy,
Bez rozkazu ruszyli!

A to czyste warjaty,
Patrz, jak lecą po roli!
Patrz, jak wiercą granaty!
Nie daruję swawoli!“

Lecz gdy wódz się tak gniewa'
Groźnie patrzy dokoła,
Ktoś od walki przybywa
I zdaleka już wola:

— „Jenerale! to chwaty!
Od lewego tam skrzydła
Wiodą cztery armaty,
I Moskali jak bydła!“ —

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta,
A Dwernicki spiął konia
I okrzykiem ich wita:

„Dzielnieście się spisali!
Zawsze Polak tak bije!“
A Krakusy wołali:
„Nasza Polska niech żyje!!!“

---

[1]) W lutym 1831 r. jenerał Józef Dwernicki, dowodząc 12 szwadronami Krakusów, pobił jenerała rosyjskiego Geismara, który stał na czele dwu wyborowych pułków dragońskich, 2 pułków strzelców konnych, 10 sotni kozaków, a dział trzykroć razy miał więcej niż powstańcy. Z dział, z wyjątkiem jednego, stracił Geismar wszystkie. [2]) Rabaty, wyłogi na mundurach (z franc.). [3]) A wej, a dyć, (gwarowe), wszakże. [4]) Posterunek, miejsce wyznaczone.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani,
Świat tumany ciemią:
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.

5 Białe na nich wyłogi:
„Dyć to pułk nam znany!
A gdzież Jonek z Ozogi?
Gdzie nasz brat kochany?

„Wsyscy święci Janieli!
10 Cały pułk juz minoł!
Gdzieście brata podzieli?
„Zginął! — rzekli — zginął!“

A w tem znowu ktoś jedzie:
Dwów ułanów czesze;
15 Jeden konie z nich wiedzie,
Drugi ognia krzesze.

Koń się szarpnął przed górką,
Zarżał, urwał wodze,
I poleciał po drodze,
20 Co wyskok, w podwórko.

„O, dla Boga! dla Boga! —
Skąd-ze go tu macie?
Wszak to konik z Ozoga,
Konik po mym bracie!

Oj sierotą juz chata, 25
Kiedy on zabity.
Gdzieześ podział mi brata,
Koniu jabłkowity?

A obadwa ułani
W podwórko przybyli 30
I obadwa stroskani
Na dziewkę patrzyli:

„Zatrzymajcie go sobie!
Nikt go wam nie bierze.
Oj, wasz Janek już w grobie! 35
Tu jego szkaplerze.

Jam je zabrał w szczerości,
Bo legł od Moskala,
A te nasze świętości
Niech Moskal nie kala! 40

Możeć moje szkaplerze
Da tam kto ojcowi. —
No, bywajcie nam zdrowi!
Niech was Bóg tu strzeże!“

(Uprzytomnijmy sobie, kto w „Krakusach“ mówi słowa, zawarte w wierszach 5—12? A kto wypowiada to, co zawierają wiersze 17 i 21—28? A to, co mieści wiersz 33 i 34? Którą chwilę obralibyście, chcąc na podstawie pieśni „Krakusy“ ułożyć żywy obraz? — Łatwo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pieśń pierwszą czytamy z uniesieniem radosnem, drugą zaś pełni smutku. Pomyślmy jednak, czy „Powrót konia“ tylko smutek i przygnębienie w nas budzi? (czem nas ujmują ułani? Czy pogodzili się oni już ze zwycięzcą, czy myślą o złożeniu broni? — Czy zwrotka pierwsza jednej i drugiej pieśni nie zapowiada nam w jakiś sposób, że innych uczuć doznamy podczas czytania „Krakusów“ i „Powrotu konia“?).

Po upadku powstania, otrzymawszy pozwolenie na powrót do kraju, osiadł Pol na roli, gospodarzył skrzętnie, ale podróżował również niemało i zwiedził ziemię polską wzdłuż i wszerz. Zachwycał się jej pięknościami i wyśpiewał je w „Pieśni o ziemi naszej“. Szczególnie oczarowały go Tatry. Wydało mu się, że podobne są do jakichś olbrzymich fal rozszalałego potopu ściętych nagle — pod podmuchem mroźnych wichrów — w lodowe bryły.

Z Pieśni o ziemi naszej.

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup, zuchwale.
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a Łomnica
Świeci polskiej ziemi dodnia!
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica...
Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,
Z nóg tam garnie — deszcz, co pada,
To już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej, wyżej jeszcze
Pływa sobie orlę wieszcze.
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błyśnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

A życie w górach także zupełnie inne, niż w równinach:

Na świętego, na Wojciecha[1]),
U nas w polu już pociecha.

---

[1]) 23 kwietnia.

Ale w górach ledwo taje,
I zalewo jar[1]) nastaje;
A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy:
Stary baca[2]) rej im wodzi,
Pies liptowski[3]) strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.
W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szałase, do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce sercem mierzy
I w swobodę człowiek wierzy...

Więc przejęty głęboko tem wszystkiem, co widzi, zwraca się poeta do młodzieży jakby z wezwaniem:

O! te skarby, te obrazy
I natury i swobody
Chwytaj pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwycone pozostaną...
Nie wyrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą;
A z powrotem puść się wodą,
Na Dunajcu przez Pieniny,
W równie, w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywot złożyć
W dobrej sprawie, z przekonania!

(Czy nie radzibyśmy zrobić wycieczki w Tatry? Czem obudził w nas poeta chęć taką? Co szczególnie chcielibyśmy ujrzeć? — Co należy rozumieć w w. 14 przez „dobrą sprawę“?).

(Którzy z poetów, poznanych w tym roku, opisywali przyrodę polską? Które obrazy ziemi ojczystej tkwią nam szczególnie żywo w pamięci?).

---

[1]) Wiosna. [2]) Pasterz stary, dozorujący juhasów, t. j. pasterzy owiec w Tatrach. [3]) Nazwa od miasta słowackiego Liptov.

Wśród pokolenia pisarzy wyróżniał się w tej dobie niezmożonością, energją niebywałą, zapałem niestygnącym

Józef Ignacy Kraszewski

urodzony w pamiętnym roku wojny, 1812-tym, wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego. Pozostawił po sobie setki tomów, głównie powieści, ale także niemało rozpraw naukowych. Pisał bo niestrudzenie, czy to gospodarując na wsi, czy pełniąc obowiązki kuratora szkół na Wołyniu, czy przebywając w Warszawie. A tworzył nie dla przyjemności, pióro uważał za broń. „Bojować trzeba orężem, jaki Bóg dał w dłonie... Pismo było i będzie dla mnie orężem, gdy znajdę lepszy, rzucę ten i wezmę inny“ — oto jego własne wyznanie. Wygnany przez rząd rosyjski w r. 1862 z kraju za pracę narodową, nie opuścił Kraszewski rąk. Słał do Królestwa pieniądze na podtrzymywanie ruchu zbrojnego, opiekował się uchodźcami, dostarczał dziennikom zagranicznym niesfałszowanych wieści z pola walki. Po klęsce przez długie jeszcze lata on był moralnym przewodnikiem społeczeństwa, od niego czekały słowa wszystkie dzielnice Polski. Umarł w Genewie w r. 1887.

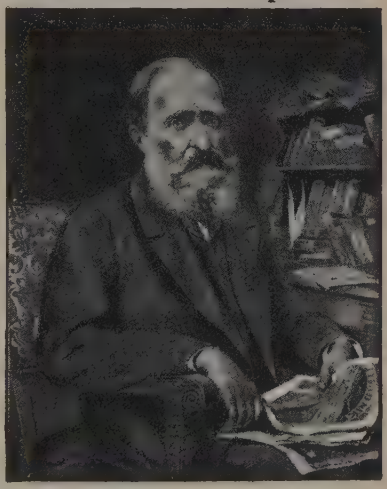

Ryc. 20. Józef Ignacy Kraszewski.

Wśród powieści Kraszewskiego są i takie, w których znajdujemy obrazy obyczajów rozmaitych warstw społecznych, i dotykające bolesnych stosunków polsko rosyjskich (pisane po r. 1863) i odtwarzające dawne dzieje, czyli po-

wieści historyczne. Z ostatniej grupy do najpiękniejszych należy *Stara baśń.*

Po zaznajomieniu się z tą powieścią odpowiedzmy na następujące pytania:

Między kim i o co toczy się walka w *Starej baśni?* Jaki jest jej wynik? — Wymieńmy główne osoby, występujące w powieści. Które z nich skupiają się około grodu kneziowskiego, które około zagrody Wisza, Piastuna, dworu Miłosza? Które z tych osób podobały nam się (z czego?), które nas od siebie odpychają (czem?). Które postaci budzą nasze współczucie? (czem?). Które sceny w powieści przejmują nas grozą? — Jakie są zalety, jakie wady Polan, jakie Niemców? — Z jakiemi obrzędami zaznajomiliśmy się, czytając *Starą baśń?* — Spróbujmy odnaleźć myśl przewodnią powieści. W tym celu przypomnijmy sobie: co nas niepokoi, gdy przypatrujemy się wiecom Polan, co jest właściwym powodem tego, że ziemie ich ciągle są niepokojone i że doznają oni ustawicznych klęsk, wreszcie: kiedy Polska nękana i bita długo, zaczyna zwyciężać i dzięki czemu?

Poeci nasi czynni w pierwszej połowie wieku XIX, i ci, których utwory pomieszczono w tej książce, i inni, których utworów tu nie podano, spełnili wiernie swój obowiązek wobec narodu. Budzili ducha, nie dozwalali zapomnieć o przeszłości, krzewili wiarę w przyszłość. Żyli nadzieją, że Polska rychlej czy później zrzuci jarzmo niewoli, i wiarę tę w ogół wpajali. Niektórzy byli nawet głęboko przekonani, że śmierć Polski, jak śmierć Chrystusa na krzyżu, była potrzebna, aby zbawić całą ludzkość, i wieszczyli, że jak Chrystus zmartwychwstał, tak zmartwychwstanie także Polska. Dlatego poetów tych nazwano wieszczami narodowymi.

W drugiej połowie stulecia XIX.

Nowe pokolenie. Rok 1863. Mijały lata. Pokolenie współczesne Mickiewiczowi, to, które walczyło o wolność w roku 1830 i 1831, zstąpiło do grobu. Zjawiło się poko-

lenie nowe. Ale że wychowało się ono na poezji Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, na „Pieśniach Janusza“, pozostało wierne tym przykazaniom, które mu zostawili przodownicy narodu i bohaterscy współuczestnicy walki orężnej. Pomne ono było zawsze zaklęć Słowackiego „niech żywi nie tracą nadziei... a kiedy trzeba na śmierć idą...“. Więc najlepsi z tego pokolenia poszli znów w bój, w roku 1863, i pokryli swemi ciałami ziemię polską. Nie zdołali jednak wywalczyć Polsce niepodległości, wróg był jeszcze zbyt potężny. A nad pokonanymi począł się on znęcać — zapełniły się więzienia, zaludnił się Sybir młodzieżą polską.

Hasło pracy. Chwilowo przygnębienie ogarnęło nawet najufniejszych. Ale wnet otrząśnięto się z bezwładu, ze zwątpień, i powiedziano sobie twardo: choćby się piekła na nas sprzysięgły, duszy polskiej wydrzeć sobie nie damy. Nie garstka nas, ale miljony. Można naród pokonać w bitwie, ale zabić go trudno. Naród nie zginie, jeśli tylko sam zginąć nie chce. Ma on broń nad wszystko skuteczniejszą: pracę i miłość braterską. Praca wzmocni jego siły, wyrobi w nim hart niezłomny, wolę, a jedność poprowadzi kiedyś wszystkich do wspólnego celu. Ażeby jednak wszyscy poczuli się jedną, nierozerwalną całością, do tego potrzeba wprzód, aby każdemu Polakowi z urodzenia Polska stała się skarbem najdroższym. Trzeba zatem oświaty: każdy musi zrozumieć, że szczęście znajdzie tylko w ojczyźnie i że niema większego nieszczęścia nad służenie obcym.

Rola pisarzy. Zabrano się też rzeczywiście po roku 1863 do pracy gorliwie, a niemniej gorliwie do szerzenia oświaty mimo ciągłe przeszkody ze strony zaborców, w szczególności w zaborze rosyjskim i pruskim. Tym wysiłkom zbiorowym dzielnie pomagali pisarze nasi przez słowa zachęty do czynu, a wśród nich poeci, ci, którzy poczęli ogłaszać swe utwory po roku 1863.

W gronie ich jedno z najprzedniejszych miejsc zajmuje znana dziś w Polsce każdemu dziecku z przepięknej „Roty“

Marja Konopnicka

ukochana przez ogół właśnie za hasło rzucone w „Rocie“: „twierdzą nam będzie każdy próg“. Ale nietylko z naporem pruskim na odwieczne siedziby nasze walczyła poetka; ujmowała się ona za każdym pokrzywdzonym i nieszczęśliwym, a gorąco ukochała lud wiejski i wraz z innymi nawoływała, aby zająć się nim, żeby nieść mu oświatę.

Ryc. 21. Marja Konopnicka.

Umarła Konopnicka w r. 1910. Spoczywa na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.

Z utworów jej poetyckich i z krótkich opowiadań pisanych prozą (nowel) poznamy kilka.

Poszłabym ja na kraj świata...

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach bielą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,
Tylko mi cię żal!

. . . . . .

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do dunaju[1]), do swobody,
Do szumiących fal... 15
Tylko mi cię żal,
Ty chato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy — 20
Tylko mi cię żal!

. . . . . .

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie,
W bezmiesięcznej nocy cienie, 25
W niepowrotną dal...
Tylko mi cię żal,
Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę, 30
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach, 5
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż, 10
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

---

[1]) Dunaj oznacza tu wielką rzekę.

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
15 I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
20 Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!

(Dlaczego poetka, choć pragnęłaby, nie pójdzie „w świat daleki"! Za co kocha i każe kochać „rodzinny dom"? Czy potrafimy odpowiedzieć na pytanie, co łączy oba powyższe utwory?).

Obielił nam...

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty,
Widniej, widniej teraz ludziom,
5 Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzec na siłę, co nam miłe,
Na ten roczek nowy!

10 Do roboty — lepić ściany,
Gdzie się która pada.
Boć ta chata stoi lata,
Jeszcze od pradziada!

Do roboty — bić wyloty
Na słoneczną stronę,
15 Niech uderzy dzionek świeży
W te ściany omszone.

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
Co nam rani nogi! 20

Do roboty — walić w młoty
O kowadło życia!
W huku, w trzasku, w iskier blasku
Krzesać serca bicia!

Do roboty — trząść wymłoty, 25
Co plewa, co ziarno,
Mleć na chleby, z własnej gleby,
Mąkę choćby czarną!

Do roboty — na kłopoty
Mieć pociechę w sobie; 30
Zdarzy dola, co jej wola.
Ja — com winien — robię!

(Do czego zachęca poetka w powyższym wierszu? Czy istotnie chodzi jej o grodzenie płotów, okopywanie rowów i t. d., czy też naprawdę ma co innego na myśli? Cóżby mogła ozna-

czać chata, stojąca „jeszcze od pradziada“, co „wyrywanie chwastów“, „bicie w młoty“?..).

Lipy kwitną.

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ula,
Na pracę, na ruch!
A dalej tam z ula,
Na pole, na znój,
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Ta stara pasieka
Na plon czeka nasz,
My lecim od wieka
Z łąk kwietnych i pasz.
My lecim od wieka
I trud niesiem swój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I brzęczy i radzi
Złocisty nasz wiec
Jak bożej czeladzi
Prącować, jak lec,
Jak bożej czeladzi
W ten bratni iść strój... [1])
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Nas budzi świt mglisty,
A spędza nas noc,
Gdy z lipy ojczystej
Żar bierzem i moc,
Moc życia, żar czynu
Na mir [2]) i na bój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!...

(Do czego nawołują pszczoły? Któż to są naprawdę owe pszczoły? Co należy rozumieć przez „lipę ojczystą“? — Co wiąże z sobą dwa ostatnie utwory? Czyż nie dopatrzymy się związku między myślą przewodnią tych utworów a nawoływaniami pokolenia, do którego należała Konopnicka?).

A czy też urok jaki...

A czy też urok jaki?
Czy mi tak na śnie stanie [3]),
Że mnie ktoś nocką woła:
— „A wstawajże hułanie!“...
Miesięcznaż bo noc!...

Ja konia duchem z łąki...
Stronami ognie świecą...
A za mną czarne wronki
Od boru, kracząc, lecą...
Miesięcznaż bo noc!...

Trąbkę gdzieś słychać wdali...
Psy we wsi czegoś wyją...
A we mnie serce wali,
I wdziewam ferezyją... [4])
Miesięcznaż bo noc!...

A tu ci jak gromada
I tatuś przede progiem...
Ja czapkę ciskam wgórę:
— Ostańcież z Panem Bogiem!...
Miesięcznaż bo noc!...

---

[1]) Zespół. [2]) Mir = spokój, zgoda. [3]) T. j. czy mi się tak we śnie zdaje. [4]) Ferezja, suknia zwierzchnia nieprzepasana.

Z pod lasu tuman wstaje...
Rży siwy, coś się lęka...
— A cóż ja temu winien,
Że mi się śni wojenka?...
Miesięcznaż bo noc!...

(Komuż śni się wojenka? Do jakiej warstwy ludności należy ów „hułan“, o którym mówi pieśń powyższa? Czy w walkach o wolność w r. 1830 i 1863 mnogo było powstańców-chłopów? O jakich marzeniach poetki świadczy jej pieśń? Czy spełniły się te marzenia za życia Konopnickiej? a po jej śmierci?

Jakie uczucia wyraziła Konopnicka w pomieszczonych w tej książce utworach poetyckich, co ukochała, do czego nawoływała, o czem marzyła? Który z tych utworów najwięcej nam się podobał? Może potrafimy powiedzieć, dlaczego?).

Matka i syn.

Ile razy spojrzała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił sinym słupem dym. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrzał w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym blasku na opalowem tle nieba, mieniącem się barwami jutrzni, dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni[1]) przy palenisku stoi, ognie zanieca, miarkuje[2]), rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerce[3])

[1]) Kotłownia, budynek na kocieł fabryczny. [2]) Stosownie ogranicza. [3]) Furażerka, czapka obozowa, strój żołnierzy wysyłanych celem zaopatrzenia obozu w paszę.

na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy, uśmiechając się — Marcyś „fasuje“.

Istotnie „fasował“. Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bielały, rzadły, stawały się lżejsze, aż wskróś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze... — szeptała — wszystko dobrze. Bogu największemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmiecie starą brzozową miotłą i rozpalając na kominku drewka do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaniałą kitą dymu wznosiło się w błękity cienkie, sinawe pasemko z ponad dachu facjatki [1]), gdzie mieszkała wdowa; pasemko tak wątłe i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je wydobyły z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nietylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam u komina stara jego matka w bieluchnym czepcu na głowie, w tołubku, przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjałów.

---

[1]) Facjatka, wystająca izdebka na poddaszu.

Z podwójnym tedy zapałem dorzucał na palenisko świeżą szuflę węgla, i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu zwinny i giętki za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw siebie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak jak huragan do izdebki wpadał.

— Mamo jeść! — wołał już od progu, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z kosem, wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go wyuczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetę, w niebieskie jelenie wyrabianą, i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie, ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał:

— Dobry chleb, mamo!

— Dobry, synku — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikała i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamo — mówił tedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiótł, co miał przed sobą, i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

— A możebyś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś niebardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnem kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je...

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi...

Chłopak tedy znów zabierał się do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, synku — odpowiadała, mrugając oczami — tylko, że mi do niego bobkowego liścia przybrakło...

Zdarzało się, że nie dojadał.

Zlewała tedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, aby syn nie spostrzegł tego.

Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, gryząc ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć musiał. Zaledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwytał furażerkę, a gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stawała tedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w ręku i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła, kręcąc głową — i z leceniem takiem! Nogi jeszcze połamie... schody porozbija...

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a si dłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz, to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki.

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak lekkuchna zasłona w powietrzu wisiał, siejąc przez siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po skrajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce złotem się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postaci cudne wydłużał, w jakieś mary nieziemskie, w jakieś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadżdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał i płatami po dachach się wieszał i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych migotliwie okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądłami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego

granatu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego wskróś nieba szły i het, precz odbijały wielkie, ciche zorze... Patrzyła na nie wdowa w zadumaniu. Z zadumy jej wyrywało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącem z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn i od progu już znowu wołał: — Mamo jeść!

A zarazem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwilę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w tej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, głaszcząc go po głowie. — A to jutro dodnia ci znów trzeba...

— Pójdę mamo... — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię, mamo.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i, schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem Ojcze nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnem ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i, zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słychać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczernia-

łem, ze złocistego tła wychylającem się obliczem Panny Najświętszej... (Dym).

(Z czego nam się podoba Marcyś? Którą zwrotkę wiersza „Obielił nam nasze chaty“ mógłby on śmiało powtórzyć, odnosząc ją do siebie? Kto nas zajmuje więcej, Marcyś czy jego matka? Co cenimy w matce Marcysia? — Jak wyglądałyby obrazy, któreby przedstawiały unoszenie się dymu z komina fabrycznego? Jak myślicie, dlaczego Konopnicka tak wiele miejsca w swem opowiadaniu poświęca tym obrazom?).

Głupi Franek.

Niski brzeg Narwi[1]) kipiał ptasią wrzawą.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode kwietniowe słońce jeszcze się nie wzniosło nad ziemię i, zapłomieniwszy tylko rąbek widnokręgu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche. Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskróś światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymiły tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, dyszały tchem ciepłym jeziorka

Z oczeretów[2]) i sitlisk[3]) biła roznośna, głusząca wrzawa ptasia.

W tej chwili właśnie z jednej z kęp porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia[4]) zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosem okryta, mało co różniąca się barwą od pożółkłych zeszłorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chu-

---

[1]) Narew, dopływ Wisły. [2]) Oczeret, trzcina. [3]) Sitlisko, miejsce porosłe sitami (sit: roślina pospolita na miejscach wilgotnych). [4]) Rodzaj roślin podobnych do situ.

dej szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej grzywy, posiadała dwoje siwych oczu, twarz chudą, śniadawą i szerokie ciemne wargi, które dziwaczny, pełen żałości i zakłopotania uśmiech szerszemi czynił jeszcze.

Oczy w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzciną tkwiła tak nieruchomie, że kaczki, lot nagle zniżywszy, biły w nią, niemal nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżej nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigały w powietrzu śniade brzegówki [1]). I one zlękły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka [2]), bujająca się na okiści rudego szuwaru, świergotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc to jednem to drugiem oczkiem na niebotyczne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet rozumieć, co ten świergot znaczył.

...Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

...To jest głowa głupiego Franka... Tak, to jest głowa głupiego Franka... Nic więcej... Czego się bać? Czego się bać?

Nagle urwała pokrzywka swój świergot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrzu wzbitego jastrzębia, który wisząc nieruchomo na rozciągłych lotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świergotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała calutką historję o tym głupim Franku. Byłaby powiedziała, jak to on nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeżna; jak ledwo z chłopięcia wyrósłszy, zaraz głupim „był“ i tak się już został; do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i podrywki [3]) latem żył, zimą z miłosierdzia ludzkiego.

---

[1]) Brzegówka, jaskółka gnieżdżąca się na brzegach rzek. [2]) Gatunek pliszki. [3]) Mała sieć na długim kiju, do podrywania w górę.

Ona i to powiedziałaby może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prósząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynej piersi. Ot zwyczajnie taki głupi, głupi Franek...

Tymczasem w wodzie i w powietrzu bywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniło się, jakby rozsnutą w tysiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oślepiającem uderzeniem światła; tylko usta sterczącej w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie a głowa, zakołysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwie, zniknęła nagle z pośród mieniących się, nawskróś srebrem zroszonych kiści mietlic i trzciny, której brunatne pałki zapłomieniły się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitliska, otrząsnął się, wyprostował i wziąwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany. Szmat starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniałą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i takież hajdawery, ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką[1]) w pasie, a u kostek sznurkiem związane postoły z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

Jak dawno już żył, nie wiedzieć, sam sobie lat wyrachować nie umiał.

Lubili Franka ludzie, choć nieraz i mrukliwy był

---

[1]) Mieszek rzemienny na pasie.

i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to prawił, jakby z kart czytał. Na ludzi wtedy nie patrzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawił; tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz się zbierał, torbę przez plecy zawieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że „do matki“ idzie. „Od matki“ wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły. Mówią mu ludzie:

— Nie tęgo cię matka wyprawiła w świat...

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. *Tera* tyle rybek pożywić; *tera* tyle trawy nieść... *tera* tyli ziemi szmat obejść... Oj, nie *letki* jej żywot, nie *letki!* A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnem wrzecionie przędząc...

— Oj głupi, głupi Franek! — mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy, baby, nie ja, kiej nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma...

— Oo! — obruszyła się któraś. — Dzieciakowi ta gadać, żeby rzeka przędła.

Na to Franek wpadł w złość.

— Żebym tak dobrego konania nie miał, jeśli łżę! Cóżem to ślepy, czy co? nie widziałem to mało sto razy, albo więcej, jak na srebrnym wrzecionie modre nici przędzie? „Głupi Franek“. Widzita, jakie mądre! Mądremi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku albo i po miesiącu migoce... A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne?

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda.

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział.

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im obraz tej cichej niestrudzonej prządki, która strugi sine na przęślicę wije i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jej się wrzeciono jasnem srebrem miga.

Inszym znów razem zapadał w bory jak jaźwiec[1]), brodząc tam po nich, aż do twardej grudy.

Wiosną znów, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca, zapachniała w powietrzu świeżo pługiem poruszona ziemia, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po koleśnych[2]) drogach, Franek rady sobie dać nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał — za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi.

Napierał się nieraz chłopom do pługa, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. „Głupi“ się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać, ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która pozwoliła mu w ogrodzie motyką podzióbać, to jej tak dziękował, że jej kolana obejmował, jakby mu kto miskę z najlepszem jadłem postawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał...

Nie ma sobie Franek za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto woła. Idzie między nich oto i teraz z wesołem okiem, z tęsknotą jakąś, z przyjacielstwem w duszy. Owszem, śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli.

Naraz spochmurniał. Z pośród lekkich, wieszających się brzegiem rzeki oparów zaczęły się wysuwać obielane, długim sznurem wyciągnięte domki, których nie-

---

[1]) Borsuk. [2]) Przeznaczonych dla wozów.

zwykła schludność jakoteż i sposób budowania, wskazywały kolonję.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry Gaje.

Franek nienawidził kolonji. Skręcił tedy wbok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce. Ale „głupi“ nie dbał o to, wielkiemi krokami prąc się naprzód, póki osady budowanej długim sznurem nie wyminął i nie zostawił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną piersią tchnął, pojaśniał na twarzy i wesołem spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz też ku rzece skręciwszy, w miałki bród jej wstąpił i nogi obmył.

Zaledwie minął bagnistą łąkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, kiedy spostrzegł kościstą białą szkapę Hamera, jak zdążała ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce, z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdliło Franka na takie spotkanie. Chciał wbok, kiedy zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u gospodarza Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział; na skrzyni kociołek żelazny, co go też z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej lnu siwego płachtę, wreszcie okrutną kłodę [1]) kapusty, a za nią, z nogami spętanemi powrózkiem kilkutygodniowe cielę.

„Głupi“ stanął, wytrzeszczył oczy i osłupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczuł koło serca jakąś ckliwość. Po dobytku owym, na wozie zebranym, pałającym wzrokiem wodził, szepcąc cicho:

— Patrzajta, co ten dobra ludziom odjął i ku sobie ciągnie...

---

[1]) Kłoda, tu: duża beczka.

I z najwyższem przerażeniem w osłupiałych oczach nędzną głową trząsł, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi. Dopiero, kiedy cielę z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle bekło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żałość, taki ogień go przeniknął, że porwawszy się z onego osłupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi, wpadł prosto przed chałupę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było, jakby na jarmarku; Gasio, niewielki, żółty pokurcz z ostrym jak u lisa pyskiem i śpiczastemi uszami, nie wiedział, na kogo wpierw szczekać. Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, nawznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na dziewkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu z Olendrów zbiegły.

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, silnej budowy; trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał z rękami w kieszeniach od rajtuzów najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tombakową dewizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu, kiedy nagle między nich wpadł Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały „głupiego“.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesołe szczekanie pokurcza.

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopa za rękaw szarpnął i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu!... gospodarzu!... Łuko! Łukaszu!... A to wam złodziej skrzynię porwał i cielę... i kapustę z kłodą...

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwytał.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Gotlib zmarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu niewiadomo co do łba strzelić może.

— Idź głupi! — odburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kułak, w pierś zaklęsłą się grzmotnął i wielkim głosem zaklął:

— Porwał gospodarzu!... Porwał!... Żebym tak szczęśliwego skonania doczekał.

Gotlib odwrócił głowę, splunął i znów się o krok cofnął.

Na chłopa uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co?... Sam przedałem.

Frankowi ręka opadła. Patrzył na chłopa obłędnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartemi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochrypłym, zmienionym.

— Wy, gospodarzu?... Wy jemu przedali?... Wy sami przedali?...

Następował na chłopa, targając go za rękaw coraz gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry! — huknął Łuka.

— Co to z głupim gadać! — roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec obcego mądrą i polityczną okazać chciała.

W tej chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kożuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko. Jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość jakąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrosnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy, stanąwszy przed Frankiem, ręce w biodra wparł i rzekł:

— A i nie wiesz to, głupi, co teraz chłopi, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny i też ze ziemi...

Franek słuchał jak ogłuszony.

— Ze ziemi... — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz — ciągnął Bodniak — a idą za morze...

– Za morze... — powtórzył Franek.

— To ci tera het precz licytacja... — mówił Bodniak — targowica... nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórku. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku i Fryca z kokoszką w ręku i baby i obce psy kudłate i byśka i grubego Gotliba — wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych, zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi.

Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie przedajta, gospodarzu, pola!... Dla Boga nie przedajta!... Dla Boga, rety, Maryjo!...

Zaniósł się wielkim płaczem i chwycił poły siermięgi gospodarza.

Chłop trząsł sobą, chcąc się uwolnić od niego, i klął siarczyście.

— Ustąp!... Ażeby cię...

Zerwał się Franek i do Łuczyny pobiegł. Głębokie łkanie wstrząsnęło jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem. — Gospodyni!... Nie przedawajta chałupy! Dla Boga, rety! Nie przedawajta chałupy!...

— Docna ogłupiało chłopisko! — szeptały między sobą baby.

— A odczepże się, odmieńcze! — krzyknęła kobieta.— Owarjował, czy co! A dyć go weźta!

Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał się i, wyciągnąwszy przed siebie trzęsące się łachmanami rękawów ledwie że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety!... Maryjo... Rety!... Ludzie!... Gospodarze!... Nie przedawajta się! Dla Boga ludzie! Nie przedawajta!

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząsł przed głupią swoją głową, a po śniadej twarzy leciały mu łzy ciężkie, jasne, gorące.

— Głupiec! — powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasją zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino!...

Ale chłopaki bawiły się zbyt dobrze całą tą „komedją“, żeby się ruszyć miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Dalej, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie, i będzie zgoda z nami. U mnie tak. Dzień płaci... dzień traci. Dalej, panie Gotlib!... Zgoda. Co ta będziemy na głupiego patrzeć. Róbma zgodę... Dalej go!...

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce zwysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagła wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem wytarł, a chwyciwszy chłopakowi, co tam podle stał, czapczątko z czupryny, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Hej ha! Kiej przedawać, to przedawać! A duchem!... Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, poprzedamy het precz wszyściutko doczysta.

Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Łuka poczerwieniał i łypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spojrzał na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały rozmaite sprzęty, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

Franek schylił się, podniósł z ziemi stary lemiesz, a błyskając nim pod słońce, mówił:

— Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił... niemało skib odwalił... niemało chleba zdobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarkę przedajem i ani my, ani dzieci po nas, ziemi tej, tego pola orać już nie będziem! Kupujta lemiesz!... Patrzta, jaki godny.

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trząsając nią, wołał:

— Hej! Płachtę przedaję!... Patrzajta, co za płachta je!... Caluśka, bieluśka... Oj niemało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło... Dalej, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie w dzień Najświętszej Panienki Siewnej poświęcaną.

I teraz śmiech buchnął, ale cichszy jakiś: Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jej fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni! — zawołał nagle Franek.

— A gdzie przęślica? Przedaliście len, przedajta i przęślicę. Już wy na niej kądzieli *prządzać* nie będziecie... Nie będziecie płótna tkać ani go na tej rosie porannej bielić... Co wam po tem? Dalej gospodyni! Dalej... Dawajta przęślicę. Niech kupują.

W małem podwórku Łuki robiło się coraz dziwniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na „głupiego“ patrzeć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle zerwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O... bocian!

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą[1]) Łukowej stodółki wzbijał się lotem szerokim, pierwszy tej wiosny bocian.

— Bocian!... Bociek!... — zaczęły wołać na różne głosy chłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekotał wesoło, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie...

— Nie siądzie...

---

[1]) Szczyt dachu.

— Siądzie... — odezwały się dziecięce głosy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od „głupiego“. Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał się szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi. Oj głupi ty ptaku! — rzekł wreszcie.— A i dlaczegożeś tu leciał *bez* morze, wielkie, na gniazdach noclegujący, na zorzach się budzący?... Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego? gdzieś bocianięta swe hodował i słońcu się radował i ludzi cieszył i odpocznienie swoje miał? Oj przylecisz ty tu jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie, jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie... a ty głupi precz... za morze... za morze...

Podniósł głos, oczy chłopów znów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib — zawołał — bliżej tu sam, bliżej... Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie... Widzita ten krzyż nade drogą? Widzita het one górki, one mogiłki nasze? Dalej! Wszyściutko przedajem. Kupujta... ten krzyż przy drodze, te mogiłki.

Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potem, nad oną kupą domowizny przed chatą klęknąwszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głosy jako wiatr wiosenny. Chłopi głowy odkryli, baby poklękały, a Franek mówił dalej:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!

...Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas Panie!

...O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię, Panie!

...Od morskiej i wszelakiej nawałnicy, zachowaj nas Panie!

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł i, między ludźmi przeszedłszy, ku rzece się puścił...

(W której porze roku dzieje się to, o czem czytamy w „Głupim Franku“, w której porze dnia? Ile razy zmienia się miejsce w opowiadaniu? Kiedy szczególnie zajmuje nas tło, na którem Franek występuje? Dlaczego ludzie uważali Franka za głupiego? A czy którychś innych osób w tem opowiadaniu nie nazwalibyśmy głupiemi? (jeśli tak, dlaczego?). Czem Franek górował nad temi osobami? Które z osób zapłoniłyby się, gdyby im dano do czytania „Rotę“ Konopnickiej lub „Poszłabym ja na kraj świata“ lub „Pieśń o domu“? Pomyślmy, czy nie miał Franek jakiegoś daru osobliwego? (kto patrzy tak na przyrodę, jak on, kto ją ożywia, uosabia?) — Z których utworów poznanych w tym roku bije gorąca miłość przyrody ojczystej?).

Pracować, pracować jak najgorliwiej, gromadzić zasoby, aby róść w siły, nie dawać ziemi w obce ręce, oświecać siebie i drugich — było to wołanie powszechne w tych czasach, po upadku powstania z r. 1863. Nawoływał też między innymi do pracy. skrzętności, zapobiegliwości

Bolesław Prus

pisarz, którego właściwe imię i nazwisko było Aleksander Głowacki; ażeby zaś dać dobry przykład, sam wstąpił po ukończeniu szkół do warsztatów w jednej z fabryk warszawskich i pracował w nich przez czas dłuższy. Twierdził Prus zawsze, że pierwszym obowiązkiem każdego jest myśleć nie o swem szczęściu, ale o tem, ażeby stać się jak najbardziej użytecznym.

Ryc. 22. Bolesław Prus.

„Należy starać się — pisał — aby każdy umiał pracować, znalazł pracę użytèczną dla siebie i ogółu, a wreszcie wiedział o tem, że człowiek o tyle ma prawo do życia i szczęścia, o ile je sobie sam wypracuje“. Ale wnet zadał sobie Prus pytanie, czy może być istotnie użytecznym człowiek, który powoduje się jedynie rozumem, i odpowiedział sobie: nie; rozum może i powinien kierować naszem działaniem, ale pobudką wszelkich czynów ludzkich naprawdę szlachetnych musi być miłość, miłość bliźnich. Nie dość spełniać swe obowiązki, trzeba umieć jeszcze poświęcać się dla drugich, i ten tylko dozna prawdziwego szczęścia, kto drugiemu chwilę szczęścia zapewni. Przepiękną tę myśl wypowiedział Prus w całym szeregu powieści i nowel.

Umierając (r. 1912), całe mienie swe zapisał na cele publiczne.

Z utworów Bolesława Prusa.

Potęga uczucia.

Przy śniadaniu powiedziano dziedzicowi, że jeden z fornali jego zajął w szkodzie konie gospodarza Gajdy.

Niebawem przybył właściciel koni. Dziedzic wyszedł na ganek i zastał tam córkę swą, trzynastoletnią Anielkę, z obawą i ciekawością przypatrującą się olbrzymiemu wieśniakowi, którego twarz była raczej zakłopotana niż groźna.

— Cóż? — zaczął pan Jan. — Znowu twoim koniom podobała się moja pszenica?...

— *Zara,* jaśnie panie, ja powiem od początku prawdę — rzekł chłop, pochylając się ku ziemi. — Jako słonko *wzeszło,* kazałem mojej dziewusze popaść koniska *nade* drogą, tu, gdzie ugor. A *te hycle wzięły,* zawróciły i poszły w pszenicę. Może nie uszczypały jednej trawki, *kiej* przyszedł fornal i zajął *ich.* Tak było, żebym skonania nie doczekał!

Chłop stał, trzymając czapkę w obu rękach, ale śmiało patrząc w oczy dziedzicowi, który uśmiechał się drwiąco.

— No — rzekł dziedzic — dasz trzy ruble fornalowi, który konie zajął!...

— O, la Boga! aż trzy ruble? — krzyknął chłop.

— Więc idź do sądu! — rzekł dziedzic.

— Panie, a jakże mi iść do sądu, *kiej* mnie Żydy zgodziły do miasta, żebym *zara* jechał. Niech się pan zmiłuje i opuści!

— Słuchajno, a czy ty opuściłbyś mi co?

Chłop milczał.

— Widzisz, jak ty dobrze rozumiesz swoje interesy! Pozwól mi więc, abym i ja swoje rozumiał, i daj dla fornala trzy ruble, jeżeli ci koni potrzeba.

— To już takie pańskie ostatnie słowo? — pytał Gajda.

— Ostatnie.

Gajda sięgnął za pazuchę i drżącemi rękoma wydobył skórzany woreczek.

— Ha! ma pan! — rzekł, kładąc trzy ruble na ławce. — Przynajmniej za to mojej dziewusze kości porachuję, żeby pamiętała...

Dziedzic zawołał fornala, który konie zajął, oddał mu trzy ruble, kazał konie wypuścić, a sam wrócił do pokoju.

Kiedy znikł we drzwiach, Gajda pogroził za nim pięścią. Teraz patrząca ciągle Anielka zobaczyła, że człowiek ten ma twarz straszną.

„Porachuję kości mojej dziewusze!...“ — powtórzyła Anielka, i dreszcz ją przebiegł. Biedna Magda!...

Myśląc o losie Magdy, nie mogła się uspokoić. Chciała ją ratować, ale jak?...

Pomoc matki nie na wiele się przyda, bo matka w tej chwili nie miała trzech rubli, któreby należało zwrócić Gajdzie w celu ułagodzenia go. Możeby pójść do ojca?...

Ale instynkt ostrzegał ją, że ojciec śmiać się tylko będzie z jej współczucia.

Na prawo od ganku, za inspektami leżały budowle gospodarskie, stodoły, obory i stajnie. Tam poszedł Gajda z fornalem po swoje konie. Za parę minut wróci do domu i zacznie bić Magdę.

Co ona myśli w tej chwili? Anielka okrążyła dwór, skręciła na lewo za inspekty i pobiegła do płotu, ciągnącego się naprzeciw stajni aż do gościńca. Tu zatrzymała się, czekając na Gajdę, równie zatrwożona mającą nastąpić z nim rozmową, jak losem Magdy, jak wreszcie i tem, ażeby jej samej nie spostrzegł ojciec.

Usłyszała powolny tętent kopyt i ciężkie kroki chłopa. W tej części płotu jedna ze sztachet była złamana; Anielka odsunęła ją, przeszła rów pełen pokrzyw, które jej ręce i nogi poparzyły, i zabiegła drogę Gajdzie. Urodzona do rozkazywania szła prosić.

Chłop, ujrzawszy ją, zatrzymał się i popatrzył ponuro na zbladłą jej twarz i bojaźliwe szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu!... — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy.

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?... Ona jest taka — o... o mnie pod ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona poradzić mogła koniom takiemi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może goniła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnieby ją zabił...

Na twarzy chłopa malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki

biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście udusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzicie. Musi płakać i trząść się... bo cóż ona poradzi?... Konie zawiniły. a ją bić mają... Za co?...

— Anielko! Anielko! — odezwał się z ogrodu wątły głos guwernantki.

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dokoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyła z poza gorsu złoty medaljonik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie robili Magdzie!

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopa do znaczenia księdza, trzymającego Hostję. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se panienka ten *obrazik* przenajświętszy. Ja tam nie żyd, żebym takiemi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko!... — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?...

— Nie.

— Z pewnością nie?

— Niech mnie Bóg broni!... — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, boby chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał...

— Anielko! Anielko!...

— No to bądźcie zdrowi!... Dziękuję wam!...

I cofając się do płotu, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzał za nią i słuchał ostatniego szelestu. Potem przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku. (Anielka).

Bohaterstwo.

Michałko, ubogi wieśniak, który przybył do Warszawy za zarobkiem, stał przed bramą jednej z kamienic, namyślając się, dokąd ma się udać, żeby znaleźć pracę. Wtem spostrzegł, że na niebrukowanej ulicy, gdzie stało ledwie kilka domów, kręcą się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszyst kiem unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy, prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie, wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa.

— Jędrzeja niema! — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!... — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i chwycił się oburącz za głowę. Potem jak szalony popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwila mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bolu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzał na ludzi, stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać na ratunek nie śmiał. Mówił tylko!

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się wtył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej niż inni.

Strach, co się z nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: pójdę, on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru niż inni.

— Nie pójdę!... — szepnął, i podniósł drąg, który leżał mu prawie przy nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie! Co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się — wołał ranny, szlochając z bolu.

— Idę! Idę!... — rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi i kałużę krwi — i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się! krzyknęli robotnicy, rozbiegając się. Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośno i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!... Jeno mu tam jeden but ostał.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!... — wołali.

— Octu!...

— Po doktora!

Michałko powiódł się za nimi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie.

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktor? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował. Nowy tłum, już takich, którzy chciwi byli wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi piersiami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawego widowiska.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się, gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop niebardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy. — Co to, niema policji, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki postępek nie wsadzono do kozy. I nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później poczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policja, rozbiegli się robotnicy i nie znaleźli Michałka. (Michałko).

Portrety.

Jaś po śmierci ojca bawił z matką na wsi u pana Anzelma. Było mu tam dobrze jak we własnym domu. Ale gdy pan Anzelm, obarczony długami, musiał majątek sprzedać i zadowolnić się dzierżawą, Jaś z matką przenieśli się do Warszawy. Tam matka Jasia, utrzymując się z szycia, z nadmiaru pracy po nocach i z biedy umarła, a chłopczyna dostał się do domu niejakiego pana Karola, który chciał uchodzić za dobroczyńcę wszystkich, a naprawdę był człowiekiem bez serca, Jaś czuł się w tym domu bardzo nieszczęśliwym. Napisał wówczas, płacząc, list do pana Anzelma.

W dzień św. Szczepana, około 10-tej wieczorem, gdy dzieci już spały, do niskiej izdebki pana Anzelma wszedł ekonom Młynkiewicz, który w tej chwili powrócił z miasteczka.

— Cóż, są pisma? — spytał pan Anzelm.

— A są, i jeszcze list jakiś — odparł ekonom.

Szlachcic wziął przedewszystkiem list do ręki, a przeczytawszy adres: „Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł“, wybuchnął śmiechem:

— Także koncepista jakiś! — zawołał.

— A może to nasz Jaś — wtrącił półgębkiem ekonom.

— Zapewne, że on!... to tak jakby jego charakter — mówił szlachcic, szybko rozrywając kopertę.

A potem zaczął głośno czytać:

„Kochany Panie! Mama chciała sama do pana napisać, ale już umarła“...

— O nieszczęście! — mruknął pan Anzelm.

Szlachcic utarł nos, zaczął szybko mrugać powiekami i stłumionym głosem czytał dalej:

„Już wkońcu była nam taka bieda, że aż strach!... a mama przed samą śmiercią ciągle wspominała o panu. Teraz jestem u pana Karola, który mię wziął z łaski. Dobrze mi tu, ale tęskno. Z początku mieszkałem z chłopcami, ale potem dali mi osobny pokoik i do stołu niezawsze wołają, to też mi bardzo smutno. Od wakacyj wzięli mię chłopcy uczyć, ale więcej tam klęczenia i łap dawania niż tego, co potrzeba. Mają oni fuzję i welocyped, ale mi tego do ręki nie dają. Najgorzej mi żal, że naskarżyli na mnie z panią przed ojcem, żem leniwy i próżniak. Zato pan Karol rozgniewał się i mnie w domu zostawił, choć wszyscy wyjechali na wieś, aż mi się płakać chce...

Mój kochany panie, niech się pan nie gniewa na mnie za tak brzydkie pismo, ale to nie z lenistwa i z próżniactwa, tylko przez złe pióro... Mój kochany panie, co ja mam z sobą zrobić, kiedym już tak sam został na świecie? Trzebaby mi pójść na własny zarobek. Może jabym się tam na wsi przydał do czego, to już i nauce dałbym spokój, aby tylko stąd wyjść.

Całuję ręce i nogi panu i pani, całuję także Antosię i Józia i Manię i Kazię; panu Młynkiewiczowi się kłaniam i Wojciechowi, jeżeli jest, i niech mi pan odpisze, jak się tam powodzi i czy wszyscy zdrowi?“

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież ádres.

Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— Hę?...

— Wola pańska — odparł osiwiały ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm i począł wielkiemi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając.

— Potrzebuję z pięćset rubli... — szepnął. — Trzeba chłopca tu przywieźć i od wakacyj oddać do szkół.

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — spytał pan Anzelm.

— Tak! zboże jest, ale o kupca niełatwo, a przytem to ekstraordynaryjny[1]) wydatek.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom:

— Jeżeli taka wola pańska, to pieniądze się znajdą. Przecież tydzień temu pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli z czemś...

Słowa te podziałały na pana Anzelma jak kubeł zimnej wody. Przez chwilę jeszcze wahał się, lecz wkońcu rzekł już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

— Żal mi wprawdzie chłopca, no, ależ i ja mam obowiązki... Ciężka sprawa...

Co prawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żal było pary cugowych koni, które stanowiły pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacji Jasia musiałby się przez parę lat ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny, i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?...

Ale z drugiej strony pan Anzelm wiedział, że Jaś jest ogromnie obiecujący; i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szeptał wzruszony. — No, ależ i ja mam obowiązki i to ciężkie...

---

[1]) Nadzwyczajny.

— Podołasz im! — odezwał się jakiś głos.

Zapewne! — odpowiedział szlachcic — ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacja chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich.

— A co zrobisz dla kraju? — szepnął głos.

Szlachcic na środku swej izdebki stanął struchlały i, jakby pragnąc odegnać trapiące go myśli, spojrzał dokoła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich wyobrażał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana. Portrety te ożyły i poczęły mówić:

— Ja wygrywałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... — odezwał się rycerz.

— Założyłam szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A ty coś zrobił? — pytał głos.

Anzelmowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku, na starym, żelaznym fotelu, obitym skórą. Nagle cofnął się: w tej chwili pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że nie godzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali niegdyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu:

— Dom mój był przytułkiem inwalidów... — szeptał wojownik...

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od głodowej śmierci i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

Myśli pana Anzelma znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze — mówił — więc sprzedam cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, ale któż mi zaręczy, że cała moja praca nie pójdzie na marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

— Czyń to, co przypada na ciebie, a o reszcie nie myśl!... — mówił głos.

I otóż szlachcic zdecydował się. Postanowił powiększyć rodzinę o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Robił to bez fałszywego entuzjazmu[1]), na zimno, czując, że spłaca dług, nieuiszczony w pomyślniejszych czasach.

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy, znakomici obywatele i święte matrony. Czuł on, że jest im równy, choć składa w ofierze tylko ostatnią parę cugowych koni!...

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wola pańska!... — odparł ekonom.

A potem spytał:

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został sam, już śmiało spojrzał na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra chociaż część skromnych resztek, i on do stołu prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.

(Sieroca dola).

---

[1]) Zapału.

(Co skłania Anielkę do rozmowy ze strasznym dla niej Gajdą, co powoduje Michałkiem, gdy ratuje nieszczęśliwego robotnika, co panem Anzelmem, kiedy postanawia zająć się Jasiem? Czy wszystkim tym osobom łatwo przyszło powziąć stanowcze postanowienie? Czy powiedzielibyśmy o której z nich że poświęciła się dla dobra drugich? Które z osób w opowiadaniach powyższych budzą w nas niechęć ku sobie? (dlaczego?). Czy doszukalibyśmy się myśli wspólnej, łączącej wszystkie trzy opowiadania?)

Konopnicka obejmowała gorącem sercem cały naród, ale szczególną miłością darzyła wszystkich biednych i pokrzywdzonych. Prus w każdym bliźnim widział brata i nie znał wyższego szczęścia nad poświęcenie się dla drugich. Znalazł się jednak pisarz, współczesny Konopnickiej i Prusowi, który obok człowieka pracującego, trudzącego się, a często pogrążonego w niedoli, dojrzał także inne istoty, zasługujące na baczną naszą uwagę. Istoty owe to najbliżsi towarzysze prac ludzkich. Życiem ich zajął się

Adolf Dygasiński

znany z wielu prac o wychowaniu, wielki przyjaciel młodzieży. Istotnie kochał on młodzież szczerze, ale kochał także świat zwierzęcy, podpatrywał życie psa domowego, lisa, ptaków leśnych, chciał zrozumieć świergot wróbli, klekot bocianów. Wydał nawet osobny zbiór opowiadań p. t. „Co się dzieje w ptasich gniazdach“. Znachodzimy tam wśród innych dwa obrazki: „Gniazdo bocianie“ i „Gniazdo słowicze“.

Gniazdo bocianie.

Naprzód do Dalewic przyleciały na wiosnę skowronki, później pokazały się bociany, a dzieci w chacie Makosza wołały: „boćki lecą!“ Po bocianach przybyły jaskółki; ostatnimi zaś przybyszami, już w kwietniu, były słowiki. Słowików corocznie znajdowała się tu jedna para, podobnie jak i bocianów, gnieżdżących się na stodole

Makosza. Stadło bocianie zajęło się naprzód reparacją gniazda starego. Naprzemian więc to jedno, to drugie znosiło gałęzie, słomę, kawałki darni, szmaty; oboje wyrywali dziobami przegniły chróst, łatali dziury, utykali szpary, zagradzali, przegradzali; robili to, co robi wieśniak, gdy naprawia chałupę. Zdarzyło się jednego roku, że do Dalewic nadleciały inne jakieś bociany, a w parę dni dopiero przybyli starzy właściciele gniazda. Powiadają, że kto pierwszy, ten lepszy; tym razem lepszemi ani pierwszemi nie były te bociany, które naprzód objęły w posiadanie gniazdo. Przyszło bowiem do zaciętej walki na stodole; posypało się pierze, popłynęła może i krew, i pokazało się, że ten zawsze mocniejszy, kto swojego na własnych śmieciach broni. Przybyszom spadły nosy na kwintę [1]), musieli ustąpić: wynieśli się do Zamościa, pod Skalbmierz, gdzie jest istna bociania kolonja. Być może, iż ta kolonja założona została przez zdetronizowanych [2]) przywłaszczycieli cudzych gniazd. Tu i ówdzie człowiek wywłaszcza człowieka drugiego; rzecz dziwna, że bocian wywłaszczyć się nie pozwala nigdy.

Ryc. 23. Adolf Dygasiński.

Na jajach kolejno przesiadywali — to mąż, to żona, co chyba świadczy o wysoko rozwiniętem poczuciu rodzicielskiego obowiązku. Jeżeli parę bocianów nazywamy małżeństwem, to gniazdo ich możemy nazwać chatą. Otóż,

---

[1]) Kwinta — najcieńsza struna na skrzypcach: spuścić nos na kwintę — łagodniejszym tonem przemawiać, spokornieć. [2]) Zdetronizować — strącić z tronu, wogóle pozbawić jakiegoś urzędu lub własności.

bociania chata umieszczona była na samym rogu strzechy Makoszowej stodoły. Czworo bocianków z szaremi dzióbkami i takiemiż nogami, zachowywało się nadzwyczajnie przyzwoicie w gnieździe. Od najpierwszych pieluch, aż do młodzieńczego wieku, nie słyszano w gnieździe niesfornych krzyków; zdaje się, że ważna cnota karności zdobi młodzież w rodzie bocianim. Piszczały one tylko niekiedy, mianowicie zaś gdy przybywało do gniazda które z rodziców.

Pracowitość tej ptasiej rodziny, jej przywiązanie do gniazda, karność młodzieży, troskliwość, a nawet czułość rodzicielska starszych względem młodszych, przytem różne inne cnoty, sprawiły, że ludność dalewicka, porównawszy sobie wspomniane zalety z ludzkiemi, musiała ptakom przyznać pierwszeństwo. Bociany więc wyrobiły sobie tutaj między ludźmi nietylko uznanie, ale rodzaj czci, na którą nie zasłużyły ani wrzaskliwe sroki, ani natrętne wróble, ani żarłoczne wrony i inne ptastwo. „Zabić boćka to ciężki grzech“ — mawiali starzy gospodarze do swoich dzieci, a dzieci wierzyły ojcom i to samo powtarzały później własnym dzieciom. Ileż to cnót trzeba posiadać, ażeby sobie zasłużyć na ludzkie uznanie, nie będąc jednak wołem, gęsią, kurą, kaczką lub cielęciem!

Gdy przeminęły czasy wychowania, polegającego wyłącznie na odżywianiu, kiedy młode bociany podrosły i okryły się dobrem pierzem, rodzice zaczęli je nauczać. Polecono malcom stanąć prosto na gnieździe, zabraniając garbienia się i niedołężnego zginania nóg. Bocianki szybko pojęły, o co chodzi. Po tych ćwiczeniach gimnastycznych z nogami nastąpiły ćwiczenia skrzydeł. Wielki szum słychać było na stodole Makosza, kiedy młodzież, stojąc w gnieździe, na komendę ojca lub matki, wprawiała się w używaniu skrzydeł. Potem nastąpiły lekcje wznoszenia się na skrzydłach, naprzód o parę cali prostopadle nad gniazdem, z zastrzeżeniem silnem, że nie wolno spaść na strzechę, a tem bardziej na ziemię. Szło to powoli, ale

wychowawcy byli pobłażliwi oraz cierpliwi. Niebawem nastąpiły marsze dłuższe po samym szczycie stodoły; ten i ów chwiał się, tracił równowagę, odzyskiwał ją znowu, aż młódź w rezultacie nauczyła się chodzić. Dopieroż to radość była, kiedy jednego dnia matka zaczęła na skrzydłach opisywać koło ponad gniazdem. Porwał się wtedy z szumem do góry synek pierworodny i dalejże za matką „a w kółko, a w kółko". Inne dzieci, widząc, że „nie święci garnki lepią", poszły też w taniec. Nie dosyć jest wznieść się w górę, ale trzeba umieć także opuszczać się nadół i osiadać tam, gdzie potrzeba. Więc pod tym względem bywały wypadki rozliczne, niejeden młodzieniec spadł na strzechę pochyłą i ślizką, a matka z góry wołała nań z uśmiechem: „ratuj się sam, jak umiesz". Przylatywał na takie popisy stary ojciec z łąki: rozlegało się wówczas głośne klekotanie, opowiadano mu radośnie, co to było.

Ale wychowanie nie skończyło się na tem. Dalsze jego części odbywały się na łąkach, które dzieci znały tylko z opowiadania. Tutaj musiały one nauczyć się poznawania różnych sygnałów niebezpieczeństwa; tutaj, dowiedziały się, że nie należy uciekać przed krową, koniem, świnią, ale należy strzec się rozpustnego psa. Okrom tego, przyszło pozyskać wprawę w łowy różnego rodzaju, czemu towarzyszy, już w gnieździe rozpoczęta, pewna znajomość zoologji; co innego jest żaba, co innego pisklę skowronka, jaszczurka, wąż, salamandra, młody zajączek i t. d. Młody bocian musi wiedzieć, czem się ma karmić, oraz w jaki sposób, gdzie i kiedy zdobywać sobie kawałek chleba. Są też pewne obrzędy i ceremonje bocianie, polegające na modulowaniu[1]) głosu podczas klekotania, na przekrzywianiu szyi oraz głowy, trzepotaniu skrzydłami i t. d. Ażeby zaś młodzież nauczyła się kochać i szanować rodzinne gniazdo, musiała do niego re-

---

[1]) Zmienianiu.

gularnie na noc powracać, jakkolwiek samodzielną już ona była. Jeżeli zważymy, że wszelkie wychowanie odbywa się kosztem czasu oraz znacznych wysiłków ze strony wychowawców, to jednocześnie musimy mieć szacunek dla założycieli bocianiego gniazda i przyznać im właściwe pedagogiczne[1]) wykształcenie.

Gniazdo słowicze.

Tarnina już zakwitła, gdy się rozpoczęły słowicze prace i pieśni. Do Dalewic przybyła para słowików i zajęła się naprzód wyszukaniem dobrego miejsca na gniazdko. Kiedyś tam jeszcze w błotnym marcu, przypadkiem zapuścił się był koń Makosza pomiędzy wikliny; ślady kopyt jego, zrobione w grząskim podówczas gruncie, dotychczas jeszcze były widzialne, choć je drobna trawka tu i ówdzie pozarastała. Jedno takie odbicie końskiego kopyta było głębsze od innych, a znajdowało się tuż pod krzakiem. Słowicza samka złożyła tutaj pierwsza uschły jakiś listek; przyleciał za nią małżonek i dołożył suche źdźbełko trawy; były to więc fundamenty gniazdka. Przyniesiono jeszcze więcej materjałów, podesłano dno i zaczęto budować boki; oboje to dzióbkiem, to nóżkami splatali i przeplatali źdźbła, łączyli je ze sobą, naginali, wyrównywali, aż wreszcie stanęły ścianki słowiczego gniazda. Ale było ono niekształtne i wewnątrz bardzo nierówne, więc wstąpił w nie samczyk, stanął na podstawie i począł się wkoło obracać; obrócił się kilka razy całem ciałem w jedną stronę; obroty takie nadały kształt gniazdku, i pokazało się przytem, że niektóre pręciki oraz źdźbełka nie są na swojem miejscu; samczyk przeto powyciągał je, poprzecinał dziobkiem, dopasował. Po nim zkolei teraz weszła w gniazdko samiczka i mogła się w niem obracać bardzo swobodnie. Oboje ptaszkowie zatem wy-

---

[1]) Wychowawcze.

dali głos radosny, porwali się na skrzydełka i polecieli między olchy a wikliny; szukali oni skrzętnie po ziemi i oraz po drzewach, zbierali kawałeczki mchów, znosili je i wyścielali niemi dno jako też boki gniazdka. I znowu kolejno, jedno po drugiem wchodziło w gniazdko, przesiadywało tutaj, obracało się dokoła, a gniazdko stawało się gładkie, i wklęsłość jego nabierała okrągłości dokładnej. Do mchów dołączono kawałki końskiego włosienia, sierści bydlęcej, a także włosów ludzkich oraz nieco szczeciny; to wszystko bystre i baczne oczka słowiczej pary umiały znaleźć jużto w sadzie, już w ogrodzie lub nad rzeką. Samczyk był tak śmiały, że rankiem puszczał się na podwórko Makoszowej chaty i zwykle powracał stamtąd, zaopatrzony obficiej w materjał potrzebny do budowy.

Gniazdko było już mocne, trwałe, sprężyste, należycie zastawione i pozszywane, ale nie było jeszcze w niem miękko. W takiem mieszkaniu nader ważne i potrzebne są poduszki oraz materace. Okwitały właśnie na podręczu[1]) wierzby, a przy drodze — topole; wiatr roznosił puch ich kotkowych kwiatów; znajdowały też słowiki drobne puszki pierza, uronionego przez rozmaite ptastwo, a za rzeką na łące. trafiały się i cząsteczki zajęczego futra. Wszystko to, jedno za drugiem, przeniesione zostało do gniazdka, a nadto samiczka oddała nieco puchu z własnej piersi. Nareszcie skończyła się budowa tej chaty w swoim rodzaju; gniazdo posiadało nietylko odpowiednią moc, ale było także bardzo wygodne, było nawet piękne. Zadowolone ptaszyny powiedziały sobie chyba coś niezmiernie przyjemnego; może ona błysnęła ku niemu uszczęśliwionem okiem, bo oto wzleciał w górę, usiadł na gałązce olszyny i zaczął śpiewać piosnkę, którąśmy w nocy słyszeli.

Gniazdko poczęło się teraz napełniać jajkami; do-

---

[1]) Pod ręką w bliskości.

póki w niem było jedno jajko, dwa, trzy, samiczka się oddalała w gąszcze, chwytała muszki, uganiała się za komarami, pilnie zato nocą przesiadując na gniazdku. Kiedy już było jajek cztery i pięć, nie opuszczała gniazdka całemi dniami i nocą, chyba na maleńką chwilę, aby ugasić pragnienie. Mąż znosił jej pożywienie. Zresztą, coś ją do gniazdka wiązało, było jej tam dobrze i przyjemnie. Na pobliskiej gałązce małżonek, przesiadując, rozmawiał z nią tak serdecznie. Rozumiała ona dobrze tę piękną, wyśpiewaną rozmowę i wsłuchiwała się w nią i przesiadywała cierpliwie. Po kilkunastu dniach jedno jajko poruszyło się pod nią; usłyszała jednocześnie cieniuchny głosik, podniosła się więc i zobaczyła swego pierworodnego. Powstała wtedy z gniazda, wskoczyła na jego ściankę, wyzbierała starannie skorupki jajka, powyrzucała je, przyjrzała się maleńkiemu dziecku, dotknęła go lekko dziobkiem i krzyknęła, jako uszczęśliwiona matka. Wnet też z olszynowej gałązki sfrunął samczyk, i on także popatrzył na jedynaka, i on wydał z piersi głos radości.

Potem prędko już posypały się słowicze dzieci; zaczęły one wołać: „jeść, jeść!“ a nowe trudy rozpoczęły się dla rodziców. Ileż tu bywało radosnego pisku, kiedy dziatwa spostrzegła przylatującą matkę z komarem albo chrabąszczem w dziobie! Na wyścigi podnosiły główki, rozwijały nagie skrzydełka, otwierały żółte dziobki, wytrzeszczały czarne oczka. Wykarmić pięcioro dzieci — to bardzo trudno! Trzeba było sprawiedliwie obdzielać porcjami, aby które z głodu nie umarło; matka umiała wybornie rozróżniać każdą główkę. Przytem wtargnęły nieraz do gniazda mrówki i zaczęły malcom dokuczać w sposób bardzo dotkliwy; więc nowa praca, nowe kłopoty; mrówki należało pilnie wyzbierać, powyrzucać, lub pozabijać i pozjadać. Oprócz tego troskę niemałą w tej rodzinie stanowiły dla matki chłodne a mgliste wieczory oraz poranki; mogło się łatwo które dziecko w czasie pierwszej mło-

dości zaziębić i zamrzeć. Jednakże na wszystko jakoś znalazła się szybka i dobra rada.

(Na jakie podobne szczegóły z życia bocianów i słowików zwraca autor uwagę? Za co musimy szanować zarówno rodzinę bocianią, jak parę słowiczą? Czy autor nie daje do poznania, że ludzie mogliby sobie brać wzór z ptaków? — Zastanówmy się, czy autor oba obrazki skreślił w jednaki sposób, czy też może przy kreśleniu jednego z nich igrał na ustach jego lekki uśmiech? Czemubyśmy przypisali, że nie w taki sam sposób opowiada nam o bocianach i słowikach? — Którzy ze znanych nam poetów zajmowali się w utworach swych światem zwierzęcym? Czy w tym samym celu, który przyświecał Dygasińskiemu?).

Cięższe niż w Królestwie, było po roku 1863 położenie Polaków na Litwie, tem większa też zasługa tych, którzy wśród srogiego ucisku polskość na ziemiach litewskich utrzymywali. Do najbardziej zasłużonych, najgorliwszych i najwytrwalszych należała

Eliza Orzeszkowa

przez długie lata nawpół więziona przez rząd rosyjski, nie wolno jej bowiem było wychylać się poza rogatki miasta Grodna. Tam to w Grodnie właśnie oddała się Orzeszkowa cała służbie narodowi: nawoływała w pismach swoich, jak i inni w tej dobie, do pracy, do strzeżenia ziemi, do szerzenia oświaty, ale także do krzewienia braterskich uczuć i do łączenia się różnych warstw narodu dla wspólnego celu najświętszego. Dziwnem się może wydać, że cenzura rosyjska, tak bardzo czujna, przepuszczała takie pisma? Otóż Orzeszkowa z biegiem lat nauczyła się tak pisać, że swoi, Polacy rozumieli ją doskonale, a cenzor Rosjanin czytał i ani mu w głowie zaświtało, że w tem, co przeczytał, ukrywa się jakaś myśl dla caratu niebezpieczna. Tę zdolność mówienia o rzeczach i sprawach „zakazanych“ poznamy także z poniżej pomieszczonej noweli. Umarła Orzeszkowa w r. 1910.

Babunia.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach siedziała w pokoju chorych wnucząt i przy świetle małej lampy robiła pończoszkę. Synowa po paru nocach, spędzonych nad łóżeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym, w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późny. Chore dzieci spały, babunia dumała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz osłonioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumała.

Ryc. 24. Eliza Orzeszkowa.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną... Na Wandeczkę weselej trochę spoglądał, ale Tadzio zaniepokoił go widocznie. Bo też chłopczyna ten nie jest wcale dzieckiem zwykłem, a dzieci niezwykłe... o, Boże!..

W domu i za domem cisza głęboka i jeden tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro skrzypi po papierze równo, ciągle...

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty człowiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Babunia widzi przez drzwi wpół otwarte plecy jego przygarbione, głowę, z siwiejącemi włosami, profil surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na czole. Z postawy i rysów ten syn podobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie rozwartą przed

ludźmi..., Zygmuś jest skrytym, ostrożnym i ostrym. Ona go nie potępia za to, o nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki cierpień: tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmusia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zasłały mu, jak kamienie, dno duszy: reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepkiem myśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmusia. Nie dlatego, aby wyrządził jej kiedy jaką krzywdę... ale natura jej miękka, wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, wejrzeniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: „Nie dokuczaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów!“ Więc z jednej strony ceruje i łata swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo to jeszcze czuje, że zawadza. Synowa, kobieta uczciwa, lecz oschła i wiecznie stroskana, wolałaby mieć w domu siostrę swoją, niżeli matkę męża; usuwa też ją od dzieci, może zazdrosna o ich serca... Cokolwiek jednak babunia czuje i myśli, nie zwierza tego przed nikim... Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecionemi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odmawia długi różaniec imion drogich, umilkłych na wieki: a wtedy, to wszystko, co napełnia jej duszę szczelnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami pełnemi obrazów. Na tych obrazach jaśnieją, uśmiechają się, po imieniu ją nazywają oblicza pogasłe na wieki, drogie a wśród nich najczęściej, najnatarczywiej, najrzewniej jedno — najdroższe...

Jednak w tej chwili gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się... wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była

samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesołe — to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nieszczęściu prawdziwemu. O życie obojga drży zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących, najwięcej kocha — Tadzia: to z pośród kociąt kocię najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka jej męża Jasia: to samo czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny lgnie do niej serdecznie, na jej widok biegnie, rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła; spędza też z nią często szare godziny zimowe...

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoiku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci lub w oddaleniu; wspomina, a tymczasem szara godzina coraz ciemnieje, ciemnieje, aż pokoik na górze z jednem oknem napełnia się grubym zmrokiem.

Wtem — skrzyp! drzwi otwierają się powoli i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?

— Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię! a co tam takiego?

— Nic, ja tak sobie *przysedłem* do babuni... — I już jest na jej kolanach. Zapaliłaby lampę, ale tak mocno oplótł ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Poco lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to w drugi, przygładzać jej włosy nad czołem i głosikiem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wielse!*

Bo była to namiętność tego malca: uczyć się z ust babuni wszystkiego, co tylko ona sama napamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet:

— A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

— A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy.

Cyt! poruszył się, jęknął, w półświetle rozległ się szept świszczący: pić!... gorączka. Babunia porwała się z krzesła i tak lekko, jakby miała nogi dwudziestoletnie, przybiegła do małego łóżka. Szklanka z napojem, przyłożona do ust otwierających się, jak dziobek ptaszęcy, kilka słów, zamienionych pieszczotliwemi głosami — dziecko spało znowu. Spało, lecz niespokojnie, z oddechem przyspieszonym, z drganiami bólu na tem drobnem czole, które było tak uderzająco podobnem do czoła nieboszczyka Jasia. Pochylona, z oczyma wlepionemi w dziecko chore, z rękoma bielejącemi, jak opłatki na sukni czarnej, babunia myśla wołała coraz błagalniej: Boże! Boże! Boże! — Nic nad to jedno imię myślą wymówić nie mogła, lecz wlała w nie wszystkie siły, cały wzlot, całe naprężenie serca strwożonego. Więc nie spostrzegła, że do pokoju weszły dwie kobiety i przy niej stanęły. Jedna z nich szeptała:

— Niech mama już spać idzie. Adelka przyszła i będzie czuwać nad dziećmi do rana.

Adelka, siostra synowej, podstarzała panna, w jedwabnej sukni, z chłodnemi oczyma i zaciętemi usty... W sercu babuni zawrzało. Dlaczego ma ustępować przed Adelką? Matka, to co innego, ale ta... prawie obca! Jedwabną suknią przy samej główce dziecka szeleści, zbudzić je może, a potem sama zasnąć gotowa... Wyprostowała się, spojrzała na synową oczyma, w których przemknął błysk dwudziestoletni, i cichym szeptem zaczęła:

— Moja Julciu...

Ale chuda kobieta, ze znużoną twarzą, wpadła jej w mowę:

— Moja mamo, niech się już mama nie sprzecza!

Kiedy takie nieszczęście w domu, nie trzeba przynajmniej robić ambarasu.

Tu wtrąciła się Adelka:

— Rozchoruje się pani od niespania i zrobi w domu drugą jeszcze biedę!

A synowa dodała:

— Trzeba, moja mamo, o wieku swoim pamiętać!

Niechże ją Bóg broni, aby miała domowi temu robić biedę jakąkolwiek! O wieku swoim też pamięta. Ma się rozumieć! Jakże mogłaby choć na chwilę zapomnieć o tem, o czem wszystko co chwila jej przypomina?

Odeszła. Tylko co biegła do łóżka chorego wnuka tak lekko, jakby miała lat dwadzieścia, a teraz, gdy przechodzi przez pokój syna, wciąż nad biurkiem pochylonego, stopy jej zaledwie wloką się po ziemi... Przytem obuwie, płytkie i znoszone, co chwila uderza o podłogę ze śmiesznym odgłosem: klap! klap! Ale wkrótce miesza się z nim szept przy biurku:

— Mamo! mamo!

Co się stało? Zygmuś przemówił do niej! Od lat wielu nie zdarza się to prawie nigdy... Zdziwiona zbliżyła się do syna natychmiast.

— A co, Zygmusiu?

Prostując grzbiet stężały od pochylenia i patrząc na nią z pod powiek znużonych, powiedział, że miał potrzebę zajrzeć dziś na strych, pewno niewidziany przez nikogo, i niespodziewanie znalazł tam w kącie najciemniejszym, zegar, o którym wszyscy zapomnieli.

— Ten zegar z kurantami, co to... pamięta mama? stał w pokoju ojca.

Aż ręce splotła u piersi, tak zdziwiła się i ucieszyła.

— Mój Zygmusiu! Zegar z kurantami! ależ pamiętam! jakże mogłabym nie pamiętać! Na strychu w ciemnym kącie... ot, mój Boże! a dawniej... Nie śmiałam nigdy zapytać się o niego. Aż się znalazł! Czy został tam,

Zygmusiu, w ciemnym kącie? Czy będę mogła jutro pójść na strych, do tego kąta... zobaczyć?

Mówiła o zegarze, jak o człowieku wargami drżącemi.

— Myślałem, że widok tego grata sprawi mamie przyjemność, więc sam, ze stróżem, zaniosłem go do pokoju mamy. Stoi tam przy ścianie. Klucz do nakręcania na szafce. Zardzewiał trochę.

Zapragnęła podziękować, głowę syna, który pomyślał o sprawieniu jej przyjemności, ramieniem ogarnąć; ale ta głowa była już pochylona nad arkuszem papieru, a ręka zatapiała pióro w kałamarzu.

— Tak późno, Zygmusiu... Zdrowie stracisz — szepnęła.

Pisząc już i nie podnosząc oczu, odpowiedział:

— Cóż robić, moja mamo? Tak trzeba!

Oddaliła się, myśląc: to prawda! tak trzeba! Uczciwy jest, ma obowiązki ciężkie, czyni im zadość wytrwale, twardo. Tylko w potrzebach ciężkich i w pracy twardej serce jego ociężało i stwardniało. Nie znikło przecież. Pamiętał stary zegar, na widok jego pomyślał o matce. Miał serce, tylko na rozczulanie się czasu nie miał.

Znowu raźnie, lekko wstępowała na ciemne wschodki. Pilno jej było powitać przyjaciela, starego świadka czasów przeminionych, który posiadał nietylko oblicze, ale i głos. Miała także uczucie, jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych, którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: jak się masz? czy pamiętasz?

Miał już chyba lat ze sto i niegdyś czasy wielkiej świetności. Był lubiony, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąt ciemny; zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało na wieki. Teraz nagle, wydobyto go z więzienia, w którem upłynęły mu długie lata.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem

z głową w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko; na czole wysokiem sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszeptała i głową wstrząsnęła tak, jakby mówiła: Jak się masz! Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz? Ale nie przybliżała się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzała.

Zegar wzajemnie patrzał na nią. Linje wskaźników, czarne na tle żółtawem, szeroko rozwarte, nadawały mu wyraz powitania i, jak ramiona rozpostarte do uścisku, mówiły: „Jak się masz? Zbliż się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!“

Kilka minut upłynęło, dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno z dołu, drugie z góry, patrzały na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stołek do szafki, i stanąwszy na nim, zaczęła oglądać zegar zbliska i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki, zwierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niegdyś nakręcać go umiała; potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrzałym — szczęścia i smutku; wybił też tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodją cisze nocne, rozmowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób: już to uczyniła i — o dziwo! zwłoki najmniejszej, oblicze

nieme przez lat wiele zagadało szmerem, trochę ochrypłym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nietylko patrzał, ale i mówił. Gdybyż zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w ręku zaczęła oglądać powierzchnię zegara, — przypominać sobie, próbować.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, niezepsuty; będzie grał kuranty! Będzie, lecz nie natychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu godzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie używać nafty — i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasiła lampę i — zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że pokój napełni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżyca i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi blado-złotej. Plecami oparta o staroświecką poręcz fotelu, babunia siedziała u kraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w półzmroku. Ze splecionemi u piersi rękoma, patrzała na oną wstęgę ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył dźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę popółnocną. Wnet potem w bladem świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozlega się muzyka — poważna, szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak triumf rycerza, — muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotelu, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napełnionej światłem rzęsistem, tłumem twarzy znanych, kochanych!...

Zegar gra; słychać w nim trąbki, fleciki, harfy, czasem waltornia uderzy w bas głęboki, a czasem, niespodzianie, melodję porywa chór dzwonków cichych... To kurant starego zegara, — ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swojem weselu... Stanął przed nią, ręką trzymającą czapeczkę, uczynił szeroki gest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rzęsiste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszeptały nieprzytomnie: „Co to? kto to? o, Boże!“ Z ciałem bezwładnem od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzała i szeptała: „Co to? kto to? o Boże“!

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze blado-złotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i raźny, z szerokiem czołem pod złotemi włosy, z rozkochaniem w błękitnem oku, z czapeczką kwadratową w ręku. Poznała go, patrzała, z ramionami zawieszonemi w powietrzu! a tymczasem zegar grał i on szedł, od nieba ku jej stopom, aż stanął przed nią i ręką, trzymającą czapeczkę kwadratową, uczynił szeroki gest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najlżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które znała tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i zcicha rzekł: „Pójdź ze mną“!

Wtedy powstała i zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni, poważnym polonezowym krokiem, z twarzami ku sobie obróconemi, szli po wstędze blado-złotej, od biednej podłogi z grubych desek ku niebu promienistemu, coraz wyżej...

Szła lekko, stopami zaledwie dotykając drogi oświetlonej i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą.

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dalsza, na nizinie coraz głębszej, malała, znikała.

Z twarzą ku jego twarzy obróconą mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci bielały i plecy garbiły się trochę; a teraz jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy, siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mię kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę blado-złotą, po której szli, i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała — jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze usłanej z promieni — i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach kruczych. I nietylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką ze stopami, zrywającemi się do biegu... Płonąc radością, szepnęła:

— Gdzie się podziały lata, które, jak ciężkie pługi orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem bladozłotem, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreślały w przestworzach nieskończonych harmonijne

elipsy i koła. W ciszy pełnej świateł, linij, ruchów zgodnych a swobodnych, mleczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności; komety świetlne przelatywały, szumiąc warkoczami splecionemi z płomieni, jak bory, gdy po ich wierzchołkach szumią skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz młodzi i piękni nie szli już, ale płynęli nad wstęgą blado-złotą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustam przy jej czole mówił:

— Otwórz serce i pokaż mi je aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemiona, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Poprostu ufność bezgraniczna przyszła i serce jej na oścież przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu, w którym się rozstali, aż od tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po których gdzieniegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożona na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań jego spełnić nie mogła: nie oskarżyła nikogo. Bywała opuszczoną i zapominaną, dusza jej żyła długo w osamotnieniu i chłodzie; ale nikt temu nie winien; nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają...

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciadle blado-złotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, on zaś rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej... coraz wyżej. Patrząc na niezmąconą pogodę jego oczu, przypomniała sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały, i zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam — odrzekła. — Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych żywnością, ani dla ciała twojego schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeciwnie, miłość ta była nieszczęściem twojem, chmurami przeglądała się w twych oczach, i może przez nią — zawsze to sobie myślałam — przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmącona.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie — i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona okiem, w której przeźroczach kryształowych płonęły wszystkie djamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwitały z łon światów wszystkich. Rozwijały się tam w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzenki, jakiekolwiek zdobiły kiedy wszystkie niebiosa... U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkaną zasłona niebieska, grał bezmiar tonów. Gwiazdy, w wiekuistych podróżach swych tu przebywające morza, puszcze, otchłanie bezdenne, wszystkie płomienie gorejące na wszystkich światach szumiały chórem, przebiegającym wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie ogromów pełno też było — o, dziwo! głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczków, pełzających w trawach, szelesty, z jakiemi kiełki roślinne

dobywają się z ziarn pękających, kwilenia w kolebkach, łkania w cichych nocach...

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconemi na szyję najdroższą, stała u zasłony, okrywającej wrota niebieskie i — słuchała. W zachwyceniu i podziwie słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, z pośród nich tu przyszła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje boża krówka, gdy z jednego źdźbła trawy przesuwa się na inne. Z takim szelestem kłos zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się kłosom innym... a to westchnienie... o jakże mi znane! to Zygmuś, po pracy znojnej, z głową bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyka drobna, złożona z trąbek, flecików i dzwonków. Kędyś, na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu!

Słuchał. Z ziemi, z pod dachu rzuconego pomiędzy tysiące dachów, dobywała się muzyczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa jak miłość kochanków, niekiedy dumna jak triumf rycerza — muzyka poloneza. Słuchał — i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

Wtem z roju głosów malutkich, usiewiających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze; był to wyraźny żałosny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu? Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore i jest tam przy nim kobieta z zimnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna uciszać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze... Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową, pochyloną ku nizinie odległej, wsłuchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem.

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższe! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi blado-złotej i z pośród gwiazd grających, z pod zasłony utkanej z bezmiaru piękna, spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

Od dość już dawna, kędyś na niebie, tarcza księżyca zsunęła się z widnokręgu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z niemi za światy wstęga bladożółta, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętniał miarowo: tak-tak! tak-tak! a z dołu z pod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żałosny.

Oczy babuni pełne jeszcze były świateł niebieskich i rysów oblicza najdroższego; w uszach jej brzmiała mu-

zyka gwiazd coraz dalsza, konająca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą w łzach stanęła wyprostowana, szepcąc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzało na nią z góry i wskaźnikami, szeroko rozstawionemi, objawiło zdziwienie niezmierne.

— Wróciłaś? Jakto! Od wrót nieba wróciłaś?

Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstępowała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju chorych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo płakał. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast naradzających się i strwożonych. Teraz pomiędzy nim a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od nieba.

— Kocię najdroższe!

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim, i babunia, dźwignąwszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy nocnej, pośród cieni, które od sprzętów padały na ściany. Chodząc, głosem drżącym, czasem aż dygocącym, nuciła stary kurant zegara.

Płacz dziecka ustawał, zmieniał się w ciche chlipanie; twarz drobna, rozpalona gorączką, miłośnie tuliła się do ramienia najdroższego, aż głosik spłakany przemówił:

— Babuniu, *wielse!*

— Wiersze, kocię najdroższe, chcesz wierszy? dobrze, zaraz będą!

Wśród długich cieni, które od sprzętów padały na ściany, w słabem świetle lampy nocnej, nosząc go w ramionach, posuwistym, polonezowym krokiem, to w jedną stronę, to w drugą, na nutę starego kuranta trochę śpiewać, a trochę mówić zaczęła:

— Dwór pod lipą stoi biały
Pod Piastowym dębem chata...

A on, który znał to już dobrze, razem z nią mówił dalej:

Nad nią bocian gniazdko splata.
A w niej *zije* lud *zuchwali.*

(Z czyjemi uczuciami zaznajamiamy się w tej noweli i co jest ich przedmiotem? Jak owe uczucia się uzewnętrzniają? Czy możnaby tej noweli dać tytuł „Potęga uczucia"? — Czy, czytając „Babunię", możnaby z czegoś wywnioskować, że autorka napisała ów utwór po roku 1863? W których miejscach starała się być, przez wzgląd na cenzurę rosyjską, szczególnie ostrożną?).

Kiedy po upadku walki o wolność w r. 1863 rozległo się wołanie: „walić w młoty o kowadło życia", dopóki lepszej doli sobie nie wykujemy, niejeden z tych, którzy poszli za tem wołaniem, zapomniał zczasem, że praca, jakkolwiek sama przez się uszlachetniająca i zawsze nieodzowna, miała być jednak środkiem wiodącym do celu. Nikt bowiem nie zbawi narodu ani nie wywalczy mu niepodległości przez samo tylko budowanie gościńców, zakładanie fabryk i warsztatów. Co gorsza, znaleźli się i tacy — choć niewielu ich było na szczęście — którzy, widząc, że nic się w położeniu narodu na lepsze nie zmienia, poczęli mówić: głową muru nie przebijesz, trzeba zerwać z marzeniem i pogodzić się z losem. I wówczas, gdy takie głosy niebezpieczne tu i ówdzie dały się słyszeć, przemówił potężnie do wszystkich, a więc i do tych, co wątpić śmieli,

Henryk Sienkiewicz.

Przemówił swoją „Trylogją". Sam on wyznał, że napisał ją „ku pokrzepieniu serc", i pokrzepił serca polskie swemi powieściami istotnie. Ale jeszcze przed „Trylogją" wydał Sienkiewicz wiele opowiadań, nowel, zawodowi pisarskiemu poświęcił się bowiem wcześnie, już jako student Uniwersytetu Warszawskiego. Naród polski kochał go za te pisma

i podziwiał, czcią jednak otaczał go i za co innego jeszcze. Zato mianowicie, że w chwilach bardzo ciężkich, kiedy nie mieliśmy ani własnego państwa, ani rządu, ani wojska, kiedy nas krzywdzono brutalnie, kiedy Prusacy poczęli nas wywłaszczać z odwiecznych siedzib naszych i katować dzieci polskie za pacierz polski, on, w całym świecie znany i sławny, przemawiał w imieniu Polski i prześladowców piętnował. W liście otwartym do cesarza niemieckiego pisał: „Miara w prześladowaniu ciał i dusz jest przebrana. Straszne, głęboko niemoralne są takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysięcy dzieci... Miara przebrana wobec Boga i ludzi!...“ Jakże rychło miało się okazać, że słuszność miał on, Sienkiewicz.

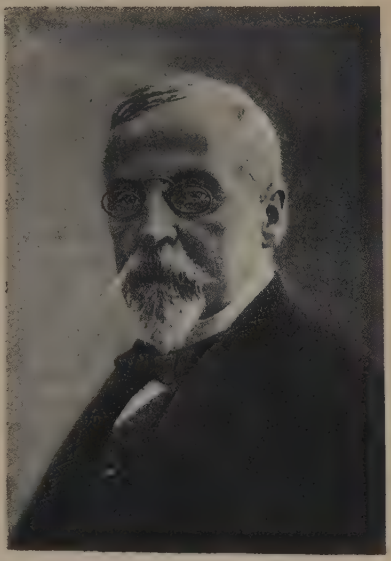

Ryc. 25. Henryk Sienkiewicz.

Niestety, nie dożył znakomity pisarz wielkiej chwili wskrzeszenia Polski. Umarł podczas wojny światowej w r. 1916 w Szwajcarji. W r. 1925 sprowadzono zwłoki jego do Ojczyzny i wśród wielkich uroczystości pochowano w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie.

Wśród nowel jego znajduje się jedna p. t. „Latarnik“.

Latarnik.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinval[1]), niedaleko Panamy[2]), przepadł bez wieści. Ponieważ stało

[1]) Czytaj: Espinwel. [2]) Panama, wąski pas ziemi, łączący Amerykę północną z południową, dziś przekopany.

się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został spłókany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało[1]) tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie, tak dla ruchu miejscowego jak i dla okrętów, idących z New Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów[2]) obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest zazwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swojej skalistej wysepki. Łódź z Aspinval przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku, w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc dostać się z dołu do ognisk na szczyt

[1]) Opróżniło się. [2]) Na północ od Panamy.

wieży, trzeba przejść przez przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr.[1]) Izaak Folcombridge[2]) był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodziewaniej następca zgłosił się jeszcze tego samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów[3]), ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, skąd wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej[4]), ten trzeci, to legja francuska[5]); czwarty otrzymałem na Węgrzech[6]). Potem biłem się w Stanach prze-

---

[1]) Czytaj: Mister, pan. [2]) Czytaj: Folkombrycz. [3]) Kreole, Hiszpanie, urodzeni w Ameryce. [4]) Była to wojna w latach 1834—1839 między ubiegającym się o tron Don Karlosem, bratem zmarłego króla, a wdową po zmarłym. [5]) Wysokie odznaczenie we Francji. [6]) Na Węgrzech wybuchło w r. 1848 powstanie przeciw Austrji; Polacy (ochotnicy) pomagali wówczas Węgrom.

ciw południowcom[1]), ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko? Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem a Kalifornją).

— *All right!*[2]) Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów.

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— *Sir!*[3]) — odezwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju. Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa.

---

[1]) Stany Zjednoczone północne prowadziły wojnę ze Stanami południowemi. [2]) Czytaj: Ol rajt (wszystko dobrze). [3]) Czytaj: Sör (panie).

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!*[1]) — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem *Good bey!...*[2]) Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony, tęczowy krąg, o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż obok olbrzymich ognisk, podobny zdołu do małego czarnego punkcika. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas pokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od

---

[1]) Czytaj: Uel (dobrze). [2]) Czytaj: Gud baj (do widzenia).

chmur na dno morza, w którym biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały mu się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, aby się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australji, poszukiwaczem djamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indjach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornji fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylji; tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie[1]), w Arkanzas[2]) i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indjan i cudem tylko wybawiony został przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia[3]) i Bordeaux[4]), potem jako harpunnik[5]) na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar

---

[1]) Helena, główne miasto w stanie Arkanzas. [2]) Arkanzas, jeden ze stanów północno-amerykańskich na prawym brzegu Missisipi. [3]) Bahia, prowincja brazylijska. [4]) Bordeaux (czytaj Bordo, z naciskiem na ostatnią zgłoskę), miasto portowe francuskie nad Garonną. [5]) harpun, żelazo w kształcie strzały, zaopatrzone od przodu w haki; rzuca je harpunnik, polując na wieloryby.

w Havannie[1]) i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito“. Wreszcie przybył do Aspinval — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż bowiem mogło go doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że go prześladują wszystkie cztery żywioły[2]). Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, wskazywał tajemniczo gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indjanina i wielką, spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie, na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Lazł pod górę pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególny dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemji na Kubie zapadł na nią dlatego, że chorym oddał wszystką swą chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że

---

[1]) Havanna, stolica Kuby, wyspy między Ameryką północną a południową. [2]) T. j. ziemia, powietrze, ogień, woda.

jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe...[1]). Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się, zaczął tracić energję. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacji. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgja[2]), którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanych niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cichego kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach, tak, iż prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkiem szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balko-

---

[1]) Domyślamy się, o czem to marzył Skawiński. [2]) Choroba powstająca z tęsknoty za krajem.

nie. Patrzał, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie, wiorstowe fale wytaczały się z ciemności, i rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych poszarpanych chmur, które przesłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. Wdali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały wdół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza zaczęła wyć. Tam na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś było spokojnie i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik! tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego

i inna nieskończoność jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale, by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeżeli się na nie zgodzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swą latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłem życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem się styka latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda, to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którem myśl jest raczej ciągłem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcie. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły nasycić się nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które passatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugiemi, podobne do łańcucha mew[1]) lub albatrosów[2]). Czerwone beczki, wska-

---

[1]) Mewa, ptak nadmorski, podobny nieco do kaczki, różnej wielkości. [2]) Albatros, ptak nadmorski, o sięgu skrzydeł do 4 metrów, biały z czarnemi lotkami; towarzyszy nieraz okrętom przez kilka dni, nie spoczywając.

zujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinval, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinval i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki, nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym kamiennym bulwarku[1]). Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty[2]). Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo na błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzył się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności; myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwalał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załomach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego

---

[1]) Bulwark, budowa nad morzem, chroniąca wybrzeże i służąca do przechadzki. [2]) Siesta (czytaj: sjesta), wypoczynek południowy, drzemka.

jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków[1]), które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni, chodził na ryby, któremi roiły się załomy skalne. Wkońcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze aż do Pacyfiku[2]), pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvalu. Dalej między Aspinval a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami[3]), szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów[4]), ale nawet gromady małp, wielkich marabutów[5]) i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród

---

[1]) Muszli morskich. [2]) Pacyfik, ocean Spokojny. [3]) Liany, wijące się lub pnące rośliny w lasach amerykańskich; tworzą one nieprzebyte gąszcze. [4]) Banany, olbrzymie zioła, podobne do palm, z pożywnym owocem. [5]) Marabut, ptak z rodziny bocianów.

nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami[1]) i rojące się od krokodylów, wiedział, pod jakiem jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity[2]), pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na te lasy, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy usłyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika“. — „I nie heretyk!“ Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze niedowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub nowoyorskiego „Heralda“, pożyczanego u Folcombridge'a i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem[3]). Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten

---

[1]) Drętwa, ryba; ubezwładnia ona mniejsze zwierzęta zapomocą narządu elektrycznego, który ma między głową a płetwami piersiowemi. [2]) Rodzaj komarów; legną się moskity w bagnistych okolicach gorących krajów. [3]) Czytaj: Dżonsem.

sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawionej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgja, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem[1]). Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłem odosobnieniu i wobec otoczenia, nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jako osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie; ale wkońcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy — to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół czuwaniu, pół-śnie, znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: „*Skawiński Esq.*[2])

---

[1]) Mistyk, człowiek, który zatapia się myślą w Bogu i odrywa się całkowicie od rzeczy ziemskich. [2]) Esquire (czyt. Euskuajr) wielmożny pan.

wypisany na grubem żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki; wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczem ręce zaczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc: zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swojej latarniczej karjery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie“ o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinval, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydawało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta jest książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wielkiemi literami wypisany tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku. w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanji, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W 49 roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem więk-

szą skwapliwością i z tem żywiej bijącem sercem przewrócił kartkę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły 5-tą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. Wdali śmiały się białe domy Aspinvalu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno. by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie:
„Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
„Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
„Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca i wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze; opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
„I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
„Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
„Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(„Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
„Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
„I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
„Iść za nawrócone życie podziękować Bogu) —
„Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono...“

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do

niego, przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, zato, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz, „wracał cudem“ — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą; on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swą żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

„Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.

. . . . . .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas, „Ta, co jasnej broni Częstochowy“, zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem“. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne.

Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?“ On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna; nie widzi ani ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił; szereg chałup z światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta przedstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie; zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha!“ To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tak nudno samemu na koniu. Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana; opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś, zupełny ocean. Ale to łąki; rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli; jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty! wraz i żórawie krzyczą już gdzieś zwysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie; z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia

kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! O jedyna! jedyna!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim.

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia i bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns. — Chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San Geromo[1]) rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinval do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa: wiatr porywał znowu ten liść, aby nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, aby mu i ona nie zginęła.

(Dlaczego nikt z nas nie będzie próbował opowiadać „Latarnika“? Gdybyśmy się jednak o to pokusili, co sprawiłoby nam szczególną trudność? Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Sienkiewicz podzielił nowelę swą na trzy części? Jakie nagłówki dalibyśmy poszczególnym częściom? (czy dla wszystkich części równie łatwo przyszłoby nam obmyślić nagłówek?). Co budzi w nas szacunek dla Skawińskiego, co

[1]) W pobliżu Panamy.

współczucie? Kiedy współczujemy z nim najżywiej? Kiedy nowela najsilniej nas wzrusza? Jaką prawdę unaocznia? Jak wyglądałyby obrazy, któremi chcielibyśmy zilustrować „Latarnika“? Czy jednak wszystko, o czem czytamy w noweli, dałoby się zilustrować? W których z poznanych dotychczas utworów spotkaliśmy się z widzeniami? Jak w każdym z tych utworów wpływa widzenie na losy głównej osoby?).

Po przeczytaniu **Trylogji** zastanówmy się nad następującemi pytaniami:

A) po przeczytaniu Ogniem i mieczem:

W których latach XVII wieku dzieje się to, o czem czytamy w powieści? Czem zawiniła Polska (według słów Chmielnickiego w rozmowie ze Skrzetuskim), czem Ukraina? Jakie są zasługi Polski wobec Ukrainy (według słów Skrzetuskiego w tejże rozmowie?). Której osoby losy najżywiej nas zajmowały? Spróbujmy opowiedzieć zwięźle dzieje Skrzetuskiego. Kto jest jego przeciwnikiem? Kto największym wrogiem księcia Jeremiego? Czy ten sam jest powód, dla którego Bohun nienawidzi Skrzetuskiego, a Chmielnicki księcia Jeremiego? Które z osób powieści budzą w nas najwięcej szacunku, ku którym czujemy niechęć, nienawiść, które nas bawią? Czyje i jakie bohaterskie czyny utkwiły nam szczególnie w pamięci? Dlaczego bohaterem nazwiemy Skrzetuskiego, dlaczego księcia Jeremiego? Kiedy wzbudził w nas ks. Jerem. największy podziw? Kiedy, czytając powieść, doznawaliśmy najsilniejszych wzruszeń? Kiedy pogrążaliśmy się w największym smutku, kiedy groza nas przejmowała, kiedy odczuwaliśmy najżywszą radość?

B) po przeczytaniu Potopu:

Opowiedzmy zwięźle dzieje Kmicica (poczynając od chwili, nim jeszcze poznał się z Oleńką). Czem Kmicic zawinił, w jaki sposób zmazał swe grzechy? Czy w „Potopie“ tylko sam Kmicic grzeszy? Któż jeszcze? czem? A czy tylko Kmicic wstępuje na drogę poprawy? Któż jeszcze? Co na tę poprawę wpłynęło? A czy wszyscy zawrócili z drogi grzechu? Czy są w „Potopie“ osoby, które nie poddały się powszechnym wadom i nie podzieliły win z innymi? Które z tych osób budzą w nas szczególną cześć? A które osoby przejmują nas odrazą, wstrętem? Czy potrafimy powiedzieć, czem Polacy górują nad Szwedami, a czem Szwedzi nad Polakami? Kiedy

Szwedzi budzą w nas szacunek? Kiedy najserdeczniej śmialiśmy się, czytając „Potop“? Pomyślmy, czy niema podobieństwa między dziejami Kmicica i Jacka Soplicy?

C) po przeczytaniu Pana Wołodyjowskiego:

Za co pana Wołodyjowskiego kochamy? kiedy budzi on w nas podziw, kiedy przejmuje najwyższą czcią? Których osób losy (prócz Wołodyjowskiego) wywołują w nas najżywsze wzruszenie? Którą chwilę Polak uzna w „Panu Wołodyjowskim“ za najboleśniejszą? Dlaczego Zbaraż się nie poddał i Częstochowa się nie poddała, a poddał się Kamieniec? Czy jednak jeszcze przed epilogiem nie budzi się w nas nadzieja, że odwet ze strony Polski nastąpi? (jeśli tak, co budzi w nas tę nadzieję?).

Które postaci z całej Trylogji najbardziej nam się podobały? Które obralibyśmy sobie w życiu jako wzór do naśladowania? Jakich wad i grzechów, jako wiodących do zguby, każe Sienkiewicz w Trylogji unikać narodowi polskiemu? Które z cnót, właściwych Polakom, zajaśniały w Trylogji najpełniejszym blaskiem?

Jakie było hasło tego pokolenia, które weszło w życie po roku 1863? Którzy z poetów, czynnych w tej dobie, wtórowali temu hasłu w swoich utworach? Który z twórców głosił, że szczęściem najwyższem jest poświęcenie się? Czy ogół pamiętał, jaki cel główny powinien przyświecać pracy każdego? Jakie głosy odzywały się, gdy w doli narodu nie zachodziła żadna zmiana? Kto przypomniał społeczeństwu bohaterską przeszłość i umocnił w niem wiarę w przyszłość?

Przypomnijmy sobie, jakich autorów poznaliśmy w bieżącym roku (którzy z nich pisali w XVI wieku, którzy w XVII, w XVIII, którzy w XIX, w pierwszej i drugiej połowie tego stulecia?). Przypomnijmy sobie, jakie utwory każdego z tych autorów czytaliśmy w domu lub w szkole? Którzy z autorów zajmowali się życiem wiejskiem i przedstawiali zajęcia, zabawy, zwyczaje na wsi? Którzy zajmowali się życiem ludu wiejskiego? Którzy roztaczali przed oczyma naszemi obrazy przeszłości narodowej? W jakim celu to czynili? Którzy nawoływali do poprawy? W jaki sposób to czynili (którzy gromili wady, a którzy je ośmieszali?). Którzy kreślili obrazy cierpień wła-

snych lub cudzych? Co było powodem owych cierpień? Z którą z poznanych postaci współczuliśmy najgłębiej? (dlaczego?).

Które postaci bohaterskie z tegorocznej lektury utkwiły nam szczególnie żywo w pamięci? Które z osób, poznanych z lektury w tym roku, poświęciły się dla ojczyzny, które dla dobra bliźnich? Które, nim odważyły się na poświęcenie, musiały z sobą stoczyć walkę? Które z tych osób budzą w nas najwyższy podziw (dlaczego?), do których z nich chcielibyśmy być podobni? Czy pouczyły nas dzieła wielkich pisarzy polskich, dlaczego powinniśmy kochać ojczyznę i w jaki sposób możemy służyć jej skutecznie?